



Spojrzałem na zielone, fosforyzujące wskazówki zegarka. Za dwadzieścia dwunasta. Ten, kto śpieszył się na dwunastą, nie miał wiele czasu. Znowu szum, jęk wiatru. Wy-

szedłem na korytarz, zamknąłem drzwi i zatrzymałem się przyklejony do ściany. W nieznacznie jaśniejszym prostokącie po prawej, w miejscu gdzie korytarz wychodził na podest schodów i okno, zgęszczenie ciemności; bezkształtny cień

Jacek

Joachim

krótka podróż

Jacek
Joachim
krótka
podróż

Czytelnik
Warszawa
1979

Spokojny sobotni wieczór

1

Muszę przyznać, że pierwsza, krótka na szczęście, podróż własnym maluchem kosztowała mnie sporo zdrowia. Nie, nie myślę o prorocत्वach moich znajomych i przyjaciół, tych, którzy mieli skody, wartburgi, fiaty i fordys, i tych, którzy mieli bilety tramwajowe i piękną przyszłość w totolotku. Ich przestróg słuchałem jednym uchem, bo i jakże mogło być inaczej.

— Nie pozwolę! — grzmiał pewien historyk, zarazem zapalony automobilista. — Zrozum, bracie, kolana masz pod brodą, sprzęgło zbierasz po szosie, silnik w sam raz do suszarki, a blacha sypie się po pierwszym deszczu.

— No dobrze — zgodziłem się — ale rok temu chciałeś kupić malucha i mówiłeś, że jest zupełnie wygodny, silnik ma sprawdzony, a blacha lepsza od plastyku.

— Rok temu! — odpowiedział z urazą i dał nura pod używanego volkswagena, którego niedawno kupił i jak dotąd remontował.

Ale ostatecznie mnie przekonał kierowca naszej milicyjnej warszawy.

— Panie kapitanie — powiedział — gdzie jest napisane, że pan nie będziesz ten szczęściarz?

No i jechałem maluchem i słuchałem ze strachem przeraźliwych zgrzytów przy zmianie biegów i rosnącego stukotu, dźwięcznego i głębokiego; zatrzymałem samochód raz i drugi, obszedłem go w skupieniu dookoła, nie zobaczyłem niczego podejrzanego. Ale wystarczyło ruszyć, aby piekielny stukot zjawił się znowu. Za trzecim razem stanął przy mnie bosy, może ośmioletni chłopak.

— Niech pan domknie maskę — powiedział — bo będzie panu klekotać.

Wściekły domknąłem maskę i pojechałem. Już nic nie stuknęło.

Nic dziwnego, że pod domem Klemensa zatrzymałem się pełen mieszanych uczuć. Ale wystarczyło wysiąść, spojrzeć z zewnątrz na nowiutki samochód, aby dobre samopoczucie wróciło. Ostatecznie dojechałem.

Rozejrzałem się. Czas by już było na pierwszą samochodową rozmowę. („Kupiłeś?” — „Właśnie — odpowiem niedbale — ostatnie serie są zupełnie niezłe.”

— „No i jak chodzi?” — „A wiesz, zupełnie dobrze. Jeszcze jest nie dotarty, ale...” i tak dalej.) Dokoła było jednak zupełnie pusto. Klemens mieszkał w dużej, ładnej willi, otoczonej sporym ogrodem, o dwadzieścia kilometrów od Warszawy. Nie, oczywiście jej nie kupił, był dyrektorem niewielkiego muzeum, a kilka większych prac z zakresu historii sztuki pozwoliło mu zaledwie na kupno samochodu, dzięki któremu mógł zamieszkać na stałe w domu odziedziczonym po stryju i prowadzić życie wcale wygodne, choć bynajmniej nie luksusowe.

Z ostrożnością nowicjusza zamknąłem samochód na klucz i wąskim, starannie utrzymanym chodniczkiem obszedłem willę. Od strony ogrodu płaskie, półkoliste stopnie prowadziły na obszerny taras, ale nie wszedłem tam, bo z głębi ogrodu dobiegły mnie zmieszane głosy i głucho uderzenia piłki.

Oczywiście, grali w siatkówkę. Klemens w szortach i siatkowej koszulce, dwie młode kobiety w barwnych, letnich sukienkach, kilku mężczyzn, wszyscy rozkrzyczani, zakurzeni, na pół przytomni. Nie, nie było tu z kim mówić o samochodach.

— No, jak się jechało? — zawołał Klemens. Podniósł palce do ust i gwizdnął przeraźliwie. — Przerwa! Osiem sześć dla was. Nasz serw. Jacek dojdzie do nas, będzie nareszcie czwórka przeciw czwórce. Cześć.

Podbiegł do mnie z wyciągniętą ręką. Był szczupły, wysoki, gdyby nie siwe skronie, wyglądałby na studenta, szczególnie teraz, w tym stroju.

— No co, przyjechałeś maluchem? Jeszcze się nie rozsypał?

Oczywiście, on miał dużego fiata.

— Spóźniłem się trochę — powiedziałem — trzy razy pomagałem facetom na szosie zbierać duże fiaty.

— Dobra, dobra — roześmiał się. — Pogadamy za miesiąc.

— Nie odprzedam — powiedziałem twardo — ani za miesiąc, ani za pół roku.

— Oszalał — westchnął. — Czekaj, nie znacie się. Pozwólcie, Jacek Joachim. Jesteśmy w komplecie.

— To pan — mruknęła szczupła szatynka o chłopięcej urodzie. — Myślałam, że pan jest starszy.

— Ja nie — uśmiechnęła się duża, postawna brunetka o wąskich, zielonych oczach — Klemens mi pana opisywał.

— Hanka jest kustoszem działu archeologii — mówił Klemens wskazując na szatynkę. — Skończyła studia ileś lat temu i chce wyjechać do Egiptu. Ciągłe nie może uwierzyć, że z naszego muzeum wyjeżdża się najwyżej na Wolin.

— To zmienię muzeum — wzruszyła ramionami — albo dyrektora.

— No, no — obruszył się Klemens. — Nie tak jawnie.

— Jak cię wygryzą, będziesz wiedział, kto — roześmiał się krępy, piegowaty blondyn o pooranej zmarszczkami twarzy. Ale wszyscy milczeli i jego śmiech urwał się nagle, na nienaturalnie wysokiej nucie.

Klemens szybko dokończył prezentacji. Druga z kobiet, ta dorodna z zielonymi oczami, miała na imię Ludmiła i była żoną piegowatego dowcipnisia. Teraz dopiero go sobie przypomniałem, widywałem go u Klemensa w muzeum. Tak, to on. Nazywał się Wąski, zrobił niedawno doktorat. W muzeum nazywano go oczywiście Niewąski. Był tam jeszcze szkolny kolega Klemensa, obecnie, jak się okazało, docent matematyki, a nazywał się Bajbun, młody asystent muzeum o długich włosach, który podał mi rękę, patrząc w inną stronę, i mruknął niewyraźnie: Stanisławski lub coś podobnego — wreszcie spokojny starszy pan, piastujący jakieś wysokie stanowisko w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego.

— To Rysio Kitowicz — powiedział o nim Klemens. — Jak z nim będziesz dobrze, zawsze ci wszystko załatwi.

— Oczywiście w granicach przepisów — zastrzegł się szybko Kitowicz.

A na koniec z zarośli wyłoniła się postać przedziwna: bardzo

wysoki i chudy starszy pan z bujnymi wąsami i w maciejówce. Podszedł do mnie sprężystym krokiem.

— Jestem wujem Klemensa — wyjaśnił wyciągając rękę. — Nazywam się Pacholak. Słyszałem o panu.

I ja o nim słyszałem. Starszy pan był niegdyś rotmistrzem ułanów i pisał pamiętniki. Klemens opowiadał o nim dużo i często.

— Chętnie bym się czegoś napiła — powiedziała Hanka — i przebrała. W sukience nigdy nie przyjmę ścieścia Klemensa.

— Bez sukienki też nie przyjmiesz — powiedział Klemens — ale myśl jest dobra. Zrobimy przerwę? Osiem sześć dla was, nasz serw.

— Zrobię wam wody z sokiem i lodem — oświadczyła pani Ludmiła Wąska.

I poszliśmy wszyscy w kierunku domu. Panie przodem, z głowami zwróconymi ku sobie, za nimi bezładną gromadą mężczyźni, na końcu Klemens i ja. Rotmistrz Pacholak, uzbrojony w wielki kij zakończony pętlą i siatką, ruszył między drzewa sadu, na jabłka.

— Cieszę się, że przyjechałeś — powiedział Klemens.

— I ja się cieszę. Weekend wymarzony. Pogoda i ten twój dom, przecież tu tylko ptaki słychać. Właściwie można ci zazdrościć.

— Myślisz... — powiedział wolno. — No tak, można mi zazdrościć. Cieszę się, że odpoczniesz, zresztą wiesz, że mój dom zawsze stał i stoi dla ciebie otworem. Tylko tym razem chcę cię prosić o pomoc. I dlatego tak się cieszę, że udało ci się wyrwać.

— O pomoc? — zdziwiłem się. — Zapraszałeś mnie na spokojny sobotni wieczór.

— O pomoc. W ciężkiej i trudnej sprawie. Nie odmówisz mi?

— Co znowu! Wiesz, że możesz na mnie liczyć.

— Wiem. Więc przyjdiesz do mnie wieczorem, dobrze? Zaparzę dobrej kawy, pogadamy.

Weszliśmy na taras. Pani Ludmiła znikła w obszernych drzwiach prowadzących w głąb domu, Klemens pokręcił się chwilę wśród gości i poszedł za nią. Oparłem się o kamienną

balustradę, zapaliłem papierosa.

— Klemens opowiadał nam o panu — powiedział docent Bajbun przecierając nerwowo okulary. — Muszę się panu przyznać, że bardzo chętnie czytuję powieści kryminalne. Ja, proszę pana, zajmuję się teorią pościgu. Otóż...

— Ferdek, daj panu spokój — powiedziała Hanka.

— Pan tu przyjechał na odpoczynek, prawda, panie Jacku? Bo chyba nie służbowo?

— Chyba nie.

— Pan pierwszy raz u Klemensa?

— Nie, skądże. Przyjeżdżam tu od czasu do czasu od dobrych dziesięciu lat.

— To jakim cudem jeszcze się nie spotkaliśmy?

— A tego to już nie wiem. Inna rzecz, że wpadałem tu na krótko o najrozmaitszych porach.

— No właśnie. Ja służę na dworze tego tyrana od dwu lat. I zużywamy już drugą piłkę do siatkówki.

— Haneczko — powiedział ze zniecierpliwieniem doktor Wąski — obiecałaś, że mi pomożesz nazbierać jabłek na podwieczorek.

— Dobrze, dobrze — zachnęła się. — Stary rotmistrz już nazbierał na wszystkie podwieczorki do końca sezonu.

— Rotmistrz składa je w swojej szopce — nie ustępował Wąski. — No chodźmy, chodźmy. Szkoda czasu.

Wzruszyła ramionami, ale wstała i po chwili znikli w gęstym sadzie. Widzieliśmy tylko z daleka przesuającą się i znikającą za pniami drzew kolorową sukienkę Hanka. Ale wydawało mi się, że nie zbiera jabłek. Od czasu do czasu przystawała z odwróconą głową, potem zjawiała się sylwetka Wąskiego, rozmawiali, a może kłócili się.

— Dużo nie nazbierają — mruknął Stanisławski. Był niski, barczysty, twarz miał bladą, nieobecną.

— Dlaczego? — zdziwiłem się.

— Hm... — chrząknął Bajbun — jak by tu panu powiedzieć. Pan doktor Wąski do pewnego stopnia gustuje w towarzystwie Hanka...

— W wysokim stopniu! — roześmiał się zgryźliwie

Stanisławski. — Nie, niech pan nie myśli, że robimy plotki za plecami — dodał patrząc na mnie — ale całe muzeum o nich wie, więc dlaczego pan ma sam dochodzić tych rewelacji?

— A pani Ludmiła? — spytałem lekko.

Spojrzeli po sobie nie tyle z zakłopotaniem, ile raczej ze zdziwieniem. Bajbun chrząknął po raz drugi, wyciągnął papierośnicę, poczęstował nas, ale okazało się, że w jego pudełku kołacze tylko jedna wypalona zapalka. Klepaliśmy się chwilę po kieszeniach, bez skutku.

— Przyniosę z kuchni — powiedziałem.

Wszedłem do domu. W dużym, staromodnie urządzonym ni to hallu, ni to salonie, było chłodno, przez szpary w kolorowych zasłonach sączyło się gęste światło letniego popołudnia. Wąskie, wysokie drzwi prowadziły na ciemny korytarzyk, w głębi majaczył jasny prostokąt. Tam była kuchnia. Puszysty chodnik tłumił moje kroki. Szedłem szybko, byłem o pół kroku od drzwi, kiedy posłyszałem głęboki głos pani Ludmiły:

— Moje biedactwo...

Nie zdążyłem się cofnąć. Pani Ludmiła, z ramionami na szyi Klemensa, stała tuż przy przeciwległej ścianie, odwrócona do mnie plecami. Ale zobaczył mnie Klemens, oswobodził się łagodnie z objęć żony niewiernego doktora.

— Już idziemy — powiedział spokojnie. — Pewnie jesteście spragnieni.

Pani Ludmiła Wąska chwyciła tacę z przygotowanymi już szklankami, pełnymi wiśniowego napoju, i wybiegła w milczeniu, kołysząc biodrami.

— Przyszedłem po zapalki — mruknąłem.

— Hm, tak — zakręcił się Klemens. — Proszę cię, są... Hm, tak...

— Chrząkasz jak docent Bajbun — roześmiałem się.

— Do pewnego stopnia — mrugnął porozumiewawczo. — Widzisz, dawno się nie widzieliśmy...

— A tak, dobre pół roku.

— No właśnie. Co to ty chciałeś? Aha, zapalki, już masz. Chodźmy. Porozmawiamy wieczorem.

Przeciągnął ręką po czole pokrytym kropelkami potu. Mimo

pozorów wesołości oczy miał podkrążone, zmęczone, a jego wąskie usta ścięte były w nienaturalnym grymasie.

Na tarasie byli już wszyscy. Wypiliśmy szybko zimną wodę z sokiem i tającymi kostkami lodu i ruszyliśmy bezładną gromadą na boisko. Klemens grał nieuważnie, za to Hanka była w formie i mimo ryzykanckich ścięć Wąskiego, który notabene ze sztubacką pasją celował właśnie w nią, wygraliśmy trzy kolejne sety.

— Jesteście skończeni — oświadczyłem. — Nie mamy przeciwnika.

— Miałem pecha — skarżył się ze złością Wąski — nic mi nie wychodziło.

— Nie tłumacz się — wołała Hanka. — Różnica dwu klas.

— Ale przedtem przegrywaliście—argumentował rozpaczliwie Bajbun.

— Doszedł do was Joachim — poparł go Stanisławski.

— A czy ja coś ujmuję Jackowi? — zdziwiła się Hanka. — Przy nim zabłysły nasze talenty, o!

— Dosyc — zadecydowała pani Ludmiła Wąska. — Patrzcie, już prawie siódma. Chodźmy się trochę ogarnąć, a potem pomyślimy o kolacji.

— Kwaśne mleko! — wrzasnął przeraźliwie rotmistrz Pacholak, wyskakując zza kępy bzów. — Kwaśne mleko jest najzdrowsze! Przyniosę z piwniczki!

— Niechże wujek nie straszy ludzi! — zawołał Klemens. — A swoją drogą, pomysł jest dobry.

— Będziemy pili kwaśne mleko — nucila Hanka idąc tanecznym krokiem w stronę tarasu. — Będziemy pili kwaśne mleko...

— Wstaw samochód do garażu — rzucił przechodząc Klemens. — Jakoś się pomieścimy.

— Nareszcie — odetchnąłem — nareszcie ktoś wspomniał o moim samochodzie.

— Kupił pan samochód? — zainteresował się Stanisławski. I już mnie nie odstępował. Byłem mu prawdziwie wdzięczny, nareszcie mogłem z kimś pomówić o wadach, a przede wszystkim zaletach malucha.

Wstawiliśmy go do garażu, wytarłem jeszcze szmatą maskę, rozcierając kurz w podłużne smugi. Zdaje się, że nie tak się czyści karoserię.

— Ja, proszę pana, także myślę o kupnie samochodu — mówił Stanisławski — ale wie pan zapewne co nieco o zarobkach pracowników naukowych. Dawno bym już rzucił to muzeum, czekam tylko, kiedy zrobię doktorat. Ale co tam. Szczerze mówiąc, po historii sztuki składałem egzamin na reżyserię filmową, no i oblałem.

— Ale chyba pracuje się panu przyjemnie — powiedziałem zdawkowo.

Wzruszył ramionami.

— Co tu mówić o przyjemnej pracy — mruknął. — Jeden Klemens rzeczywiście zna się na robocie i ją lubi. No i coś robi. A reszta?

— No jakże — powiedziałem — pani Hanka...

— Hanka marzy o zagranicznych stypendiach — powiedział ze złością — a jeżeli jeszcze o czymś, to w każdym razie nie ma to nic wspólnego z pracą w muzeum. A jak Wąski zrobił doktorat, to ja nie wiem. Ja bym mu za tę pracę nie dał magisterium. Siedzi się, proszę pana, latami i kataloguje zbiory. Nawieźli tego z zamków i zameczków, dworów i dworeczków do nagłej cholery. Wszystkie piwnice zawałone skrzyniami, jest robota do końca życia. Na-u- ko-wa! Niech to jasny szlag trafi.

Tymczasem zamknęliśmy garaż i wracaliśmy do towarzystwa. Tuż przed wejściem na taras zastąpił nam drogę rotmistrz Pacholak i Stanisławski umilkł.

— A ja, kochany panie, mleczko już przyniosłem — zawołał rotmistrz. — Zimne, a gęste, że choć nożem ty kraj. Ot, przyjemność. U nas, kochany panie, mleko my w kamiennych stakanach stawiali...

Obejrzałem się, Stanisławski znikł. Westchnąłem, a rotmistrz ujął mnie za guzik i mówił dalej:

— Ot, panie, na polowanko się jechało, niewielkie, pół dnia, na zajęczki. Major ci do mnie, kochany panie, zjechał, ja do mojego wachmistrza mówię, zadbaj ty, kochanieńki, żeby

mleczko za powrotem było. I jedziemy, kochany panie, i major wachmistrza widzi, i trach, panie, z dubeltówki...

— Wachmistrza? — przeraziłem się.

— Nie, panie kochany, zajączka. A wachmistrz butelki niesie, dobraż wódka była, przepalana, jaż ci mleczko kazał nagotować, a on taajest, pajee tmistrzu! — stuknął obcasami — mleczko po wódce najlepiej smakuje!

I nagle, bez przejść, rozejrzawszy się tylko dokoła, dodał tym samym, gawędziarskim tonem:

— A i dobrze, że pan przyjechał, Klemens o panu mi mówił. Tych tuja znam, panie kochany, za żadnego, panie, grosza nie dam. Może ja staromodny, ale mnie się to nie podoba. Nie podoba! — podniósł rękę. — Nic dobrego tu się nie dzieje! Pomów pan z Klemensem, kochanieńki. Pomów pan.

Odwrócił się i znikł między drzewami.

— Panie Jacku! — zawołała z tarasu Hanka — Klemens pana szuka. I kto mi chleb pokraje?

Wbiegłem po schodach i wpadłem na Klemensa, wychodził właśnie z hallu.

— Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju — powiedział. — Zmieściłeś wóz? Nie obiełś mojego? Chcesz się pewnie umyć.

— Zmieściłem, nie obiełem, chcę.

— Hanka, zostaw, Ludmiła tym się zajmie.

— Daj odetchnąć tej swojej Ludmile.

— Jestem na usługi! — zawołał Wąski. Umyty, uczesany, w szarym garniturze z tropiku, śnieżnobiałej koszuli, z pięknie zawiązanym krawatem.

— Kroić chleb! — rozkazała Hanka.

Klemens zaprowadził mnie na piętro.

— Już tu nocowałeś — powiedział wchodząc do przyjemnego, jasnego pokoiku z drzwiami otwartymi na balkon. — Obok mieszka Hanka, dalej Wąski i Stanisławski. Ludmiła, Kitowicz i Bajbun na dole.

Uniosłem brwi.

— Dziwi cię to — raczej stwierdził, niż zapytał. — Wszystko ci wyjaśnię. Dziś wieczór. Dawno się nie widzieliśmy — powtórzył.

— Nie wyglądasz dobrze — powiedziałem ostrożnie.

Machnął ręką.

— Mój drogi — rzekł z niewyraźnym uśmiechem — fizycznie czuję się doskonale. Zrobimy teraz kolację, potem pociągnie się to do jakiej dziesiątej, jedenastej. Mieliśmy dziś sporo ruchu, nikt długo nie wysiedzi. Więc kiedy będzie już cicho, przyjdź do mnie, dobrze?

— Oczywiście.

Kiwnął głową, odwrócił się, by wyjść, ale przy drzwiach zatrzymał się jeszcze, oparł o futrynę, odwrócony do mnie plecami.

— Tylko ty mi możesz poradzić — powiedział cicho. — Tylko ty.

I wyszedł nie czekając na odpowiedź. Spojrzałem w kierunku okna i zdawało mi się, że przez firankę przebiegł drżący, nieuchwytny cień, jakby ktoś przemknął przez balkon. Podszedłem do drzwi, otworzyłem je szeroko. Balkon był długi, wychodziły nań drzwi wszystkich sąsiednich pokoi i małego hallu na piętrze. Nikogo tu oczywiście nie było. Wróciłem do siebie.

Kiedy zszedłem na dół, zegar stojący w hallu na kominku wybił wpół do dziewiątej. Kolację zjedliśmy nieomal w milczeniu, jakby cały poprzedni nastrój był wynikiem sztucznej i wysilonej wesołości, której już nikt nie miał zamiaru podtrzymywać. Tylko rotmistrz Pacholak opowiadał długie litewskie historie, których część znałem już z Wańkowicza. A on, podejrzewam, także.

Przeszliśmy potem na taras i rozmawialiśmy leniwie, paląc papierosy i patrząc na ogród, zanurzony w czerwonym blasku zachodzącego słońca. Czerwono błyszczały szyby otwartych okien i część tego blasku padała także na nasze twarze.

— Wyglądamy — powiedział Stanisławski — jak w pierwszych sekwencjach filmu o duchach. Tylko ten dom powinien być stary i angielski.

Ale nikt nie podjął tematu.

Zapadał już zmierzch, cienie między drzewami gęstniały, tylko na zachodzie czerwieniało niebo. Zapach macierzanki nawet tu, na tarasie, był tak silny, jakbyśmy siedzieli na środku niekoszonej łąki. Stanisławski mówił coś o meksykańskim filmie, ja słuchałem leniwie, a właściwie nie słuchałem, patrząc na ciemniejące niebo nad drzewami. Zostaliśmy sami, reszta towarzystwa już dawno wymknęła się niepostrzeżenie, chodzili pewnie po ogrodzie, jeden tylko rotmistrz Pacholak poszedł spać. Mieszkał na poddaszu, w obszernym pokoju oddzielonym od strychu drewnianą ścianą, nie chciał innego, choć Klemens, jak mówił, usiłował go przeprowadzić nawet podstępem. Przez chwilę paliło się tam światło, potem zgasło, w otwartym oknie zjawił się rotmistrz w pasiastej rozpiętej bluzce od pizamy, spod której wyglądał biały podkoszulek, wykonał kilka gwałtownych, gimnastycznych ruchów, uderzając przy tym niebezpiecznie mocno rękami o szyby — po czym znikł.

— Zdjęcia! — mówił Stanisławski. — Ludzie nie zdają sobie sprawy, jaką rolę w filmie może odegrać operator. Weźmy choćby ten ogród...

— Właśnie, ten ogród — powiedziałem. — Nie sądzi pan, że czas już na spacer przed snem? Zostaliśmy tu sami. Ale to było bardzo interesujące, co pan mówił.

— Zajmuję się tym stale — rzekł skromnie — w chwilach wolnych od zajęć. Ma pan rację, możemy rozmawiać spacerując. Skoczę tylko do siebie i coś zarzucę na ramiona. Robi się chłodno, a ja jestem skłonny do przeziębień.

— Zaczekam w ogrodzie — zawołałem za nim i zbiegłem po stopniach. Już ja się postaram, żeby mnie nie znalazł.

Pod drzewami było ciemno. Niebo dogasało. Widziałem białe smugi obramowań ścieżek, po kilku krokach między drzewami zjawiła się ciemna gęstwa krzaków. Wyjąłem papierośnicę i zaraz schowałem. Było nieco chłodniej, świeżo. „Oddychaj wiejskim powietrzem — pouczała mnie podczas ostatnich wakacji Alina. — Dymem oddychasz w mieście”. Przystanąłem, oparłem się o szorstki pień drzewa, przymknąłem oczy. Nie

widzieliśmy się od tamtych wakacji. Wtedy był sierpień, gorący jak teraz.

— I ten sam zapach macierzanki. Pamiętasz?

Zdawało mi się, przez chwilę, że to dalszy ciąg moich myśli. Ale ten głos płynął bez przerwy, z bliska, zza krzaków rosnących tuż za szpalerem drzew.

— Pamiętasz, wydawało się nam, że robimy okropne głupstwo, które potem trzeba będzie długo naprawiać. Tylko ja byłam optymistką. Ty się strasznie bałeś. I teraz, widzisz, chyba jesteśmy blisko szczęśliwego końca. Coś mi się wprawdzie zdaje, że Hanka bardziej się bawi tą sytuacją, niż ją poważnie traktuje, ale on świata za nią nie widzi. Zgodził się przecież na rozwód z łatwością.

Chwila ciszy. Czyj to głos? A właściwie, cóż mnie to obchodzi. To głos Ludmiły Wąskiej, oczywiście. Tylko ona może mówić takie rzeczy. Już chciałem odejść, kiedy odezwał się Klemens.

— Masz rację, trochę się bałem — mówił cicho. — Bałem się, że w muzeum wybuchnie skandal. Tym bardziej byłbym teraz szczęśliwy...

Boże, przecież to całkiem rozsądny człowiek! Dlaczego mówi takimi okropnymi sloganami? I dlaczego ja ich słucham?

— ...gdyby nie ta historia. Chodzę jak zatruty, nie mogę się cieszyć nawet tobą. Poradź mi. Ja bardzo wierzę w Jacka, jeżeli on to weźmie na siebie, odetchnę. Zajmę się tylko tobą, pojedziemy na wycieczkę do Włoch albo Grecji, dobrze? A w zimie się pobierzemy.

Zatrzymałem się, cofnąłem. Przecież padło moje imię.

— Więc to naprawdę tak poważnie wygląda? — zdziwiła się Ludmiła. — Kiedy mi o tym powiedziałeś pierwszy raz, myślałam, że po prostu jesteś nie w formie. Nie można się tak przejmować. To przykra sprawa, ale... Zobaczysz, wszystko się wyjaśni, nie jesteś niczemu winien.

— Nie rozumiesz, Ludeczko — denerwował się Klemens. Skąd on wziął tę Ludeczkę? Jeśli ona nazwie go Klem, wyskoczę z wyciem zza drzewa i zacznę cytować... mniejsza o to, kogo. — Nie rozumiesz! To nie jest żadna przykra sprawa! To afera! I przecież, zrozum, w to musi być zamieszany ktoś z

odpowiedzialnych pracowników muzeum! Chwilami myślę, że byłoby lepiej, gdybym o tym nie wiedział...

— A może to przypadek? Pozory? — zapytała niepewnie Ludmiła.

— To nie są pozory, kochanie. A przypadek? Oczywiście, tylko dzięki przypadkowi to się wydało. Gdybym nie przejrzał przypadkowo jednej ze skrzyń nie skatalogowanych zbiorów, gdybym nie zaszedł przypadkiem do poznańskiej Desy, nikt by na to nie wpadł. Nigdy! Ja sam nie chciałem wierzyć. Dlatego nikomu o tym nie wspominałem. Dlatego szperałem ciągle w nieskatalogowanych zbiorach. Ale teraz już nie mam wątpliwości. Te zbiory szły do Desy w całym kraju, szły za granicę. I teraz muszę coś z tym zrobić. Choćby się miało okazać, że nie jeden, a wszyscy moi współpracownicy są złodziejami i pójdą za kraty...

Już nie miałem ochoty odejść. Więc to była ta sprawa, o której Klemens miał ze mną wieczorem rozmawiać. Więc dlatego zaprosił mnie na weekend. A ja, naiwny, cieszyłem się na te dwa dni odpoczynku, na możliwość pierwszej krótkiej podróży nowo kupionym maluchem.

Tymczasem za krzakami panowała cisza, przerywana tylko jednostajnym, regularnym odgłosem, jakby ktoś otwierał błyskawicznie butelki z wodą sodową. Były to pocałunki pani Ludmiły.

Kochanie — mówiła — kochanie! Przecież nie jesteś niczemu winien. Przecież sam mówisz, że tylko dzięki przypadkowi udało ci się wpaść na ślad. A jednak wpadłeś! Rozczarujesz się do kogoś, ale masz mnie! Powiedz wszystko temu twojemu Jackowi i nie myśl o tym więcej. Proszę cię, Klem!

No tak, więc padło to słowo. Klem! Co więcej, nastąpiła po nim przedłużająca się cisza, a po niej już nie kilka, a skrzynia butelek z wodą sodową zaczęła eksplodować z taką mocą, że wycofałem się pośpiesznie, mimo wszystko zażenowany, bo jednak podsłuchałem czyjaś prywatną rozmowę, czego jako żywo nie mam w zwyczaju. Łagodziła to uczucie myśl, że i Klemens wywiódł mnie w pole, bo przecież zaprosił mnie na odpoczynek, a co więcej, interesował się obłudnie moim

maluchem podczas telefonicznej rozmowy i wyrażał chęć zobaczenia go jak najszybciej. I ani spojrział.

Szedłem przed siebie ścieżką przez ciemny już zupełnie ogród. Obok dużej kępy drzew ścieżka rozwidlała się, przystanąłem niepewny, przez chwilę nie wiedziałem, z której strony jest dom, jak wrócić na taras; to zabawne, zgubić się w niewielkim ogrodzie. Zerwał się lekki wiatr, głuchy szmer przebiegł przez korony drzew, nie zdziwiłbym się, gdyby po tym parnym, gorącym dniu nadciągnęła letnia, gwałtowna burza.

Nie słyszałem kroków, zobaczyłem tylko ciemną sylwetkę, przesuwaną się za drzewami, potem, z bliska, rozpoznałem jasną sukienkę Hanki.

— To pan — powiedziała biorąc mnie pod rękę. Była lekko zadyszana. — Niech się pan ze mną przejdzie. Dobrze?

— Proszę prowadzić. Właśnie się zastanawiałem, jak tu rozstawić strony świata.

— Zgubił się pan w ogrodzie Klemensa? Niech się pan nie dziwi, mnie się to też kiedyś zdarzyło. To niewielki ogród, ale okropnie dziki.

Po lewej stronie zaczerniła się siatka wysokiego ogrodzenia.

— Często tak pana prowadzą kobiety po ogrodach?

— spytała zaczepnie. — Jakoś pan to za naturalnie przyjmuje. I niech pan sobie, broń Boże, niczego nie wyobraża.

— A czegoż to, na litość boską, mam sobie nie wyobrażać?

— No proszę. Niczego, oczywiście niczego.

— Przeciw komu tak pani ze mną spaceruje?

— Pan jest bezczelny, prawie tak jak ja.

— Ostro mnie pani ocenia.

— Dziękuję, zrozumiałam. Mimo to pana nie zwalniam.

— Więc i ja dziękuję.

Zatrzymała się, spojrzała na mnie z bliska, widziałem tylko niewyraźny zarys jej twarzy.

— Zaczyna mi się to podobać — powiedziała.

— Mnie przestaje.

— Mógłby pan być trochę grzeczniejszy.

— Kiedy nie myślałem o pani, przepraszam.

— A to jeszcze ciekawsze. O ile można sądzić, nie podoba się panu ta... hm, swoboda obyczajów, którą tu nietrudno zauważyć. Proszę pana, ja z tym nie mam nic wspólnego.

— A to też nietrudno zauważyć.

— Myśli pan? Wydawało mi się, że jest wręcz przeciwnie. Ale to dobrze, że pana nie zmyliły pozory. Uciekłam od Ludwika, kiedy tylko przestał być zabawny. Jak to, od jakiego Ludwika, no, od Wąskiego. Mam dość tej sytuacji. On wciąż tego nie może zrozumieć.

— Chodźmy, pani Hanko. Nie rozumiem, dlaczego pani przeszkadza ta sytuacja. Przecież to nie pani ją stworzyła.

— Ach, to nie to. Przecież mnie ten człowiek naprawdę nic nie obchodzi.

— To ładnie. Ale ja nie o tym myślałem. Ostatecznie ludzie się kochają, rozchodzą i schodzą. Jeśli im to nie przeszkadza, że wszystko dzieje się na oczach osób zainteresowanych, to i ładnie. Ale mnie się wydaje, że Klemens ma jakieś zawodowe kłopoty.

Drgnęła lekko, zacisnęła palce na moim ramieniu i zaraz zwolniła ucisk.

— Zawodowe kłopoty? — powtórzyła. — To znaczy?

— Ach, nie wiem. Tak mi się wydawało. Ale mniejsza z tym.

— Nareszcie! — rozległ się głos Stanisławskiego. Lekki szelest trawy tuż przy nas, i z trawnika podniósł się amator meksykańskiego filmu. — Nareszcie. Gdzie mi pan zginął? To prawda, że chwilę mnie nie było, ale chciałem znaleźć książkę z reprodukcją kilku kadrów z meksykańskich filmów. To znakomicie uzupełnia moje wywody. O, proszę.

I zaszeleścił w ciemności kartkami książki.

— Śliczne — powiedziałem.

Hanka roześmiała się głośno.

— Czyś ty zwariował, Tadziu? A schowaj że do diabła tę książczynę! Przecież nawet nie widzę twojego wysokiego czoła i fotogenicznej twarzy!

— Mam zapaliki — nie ustępował Stanisławski.

— Służę zapalniczką — odezwał się z ciemności docent Bajbun.

Trzasnął kamień i mały, żółty płomyczek wydobył z mroku pociągłą twarz matematyka.

— Dom wariatów — westchnęła Hanka.

Zrezygnowany sięgnąłem po papierosy.

— Mnie też — poprosiła Hanka. Zapaliliśmy.

— Wracajmy na taras — powiedziałem. — Zdaje się, że ktoś tam już jest.

Rzeczywiście, w głębi, za drzewami, zabłysło światło lampy na tarasie.

— Szukałem państwa — mówił Bajbun idąc za nami. — Nie lubię sam spacerować. Podzieliłem ogród na sektory i systematycznie je przeszukiwałem. Państwo byliście w ostatnim.

— Zastosował pan w praktyce teorię pościgu — mruknąłem.

Szedłem z Hanką przodem, nie puszczała mego ramienia.

— Zdaje mi się — szepnęła — że oni słyszeli naszą rozmowę. Psiakrew!

— A jeżeli nawet?

— Wieczór mamy ciepły, nieprawdaż? — rzekł rażno Kitowicz. Siedział na wiklinowym fotelu w jasnym garniturze, z dymiącą fajką w ręku. Jego siwe, gładko zaczesane włosy lśniły ostro w świetle lampy. Czyżby używał lakieru?

— Prawdaż — odpowiedziała lakonicznie Hanka.

Coś mi kazało przenieść wzrok ponad głowę Kitowicza. W otwartych drzwiach hallu stał doktor Wąski. Ludwiczek. W jego wzroku, utkwionym w Hance, był cały ocean rozpaczy i wyrzut tak głęboki, że zdawało mi się przez chwilę, że patrzę na scenę z niemego filmu.

— Przynieś nam coś do picia, Ludwiczku — powiedziała obojętnie Hanka—jesteśmy spragnieni.

Wtedy Ludwiczek spojrział na mnie. To był także niemy film, ale już nie melodramat, tylko tragedia.

Nieszczęsny kochanek poszedł w głąb domu, a my rozsiedliśmy się na leżakach i wiklinowych fotelach.

O lampę objęły się wielkie ćmy.

— Co za szczęście, że tu nie ma komarów — westchnęła Hanka.

Nadszedł Klemens, a wkrótce po nim pani Ludmiła. Była starannie umalowana, nie wiem, jak to zrobiła w tych ciemnościach.

— Pić, pić — zawołała rzucając się na leżak, aż niebezpiecznie zatrzeszczało płótno.

— Ludwiczek już poszedł — wyjaśniła Hanka.

— Na co masz ochotę, Ludeczko? — zainteresował się Klemens.

Ale w tej chwili nadszedł Wąski z tacą pełną szklanek, rozdał je wszystkim, po czym usiadł na jednym wolnym fotelu, obok pani Ludmiły. Ludwiczek i Ludeczka spojrzeli na siebie i ostentacyjnie odwrócili głowy.

Nagle na poddaszu z trzaskiem otworzono okno.

— Spać! — zawrzasnął z góry rotmistrz Pacholak.

— Potem znowu będziecie leżeć do dziesiątej! Lepiej świt boży zobaczyć! Spać!

— Wuj ma rację — powiedział Klemens. — Czas do łóżka. Rano wybierzemy się nad rzekę.

— Czas do łóżka! — rażno powtórzyła pani Ludmiła, patrząc z uwielbieniem na Klemensa. To hasło zabrzmiało w jej ustach co najmniej dwuznacznie.

— Czas do łóżka — zawtórował jej jak echo Ludwiczek, ale bez entuzjazmu, raczej szaro i smętnie. Spojrzał przy tym na Hankę z mieszaniną smutku, nieśmiałej nadziei i determinacji, gotowej jednakowo na przyjęcie sukcesu i klęski. A Hanka mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

W małym zamieszaniu, jakie powstało na tarasie, Klemens zbliżył się do mnie, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo dopadł nas Bajbun. Staliśmy jeszcze chwilę w trójkę na tarasie paląc papierosy, taras opustoszał, Bajbun powiedział „Dobranoc” i zostaliśmy sami.

— Jest kwadrans po dziesiątej — powiedział Klemens. — Mam wyrzuty sumienia. Pewnie jesteś zmęczony, chcesz spać.

— Nie jestem zmęczony i nigdy o tej porze nie chodzę spać. Możesz mną rozporządzać. Kiedy mam przyjść? Teraz, za godzinę?

Weszliśmy do hallu, Klemens zgasił światło, tylko w głębi

jaśniały otwarte drzwi na korytarz.

— Jeżeli ci to rzeczywiście nie robi różnicy — powiedział Klemens — to spotkajmy się za godzinę. Ale bądź ze mną zupełnie szczerzy, możemy ostatecznie przenieść tę rozmowę na jutro.

— Jestem zupełnie szczerzy. Przyjdę za godzinę.

— Dziękuję ci, Jacek. Nie wiesz, co to dla mnie znaczy. Pójdę teraz do siebie. Ogarnę się trochę, nastawię ekspres.

A rzeczywiście powinien się ogarnąć. Tam, w ogrodzie, nie stał dokładnie śladów szminki pani Ludmiły, miał je nawet na koszuli. Zbliżyliśmy się już do drzwi korytarza, kiedy kątem oka dostrzegłem jarzący się w ciemności ognik papierosa. Przystanąłem, odwróciłem się.

— Dobranoc panom — posłyszałem głos Bajbuna.

— Pałę strzeżniennego.

— Dobranoc — odpowiedzieliśmy.

— Byłem przekonany, że Bajbun jest już u siebie — szepnął Klemens. — To na razie.

— Na razie.

Wbiegłem po stopniach na piętro. Nie zapalając światła w pokoju, otworzyłem drzwi na balkon, wyszedłem. Nagły podmuch wiatru trzasnął drzwiami, wróciłem, zamknąłem je starannie, potem oparłem się plecami o poręcz, zapaliłem papierosa. Wiatr był coraz silniejszy, napływał falami, między którymi zapadały krótkie, niepokojące chwile ciszy. Najbliższe drzwi, do pokoju Hanki, były ciemne. Dalej, u Wąskiego i Stanisławskiego, paliło się światło. Po chwili zgasło to najdalsze; Stanisławski zaraz zaśnie i mam nadzieję, że mu się przyśni meksykański film. No i Hanka już śpi. Tak szybko?

— Można by przysiąc, że planuje pan włamanie — powiedziała Hanka. Stała tuż obok mnie, jak mogłem jej nie zauważyć?

— Ja? Ech, chyba nie. Nie lubię tłoku.

— Pewnie to znowu coś bezczelnego, ale nie rozumiem.

— Zaraz pani zrozumie.

W pokoju Wąskiego zgasło światło, a po chwili szczęknęły jego drzwi. Właśnie zapadła jedna z tych krótkich chwil ciszy,

więc posłyszeliśmy skradające się kroki Ludwiczka. Podszedł do drzwi Hanki, spróbował kłankę. Poczulem wargi Hanki na uchu.

— Niech się pan tylko nie waży mnie zdradzić — szepnęła. — Drzwi pokoju zamknęłam na klucz. A teraz cicho!

I położyła mi dłoń na ustach. Nie mogłem odmówić zagrania tej roli, oczywiście w dalszym ciągu niemego filmu, który zaczął się na tarasie: zazdrosny mąż, bo do tego się sprowadzała rola Wąskiego, skrada się przez balkon szukając niewiernej żony, która tłumiąc oddech stoi obok w ciemności w objęciach kochanka — bo do tego sprowadzała się znowu moja rola. Więc objąłem lekko ramiona Hanki, a ona, żeby nie wypaść z nastroju tej balkonowej sceny, położyła głowę na moim ramieniu.

Wąski zaklął cicho, a potem ruszył w stronę moich drzwi. Te były otwarte i Ludwiczek znikł w moim pokoju. Znowu szum wiatru, nic nie słyhać. Hanka zdjęła dłoń z moich ust.

— Idiota! — szepnęła. — Sprawdza, czy mnie tam nie ma.

— Ma pani włamanie w najczystszyim stylu. Jeśli za chwilę nie wyjdzie, spytam go, co tam robi.

— Już jest!

Przyzwyczailem się do ciemności, więc i ja zobaczyłem na jaśniejszym tle ściany sylwetkę Wąskiego, przesuwaną się teraz na drugi koniec balkonu, pod drzwi Stanisławskiego. Wejdzie tam? Wszedł.

— No i co za cham — powiedziała z najszczerzą pasją Hanka. — Szuka mnie po łózkach wszystkich mężczyzn na piętrze.

Nie bardzo wiedziałem, co mam odpowiedzieć, bo obyczaj Hanki były dla mnie wielką niewiadomą, ale uratowała mnie sytuacja.

— Kto tu, do jasnej niespodziewanej cholery! — wrzasnął Stanisławski. — Gdzie z tymi rękami, gdzie!

Trzasnęły drzwi, posłyszeliśmy przeproszający bełkot Wąskiego, potem obok jego sylwetki zjawiała się druga, biała i krępa, to Stanisławski w długiej, nocnej koszuli.

— Przepraszam cię, Tadziu, przepraszam najmocniej —

powtarzał Wąski. — Myślałem, że to mój pokój, pomyliłem drzwi.

— I zdawało ci się, żeś zastał w łóżku Lolobrygidę? — gderał, już spokojniejszy, Stanisławski — żeś mnie tak obmacywał? No dobra, dobra. Wyrwałeś mnie ze snu, to się zdenerwowałem. Idę spać.

— I ja, i ja — mamrotał Wąski. — Przepraszam cię, Tadiusz, dobranoc, dobranoc.

Jeszcze raz wrócił pod drzwi Hanki, wreszcie znikł w swoim pokoju. Znowu zerwał się wiatr. Staliśmy wciąż jeszcze bez ruchu. Obejmowałem ramiona Hanki, jej głowa spoczywała nadal na moim ramieniu. Podniosła twarz, poczułem jej ciepły oddech.

— No i co? — spytała spokojnie.

Na takie pytania w niemych filmach nie odpowiada się słowami. W dźwiękowych też nie. Nawet w meksykańskich.

Wiatr wzmagął się z każdą chwilą, zmieniał się w wichurę, huczał w koronach drzew. Trzaskały nie domknięte okna. Z daleka dobiegał głuchy pomruk grzmotów.

— Nie możemy tak stać — powiedziała Hanka. — Powiedz, czy my jesteśmy mądrzy? Dopiero dzisiaj się poznaliśmy.

— Jesteśmy mądrzy. I nie możemy tak stać. Zbliżyłem do oczu fosforyzowaną tarczę zegarka.

Było kilka minut po jedenastej. Balkonowa scena trwała blisko godzinę. Klemens już na mnie czeka.

— Pójdiesz spać, Haniu. Będzie burza. Boisz się burzy?

— Skąd wiesz? Boję się burzy.

— To nie zamykaj drzwi.

— Burza już się zaczyna.

— Nie, dopiero nadchodzi. Muszę jeszcze zejść na dół. Umówiłem się z Klemensem. Już na mnie czeka.

— Zobaczysz się z nim jutro.

Zawahałem się. Oczywiście, zobaczę się z nim jutro. Do diabła, zobaczę się z nim jutro! Sam mi to proponował. Grzmoty przewalały się za horyzontem.

— Chodź, uciekamy — szepnęła Hanka. — Czekaj, gdzie mój klucz. Jest.

Szczęknął klucz w zamku, raz, drugi.

— Nie mogę otworzyć — krzyknęła mi do ucha. Wiatr zagłuszał wszystko. — Psiakrew, jeszcze kto posłyszysz!

— Daj — powiedziałem — ja otworzę. Możesz na mnie liczyć.

— Tylko na ciebie.

„Możesz na mnie liczyć” — powiedziałem Klemensowi. „Tylko na ciebie” — odpowiedział. Oprzytomniałem. Otworzyłem drzwi. Oddałem Hance klucz.

— Przyjdę za godzinę — powiedziałem. — Nie gniewaj się. Daruj mi moje dziwactwa. Zastukam dwa razy, po trzy uderzenia.

I żeby nie przedłużać tej sceny, zostawiłem ją w otwartych drzwiach, wróciłem do siebie, przeszedłem po omacku przez pokój, nacisnąłem klamkę. Nie ustąpiła. Drzwi były zamknięte na klucz. Ja ich nie zamykałem. Zapaliłem światło. Klucz, o ile pamiętam, zawsze leżał gdzieś w pokoju. Zajrzałem do komody, na szafę. Nie ma. Zgasilem światło; wyszedłem na balkon, wciąż jeszcze tylko zdziwiony. W pokoju Hanki było jasno, zobaczyłem na firance jej cień. Następne drzwi prowadzą do hallu na piętrze, tędy wyjdę. Zamknięte. Przechyliłem się przez poręcz balkonu. W gabinecie Klemensa pali się światło, w pokoju obok też. Nie wyjdę tędy, za wysoko. Spojrzałem na ogród — gęsta, hucząca czerń. Narastał głuchy szum deszczu, poczułem na czole pierwsze grube krople. Wyjść przez pokój Hanki? Nie, jeśli wejdę do Hanki, już się stamtąd nie ruszę. Wróciłem do siebie, wyciągnąłem z kieszeni pęk kluczy. Suchy szczęk zamka rozproszył rosnące napięcie. Ktoś te drzwi zamknął przez pomyłkę. Drobiazg. Już jestem na korytarzu. Pali się niebieskawa lampka nad schodami.

W hallu na dole jest ciemno. Przeszedłem ostrożnie do drzwi korytarzyka, przekręciłem kontakt. Pokój Klemensa był nieco dalej, po przeciwnej stronie. Zastukałem, cisza. Nacisnąłem lekko klamkę. Ustąpiła.

Stałem na progu, rozejrzałem się. W pierwszej chwili, zdawało mi się, że pokój jest pusty. Paliła się lampka na wielkim, zarzuconym papierami biurku. Ściany, zakryte wysokimi regałami, tonęły w cieniu. Spojrzałem w dół i jednym

skokiem przypadłem do biurka.

Klemens leżał na podłodze, z rozrzuconymi rękami. Na jego białej koszuli, w okolicy serca, rozlała się ciemna plama krwi.

3

Ukląłem, rozchyliłem koszulę na piersi Klemensa, dotknąłem jego czoła. Wstałem. Klemens nie żył. Strzał był oddany z bliska, z paru kroków. Spojrzałem na zegarek. Kwadrans po jedenastej. Na tę godzinę byliśmy umówieni. Zginął niedawno, przed trzema, czterema minutami. Wiatr szalał w kominach, o szyby okna były strugi ulewy. Morderca musiał być blisko. Bardzo blisko. Minąłem go, przyczajonego w hallu lub na korytarzu. Wyjąłem pistolet, odbezpieczyłem, podszedłem do drzwi. Tkwił w nich wielki, staroświecki klucz. Przełożyłem go na zewnątrz, przekręciłem w zamku. Mała lampka w końcu korytarza przygasła, migotała niespokojnie. Odnalazłem kontakt, jasne światło zalało korytarz. Podszedłem do pierwszych drzwi, nacisnąłem klamkę. Zamknięte. Drugie drzwi — to samo. W kuchni pusto, drzwi wyjściowe zamknięte od wewnątrz.

Przebiegłem do hallu, zapaliłem światło. Nikogo, drzwi na taras zaryglowane dużą zasuwką, okna nie tknięte. Widocznie Klemens pozamykał je przed nadciągającą burzą. Nie, nikt tu nie dbał, aby stworzyć pozory, że sprawca przyszedł z zewnątrz. Morderca był w domu. Wróciłem na korytarz, zastukałem ostro do pokoju sąsiadującego z gabinetem Klemensa, raz, drugi. Wreszcie posłyszałem szmer, trzeszczenie sprężyn tapczanu — i w tej samej chwili drzwi następnego pokoju otworzyły się bezszelestnie i stanął w nich docent Bajbun, ubrany, ze świeżo zapalonym papierosem w ręce. Silne, migoczące przy uderzeniach piorunów światło lampy odbijało się w szklach jego okularów, nie widziałem oczu.

— Ach, to pan — powiedział bez zdziwienia. A pani Ludmiła Wąska spytała zaspanym głosem:

— Kto tam? Klemens?

— Proszę otworzyć — krzyknąłem, bo nowy atak wiatru napełnił dom szumem i stukotem — proszę otworzyć! Wypadek!

— Wypadek? — zapytał Bajbun bardzo spokojnie.

— Cóż za wypadek?

— Klemens nie żyje — odpowiedziałem krótko.

Zgrzytnął klucz, zobaczyłem panią Ludmiłę, rozczochraną, w niedbale narzuconym szlafroku.

— Co pan opowiada? — spytał Bajbun, odrobinę tylko szybciej niż zwykle. — Klemens nie żyje? Jak to Klemens nie żyje?

Oczy Ludmiły rozszerzyły się gwałtownie. Otworzyła usta, patrzyła, jeszcze nie rozumiejąc.

— Proszę przejść do hallu — powiedziałem. — Chcę, żebyście państwo byli w hallu, kiedy będę telefonował.

Ludmiła podniosła nagle ręce do czoła, odtrącając mnie wybiegła na korytarz, przypadła do drzwi Klemensa. Skinąłem na Bajbuna, podszedłem do niej, podczas gdy mocowała się z klamką. Znów zamigotało światło, gdzieś blisko uderzył piorun. Trzeszczały okiennice.

— Zamknąłem drzwi na klucz, pani Ludmiło — powiedziałem cicho. — Nikomu nie wolno tam wchodzić. Proszę usiąść w hallu. Zaraz tam przyjdę.

— Dlaczego nie wolno nikomu wchodzić? — uniósł się nagle Bajbun. — Może on potrzebuje pomocy? Pan nie jest lekarzem. Może to tylko atak? Proszę natychmiast otworzyć drzwi, pan nie ma prawa ich zamykać!

— Mam prawo — odpowiedziałem spokojnie. — Klemensowi nikt już nie pomoże. Strzelono do niego z odległości dwu kroków.

— Strze... strzelono? — zająknął się.

— Klem! — jęczała Ludmiła. Już mnie to nie śmieszyło. — Wpuśćcie mnie, to niemożliwe! Klem!

Wskazałem ją wzrokiem Bajbunowi, milcząc ujęliśmy pod rękę na pół przytomną Ludmiłę, przeszliśmy do hallu. Zostawiłem ich tuż za drzwiami, wróciłem na korytarz, otworzyłem gabinet Klemensa, podbiegłem do telefonu.

Podniosłem słuchawkę — cisza, nie ma sygnału. Nacisnąłem widełki raz, drugi, trzeci — telefon nie działał. Schyliłem się, aby obejrzeć gniazdko, i zakląłem z wściekłością. Z gniazdka zwisał strzęp wyrwanego kabla, część rozbitej pokrywy leżała na podłodze. Wyprostowałem się, rozejrzałem uważnie. Muszę obejrzeć pokój dokładnie, ale nie teraz i nie sam. Ktoś tu gra o wysoką stawkę i zależy mu na czasie. Muszę zobaczyć gości Klemensa... Prędko, jak najprędzej .

I znów — zgrzyt klucza w zamku, jasno oświetlony korytarz, hall, nad leżącą na kanapie Ludmiłą pochylają się Bajbun i Kitowicz. Na dźwięk moich kroków odwrócili się błyskawicznie.

— Czy to możliwe? — zapytał Kitowicz. Był trochę blady, w koszuli jeszcze przy kolacji nienagannie wyprasowanej, teraz zmiętej i potarganej, w wygniecionych i przybrudzonych spodniach, których ostre kanty podciągał przedtem z gracją małomiasteczkowego fryzjera. Pewnie się zdrzemnął w ubraniu. — Czy to możliwe? Posłyszałem jakiś hałas, wyszedłem z pokoju i pan docent...

— Telefon został rozmyślnie uszkodzony — przerwałem mu. — Proszę zająć się panią Ludmiłą, muszę zgromadzić wszystkich na dole.

I wbiegłem po schodach na piętro. Huk wiatru był tu jakby mocniejszy, niebieska lampka nad podestem schodów wydobywała z mroku jaśniejsze kontury drzwi. Zastukałem do Stanisławskiego, nie czekałem długo, otworzył szybko, przecierając zaspane oczy.

— Przepraszam, że pana budzę — powiedziałem. — Proszę zejść na dół, do hallu.

— I tak nie mogłem zasnąć przez tę cholerną burzę — mruknął. — Co się stało?

— Klemens nie żyje.

Otrzeźwiał momentalnie.

— Co pan powiedział?

Ale ja już stukąłem do Wąskiego.

— Kto tam? — krzyknął po chwili. A Stanisławski pogadywał za moimi plecami:

— Jak to nie żyje? Co mu się stało? Przecież...

— Proszę zejść na dół, wszystkiego się pan dowie — i podnosząc głos: — Joachim. Proszę otworzyć.

Pojawił się wreszcie, bosy, w kraciatej piżamie rozchełstanej na piersiach, z nieprzytomnym spojrzeniem, gotów skłąć mnie, zanim otworzę usta, ale powstrzymał go widok przerażonego Stanisławskiego — i po chwili, nie odpowiadając na gorączkowe pytania, popychał ich ku schodom, a kiedy wreszcie zeszli, zastukałem do Hanksi w umówiony sposób. Otworzyła natychmiast, była w lekkiej, przejrzystej piżamie.

— Słyszałam, że chodzisz po korytarzu i rozmawiasz — szepnęła. — Stałam przy drzwiach, ale nic nie rozumiałam. Ten wiatr tak okropnie gwizdże...

W głębi pokoju mała lampka rzucała jasny krąg światła na rozścielone łóżko.

— Narzucić coś na siebie — powiedziałem — i zejść do hallu.

Kiedy dowiedziała się wszystkiego, podniosła ręce do twarzy, milczała chwilę.

— Kto... dlaczego... — wykrztusiła wreszcie.

— Właśnie — odpowiedziałem.

Gdy wychodziliśmy, spojrziałem przypadkowo na drzwi mojego pokoju. Drgnąłem. Klucz tkwił w zamku — od zewnątrz.

W hallu zastaliśmy Ludmiłę siedzącą już normalnie, z chusteczką przy oczach, otoczoną przez grono ponurych, milczących mężczyzn; nikt tu się nawet nie silił na pocieszenia.

— Nareszcie! — zawołał Wąski. — Niechże pan nam wreszcie powie coś bliższego. Ja wciąż nie mogę uwierzyć...

— Chodźcie — powiedziałem — uwierzcie. Pan Kitowicz zostanie tu z panią.

Otworzyłem gabinet Klemensa, skupiliśmy się na progu, patrzyliśmy chwilę w milczeniu.

— To straszne — szepnął wreszcie Stanisławski i odwrócił głowę.

Zamknąłem drzwi.

— Wracamy.

Huk grzmotów był już jakby dalszy, matowy, stłumiony. Burza przechodziła, tylko deszcz szumiał monotonicznie za

oknami.

— Siadajcie — powiedziałem. — Morderca uszkodził telefon. Pojadę samochodem po pomoc. Zostaniecie tu, w hallu. Nikomu nie wolno wychodzić z domu.

— Nikt nie ma zamiaru — rzekł z godnością Wąski. Już był spokojny, tylko nieznaczne drżenie rąk zdradzało, że jest zdenerwowany — ale i tak nie rozumiem tego zakazu. Przecież...

— Dom jest zamknięty od wewnątrz — przerwałem.

— Morderca jest tutaj.

— Jacek! — krzyknęła Hanka.

— Pan... pan uważa... — zachłysnął się Stanisławski.

— Jesteście innego zdania? — spytałem. — Proszę, pan Stanisławski i doktor Wąski pójdą ze mną. Obszukamy willę.

Podnieśli się bez słowa.

— Zrobię kawy — zaproponowała niepewnie Hanka. Zabrzmiało to jakoś normalnie, rozładowało duszny nastrój napięcia i zagrożenia.

— Nie możesz wyjść stąd sama — zastrzegłem. — Nikt ani przez chwilę nie może być sam.

— Pójdę z panią — ofiarował się Kitowicz.

— A ja zostanę z panią Ludmiłą — rzekł smętnie Bajbun.

Przeszukaliśmy willę od piwnic po strych. Nie znaleźliśmy niczego, poza jednym. Poza pokojem na poddaszu, w którym mieszkał rotmistrz Pacholak. Zapomnieliśmy o nim wszyscy. Obudziliśmy go, opowiedzieli o wszystkim. Zszedł z nami na dół, trzęsły mu się wargi, długo nie mógł wykrztusić słowa. Staralem się na niego nie patrzeć. W hallu gorąca kawa parowała z płaskich filiżanek. Usiedliśmy w milczeniu. Rotmistrz Pacholak ukrył twarz w dłoniach, pani Ludmiła nie odejmowała od oczu chusteczki. Daleko, za horyzontem, przewalały się grzmoty. Deszcz chyba już ustał.

— Może by otworzyć okna — mruknął Stanisławski. — Duszno tu.

— Nie! — krzyknęła histerycznie Ludmiła. — Ja się boję! On może gdzieś tam być! W ogrodzie!

— O kim pani mówi? — spytał spokojnie Kitowicz.

— O nim! O mordercy! O Boże! — i znów podniosła chusteczkę do oczu.

— Nie wiem, czy pani właściwie ocenia sytuację — powiedziałem cicho. — Zbrodni nie mógł dokonać nikt z zewnątrz. Drzwi i okna były zamknięte.

— Chyba nie przypuszczasz... — zaczęła Hanka z nutką hysterii w głosie. Wąski drgnął. Teraz dopiero zauważył, że forma, w jakiej się do siebie zwracamy, nie należy do oficjalnych. Twarz Ludwiczka stężała, spojrział wolno na Hankę i na mnie.

— Już pan to powiedział, niedawno — wtrącił nerwowo Bajbun — ale to sprawa zbyt poważna, żeby ją przesądzać na podstawie tak niekompletnych przesłanek. Czy sprawdził pan wszystkie okna? Wszystkie?

— Nie — odpowiedziałem wolno — nie wszystkie. Sprowadzę ekipę śledczą. Wtedy dopiero będę mógł coś powiedzieć na pewno. Czas na mnie. Państwo tu zostanieie.

Wstałem, sięgnąłem po filiżankę.

— Niesłodzona — zerwała się Hanka. — Zaraz przyniosę cukier.

I wybiegła do kuchni.

— Może ktoś pojedzie z panem — zaproponował Stanisławski — zawsze to...

Przerwał mu przeraźliwy krzyk Hanki. Rzuciliśmy się bezładnie ku drzwiom. Hanka stała przy otwartym kredensie, z zamkniętymi oczyma, z rękami wyciągniętymi w obronnym geście. Potrząsałem ją za ramiona.

— Tam, tam — wyjąkała wskazując na cukierniczkę. Skupiliśmy się wokół niej. Podniosłem wieko.

— Niczego tu nie ma — powiedziałem.

— O, teraz tu! — wskazała palcem.

Po półce uciekał duży, czarny pająk.

— A niechże cię... — westchnął Stanisławski.

— Histeria... — mruknął Bajbun.

— Wszyscy jesteśmy zdenerwowani — powiedziałem. — No, mniejsza z tym. Weźmy cukier i wracajmy.

— Strasznie się boję pająków — szepnęła Hanka — a ten omal

mi nie wlaż na rękę. Ja bardzo przepraszam...

Rotmistrz Pacholak stał w drzwiach z nieobecną twarzą. Kiedy przechodziliśmy przez korytarz, rzekł do mnie nie odwracając głowy:

— Chciałbym go zobaczyć.

— Później, niech mi pan wybaczy. Ale teraz najważniejsze jest sprowadzenie pomocy.

W hallu siedziała na kanapie samotna Ludmiła.

— Co to było? — spytała cicho.

— Głupstwo — odpowiedział Wąski. Chyba pierwszy raz tego wieczoru zwrócił się do niej bezpośrednio.

— Hanka przestraszyła się pająka. Nerwy.

— Jadę — powiedziałem. I zwracając się do Stanisławskiego:

— Pan, zdaje się, chciał mi towarzyszyć. Przyjmuję chętnie, jeśli zna pan okolice.

— Najbliższy telefon będzie w Wieruszewie — podniósł się ochoczo — siedem kilometrów stąd.

Wcale mu się nie dziwiłem, że chciał się wyrwać z tego domu i tego nastroju.

— Otworzę okno — oświadczył stanowczo Wąski. Rozsunął kotarę. — Panie kapitanie! — krzyknął nagle.

— Panie kapitanie! Niech pan zobaczy!

Wąskie, boczne skrzydło wielkiego okna wychodzącego na taras, schowane za fałdami kotary, było ledwo domknięte.

— Klemens zamknął je dokładnie — oświadczył Bajbun. — Sam to widziałem. Siedziałem jeszcze w hallu z papierosem.

— Więc... — zaczął Stanisławski. — Nie dałem mu dokończyć.

— Proszę nie ruszać tego okna — powiedziałem. — Jedziemy.

4

Wyszliśmy przez kuchenne drzwi, ja w starej pelerynie Klemensa, Stanisławski w płaszczu deszczowym. Ale była to zbędna ostrożność, deszcz już nie padał, wiatr ucichł, otaczała, nas gęsta, wilgotna czerń. Zapaliłem latarkę, brnęliśmy przez kałuże do garażu. Ścisnąłem w rękę duży klucz, zdjęty z tablicy

w korytarzu koło kuchni, drzwi garażu były ciężkie, otwierały się ze zgrzytem zawiasów.

— Niech pan wyjedzie — powiedział Stanisławski.

— Ja zamknę za panem bramę.

W świetle latarki błysnęły szyby samochodów.

Zniżyłem snop światła, aby przejść między ścianą a moim fiacikiem, kiedy nagle spostrzegłem coś, co nawet mnie, początkującemu kierowcy, wydało się niepokojące. Felga koła znajdowała się dziwnie nisko, nad rozpląszczoną oponą. Przykląknęłam, oczywiście, w oponie nie ma powietrza. Machinalnie skierowałem latarkę na drugie koło i poderwałem się. Drugie koło też siedziało.

— No, co tam się dzieje? — zawołał Stanisławski.

— Same wesołe rzeczy — odpowiedziałem. Obszedłem samochód, obejrzałem pozostałe koła. Wszystkie opony były przebite. Widniały jeszcze na nich ślady płaskich, wąskich nacięć.

— Niech pan wejdzie — zawołałem do Stanisławskiego, a potem kolejno oświetliłem koła — ładna robota, prawda?

— To niesamowite — powiedział cicho. — Kto... Głupie pytanie, przepraszam. Nie rozumiem tego.

Obejrzałem samochód Klemensa. Koła były całe, ale ze stacyjki znikł klucz. Tkwił tam, kiedy wprowadzałem malucha. Pomyślałem sobie wtedy, że Klemens jest zbyt pewny zamków w swoim garażu, chciałem mu to powtórzyć, ale zapomniałem.

— I co teraz? — zapytał Stanisławski bezradnie.

Wyszliśmy, zamknąłem garaż.

— Ile jest do tego Wieruszewa? — spytałem. — Siedem kilometrów? No, to jesteśmy na razie uwięzieni. Rano trzeba się będzie zabrać jakimś samochodem z szosy. Można by tego spróbować i teraz, chociaż...

— To boczna droga — rzekł z powątpiewaniem Stanisławski.

— W dzień jeszcze jest nadzieja, zresztą chodzi tędy autobus. Ale w nocy... Może pan mieć szczęście, ale może pan też czekać do rana...

Nie, oczywiście, nie zostawię ich samych do rana. Ani na godzinę, bo tyle trwałby marsz, gdyby nie błoto i ciemność.

– Wracamy – rzekł bezbarwnie Stanisławski.

– Za chwilę. Obejdziemy dom.

– Chętnie – powiedział bez entuzjazmu i dodał niespokojnie: – Ma pan broń?

– Mam, proszę się nie niepokoić. Niech pan idzie za mną.

Ruszyliśmy boczną ścieżką, omiatałem światłem latarki pnie drzew, krzaki, zatrzymywaliśmy się przy oknach, oglądałem uważnie ścieżkę. Stanisławski nie odzywał się ani słowem, na każdy szelest obracał niespokojnie głowę.

– To ryzykowne – powtarzał od czasu do czasu. Ale po chwili uspokoił się, wreszcie te nocne podchody zaczęły mu się podobać.

– Zupełnie jak w filmie – sapnął z przejęciem. – Nie uważa pan? No, nie uważa pan?

– W meksykańskim? – spytałem.

– Żartuje pan.

Przystanąłem.

– Przyznam się – powiedziałem – że być może i bawiłby mnie ten film, gdyby nie to, że Klemens nie żyje. Już mi się dziś zdawało, że patrzę na film, i daję panu słowo, że znajdę reżysera.

– Ja... – zmieszał się Stanisławski – ja nie chciałem nic z tego... Ja też jestem wstrząśnięty... Rozumiem, pan jest oficerem milicji...

– Jestem oficerem milicji – przerwałem mu – ale byłem także przyjacielem Klemensa.

– Ja oczywiście – bąkał Stanisławski – ja tylko pomyślałem, że to scena z detektywistycznego filmu... Pan...

– W detektywistycznym filmie nie stoi się w ciemnym ogrodzie i nie prowadzi się bezsensownych rozmów. Chodźmy.

Znów zapaliłem latarkę, ruszyliśmy naprzód. Stanisławski milczał jak zakłęty. Minęliśmy róg willi od strony ogrodu, wyszliśmy przed taras.

– Panie kapitanie – szepnął Stanisławski. Więc się nie obraził. – Panie kapitanie, może on jeszcze jest w ogrodzie. A my idziemy z zapaloną latarką. Nie zdąży pan odbezpieczyć pistoletu... Wracajmy, i tak padał deszcz, żadnych śladów pan

nie znajdzie.

— Myśli pan? — spytałem. — Proszę, niech pan spojrzy.

Na trawniku, obok tarasu, leżała długa drabina. Pamiętam ją. Wsunęta za krzaki, oparta była o ścianę domu. Obejrzałem ją dokładnie, Stanisławski dreptał za mną.

— Drabina — powtarzał bezmyślnie — drabina...

— Widzi pan, jak leży? Oparta była o balustradę balkonu.

— Więc tędy wszedł? — zrozumiał wreszcie, przeraził się, przysunął się do ściany domu, tak że osłaniałem go od strony ogrodu. — Dlaczego jej nie schował na miejsce? — dodał wcale przytomnie.

— Ano właśnie. Niech pan spojrzy, jak ona leży. Została odtrącona, z góry, i upadła na trawnik.

Mówilem już zupełnie głośno.

— Może wiatr ją strącił — rzekł niepewnie.

— Może. Ale wtedy leżałaby inaczej.

— Więc... więc on jest w domu? — wykrztusił.

— Tak myślę. I dlatego nie starałem się ukryć naszej obecności w ogrodzie.

— Więc... więc... — bąkał — przecież przeszukaliście dom...

— Mój Boże... — powiedziałem. — Wracajmy.

Kiedy wchodziliśmy na wąskie, kuchenne schodki, Stanisławski przystanął nagle.

— A okno? — zawołał.

— Właśnie — mruknąłem. — Okno.

5

Przeszliśmy szybko przez jasno oświetlony korytarzyk, obok zamkniętych drzwi od kuchni, stanęliśmy na progu hallu. Hanka siedziała obok Ludmiły na kanapie, Wąski tkwił obok, w fotelu. Poza nimi nie było tu nikogo.

— Wróciliście? — krzyknęła Hanka. — Już?

Wąski zwrócił się w naszą stronę i patrzył pytająco, bez słowa. Ludmiła nie drgnęła.

— Mój samochód został uszkodzony — powiedziałem. — Z

samochodu Klemensa zabrano kluczyk — i nie zostawiając im czasu na pytania: — Dlaczego jesteście sami? Gdzie jest Bajbun, Pacholak, Kitowicz?

— Rotmistrz Pacholak czuł się bardzo źle — powiedziała Hanka — prosił, żeby go nie zatrzymywać. Chciał być sam, u siebie. To na nim zrobiło okropne wrażenie, był przecież jedynym bliskim krewnym Klemensa — w tym miejscu Ludmiła jęknęła rozzdzierająco — nie mogliśmy się nie zgodzić. Bajbun poszedł go odprowadzić. O, już wraca.

Istotnie, posłyszeliśmy ostrożne kroki na schodach i po chwili na półpiętrze błysnęły szkła okularów Bajbuna.

— A Kitowicz? — spytałem.

— Poszedł sobie zrobić herbaty. Nie może pić kawy — wyjaśnił Wąski.

— Dlaczego nie pojechaliście? — zdziwił się Bajbun.

— Właśnie — podchwyciła Hanka — samochody są uszkodzone? Kto je uszkodził?

— Kto wyrwał kabel telefonu w gabinecie? — odpowiedziałem pytaniem.

— I drabina... — wtrącił z przejęciem Stanisławski. Spojrzał na mnie wyczekująco.

Skinąłem głową.

— Proszę, niech pan opowie — i wyciągnąłem się w fotelu, zapaliłem papierosa, przymknąłem oczy. Stanisławski mówił ze swadą komentatora kroniki filmowej, nie przerywano mu, kiedy skończył, zapadła chwila głuchoj ciszy. Otworzyłem oczy. Ludmiła wpatrywała się okrągłymi, rozszerzonymi strachem oczyma w Stanisławskiego, Wąski nerwowo zacierał dłonie, Hanka skuliła się w rogu kanapy jak przestraszone zwierzątko, Bajbun bębnił nerwowo palcami o blat stolika.

— Więc on wszedł po drabinie przez balkon — szepnęła Hanka — ale jak wyszedł?

— Okno! — zawołał nagle Wąski. — Wyszedł przez okno! To jasne!

— To jasne! — powtórzył Stanisławski. — Więc jednak mógł być w ogrodzie, kiedyśmy obchodzili dom.

I umilkł, pełen podziwu dla własnej odwagi.

— Gdyby wyszedł przez okno — rzekł Bajbun przeciągając wyrazy — ukryłby drabinę.

Uśmiechnąłem się sztucznie, milczałem.

— Ukryłby drabinę... — szepnęła Hanka.

— Mógł zapomnieć — rzekł niepewnie Wąski — śpieszył się...

I znów chwila milczenia.

— Kitowicz — powiedział Wąski — słyszał kroki w ogrodzie. Siedział najbliżej okna.

— To myśmy chodzili przed tarasem — wyjaśnił skwapliwie Stanisławski.

— Kiedy on słyszał te kroki niedługo po waszym wyjściu — odezwała się Hanka — pan był już wtedy na górze — zwróciła się do Bajbuna.

— Staraliśmy się nie robić hałasu — powiedziałem.

— Dziwiłbym się, gdyby nas posłyszał. Czemuż on nie wraca?

Wąski spojrział machinalnie na zegarek.

— Pewnie czeka, aż zagotuje się woda — rzekł.

— Przecież zostawiłam pół czajnika wrzątku — zaniepokoiła się Hanka.

Wstałem bez słowa i wyszedłem na korytarz. Szeroki chodnik tłumił moje kroki. Jasne ściany odbijały światło silnej lampy, nie wiem dlaczego przez sekundę zdawało mi się, że jestem w szpitalu. Oto zamknięte drzwi kuchni, dalej, na wprost, drzwi wyjściowe. Nacisnąłem klamkę. Kitowicz leżał na podłodze, z rozrzuconymi rękami, we krwi. Przymknąłem oczy, stałem chwilę bez ruchu, szumiało mi w skroniach, miałem niedorzeczne uczucie, że jestem w gabinecie Klemensa, że czas się cofnął i wszystko zacznie się od nowa. Z daleka, z hallu, dobiegły mnie stłumione uderzenia zegara. Liczyłem je bezmyślnie: raz, dwa... osiem... jedenaście, dwanaście. Otworzyłem oczy, oprzytomniałem. Nachyliłem się nad Kitowiczem. I on nie żył. Wyprostowałem się, rozejrzałem uważnie. Obok, o krok od głowy Kitowicza, leżała ciężka, brązowa statuetka. Na jej podstawie widniały ciemne, wilgotne plamy. Pamiętam tę statuetkę. Stała zawsze na kredensie, przy wejściu. W szklance, na stole, parowała herbata. Morderca zaskoczył Kitowicza w chwili, gdy odstawiał czajnik na

kuchenkę.

Zamknąłem cicho drzwi kuchni, obejrzałem zatrząsk przy drzwiach wejściowych. Były zamknięte, sam je zamknąłem. Ale kiedy wróciliśmy do domu, otworzyły się po naciśnięciu klamki. Wolno wróciłem do hallu.

— A pan Kitowicz? — spytała Hanka.

— Nie żyje — odpowiedziałem cicho.

Wąski zerwał się pierwszy, z takim impetem, że odtrącone krzesło upadło z trzaskiem na podłogę. Nie wiem, kto krzyknął, chyba Hanka, jak wtedy, kiedy zobaczyła pajaka. Stanisławski patrzył na mnie nie rozumiejąc, Bajbun zachował spokój, stał nieporuszony za plecami Ludmiły, siedzącej niezmiennie na kanapie, tylko chusteczka zjechała w jej bezwładnej ręce od oczu ku otwartym ustom.

— Co... co pan mówi... — wykrztusił Wąski.

— Kitowicz nie żyje — powtórzyłem. — Leży w kuchni z rozbitą czaszką. Siadajcie. I ja mam tego dość.

Zapaliłem papierosa, oparłem się o ścianę.

— Siadajcie — powtórzyłem.

— Kitowicz... — mamrotał Stanisławski — dlaczego Kitowicz? W jaki sposób?

Wracali powoli na swoje miejsca, oszołomieni, bezradni.

— Proszę, opiszcie mi dokładnie, co się tutaj działo od naszego wyjścia — powiedziałem — wszystko, szczególnie.

— Boję się — jęczała Hanka. Ludmiła oddychała głośno, w jej oczach czaiła się histeria.

— Od waszego wyjścia — zaczął bezładnie Wąski

— od waszego wyjścia nic się nie działo. Siedzieliśmy tu bez przerwy. Rozmawialiśmy. Docent Bajbun odprowadził pana Pacholaka na górę. Kitowicz poszedł do kuchni. Żadne z nas stąd nie wychodziło... Żadne — powtórzył wolno, z zastanowieniem.

— Ani na chwilę?

— Ani na chwilę — odpowiedziała Hanka.

— Więc... — podjął Wąski.

— Zatem... — rzekł Bajbun.

— Więc ktoś tu jest! — krzyknęła histerycznie Ludmiła. — Więc on nie uciekł! Chowa się w domu, chodzi po ogrodzie, wszystkich nas zamorduje — podnosiła głos, coraz wyższy, coraz bardziej przenikliwy — wszystkich nas zamorduje, jak Klemensa, jak jego, zamor...

— Cisza! — wrzasnąłem.

Umilkła nagle, bez przejść, i istotnie zapadła chwila głębokiej martwej ciszy.

— Porozmawiajmy spokojnie — mówiłem. — Chodzi tu nie tylko o śmierć dwu ludzi, ale także o nas samych. Kiedy wychodziliśmy z domu, ja szedłem pierwszy, pan szedł za mną — zwróciłem się do Stanisławskiego. — Proszę, niech pan sobie przypomni, czy zatrzasnął pan za sobą drzwi?

— Nie... nie pamiętam — zająknął się. — Zaraz, zaraz... pan przekreślił zamek w prawo, aż zaskoczył... aja... ja chyba po prostu zamknąłem drzwi... na klamkę.

— Kiedy wróciliśmy, drzwi były otwarte.

— Więc wszedł — zawołał Stanisławski — obserwował nas i potem korzystając z okazji wśliznął się do domu.

— I ukrył się w kuchni — dodał Wąski.

— Jezus Maria — szepnęła Hanka — a mogłam ja tam pójść... a on czekałby za drzwiami...

— Dość — powiedziałem. — Pan Stanisławski łatwo się poddaje sugestii. Ja mu pomogę. Kiedy wychodziliśmy z domu, słyszałem trzask zamka. Nie zostawiliśmy otwartych drzwi. Ale zastaliśmy je otwarte.

— Więc on był w domu? Przez cały czas? — zerwała się Hanka — i uciekł dopiero... dopiero po tym... To niemożliwe.

— A jednak nie ma innego wytłumaczenia — rozłożył nerwowo ręce Wąski — skoro pan kapitan słyszał trzask zanika...

— A może — odezwał się Bajbun, po raz pierwszy od chwili kiedy wróciłem do hallu — a może Kitowicz otworzył mu drzwi, wpuścił go do środka. Może go znał, może był jego współnikiem...

— Może — powtórzyli zgodnym chórem Wąski i Stanisławski.

— Może — uśmiechnąłem się z przymusem — może. Tyle tylko, że to nieprawda. Za dużo tu trochę tych wejść i wyjść,

drabin przystawionych do balkonu, nie domkniętych okien, otwartych cudownym sposobem drzwi. O wiele za dużo. Kitowicz nie spodziewał się ataku. Rzeczywiście, robił sobie herbatę, stoi tam na stole, jeszcze ciepła. Uderzono go z tyłu, kiedy odstawiał czajnik z wrzątkiem na kuchenkę. To znaczy...

— To znaczy... — powtórzyła jak echo Hanka.

— To znaczy, że Kitowicz znał zabójcę. Że nie zdziwił się, kiedy on wszedł do kuchni, nawet się nie odwrócił. Jednym słowem, to znaczy, że zabójcą jest ktoś z was.

Wyglądało to tak, jakby przez pokój powiał mroźny wiatr. Twarze ludzi siedzących przede mną ścięły się w zaskoczeniu i napięciu.

— To... to insynuacje... — syknął Bajbun.

— To fakty — powiedziałem spokojnie.

Bajbun uśmiechnął się nagle.

— Pan zapomina, panie kapitanie — rzekł uprzejmie — że każdy z nas ma do pewnego stopnia alibi. Tak to się nazywa w przyzwoitych filmach kryminalnych, nieprawdaż?

— Pańskie porzekadło, panie docencie — odpowiedziałem równie uprzejmie — zabrzmiało co się zowie aktualnie. Każdy z was ma alibi. Do pewnego stopnia.

— Przecież nie ruszaliśmy się z hallu! — wykrzyknął Wąski.

— Za to pan... — zwrócił się całym ciałem w stronę Bajbuna — za to pan...

— Cóż ja? — spytał chłodno Bajbun. — Odprowadzałem pana Pacholaka. Na drugie piętro.

— Bardzo długo pan nie wracał — rzekł Wąski przeciągając wyrazy. — Wyszedł pan zaraz po kapitanie...

— I sfrunąłem z piętra na ziemię — uśmiechnął się ponownie Bajbun — a potem wróciłem tą samą drogą. Zresztą niech się pan przyjrzy moim butom. Na dworze, zdaje się, sądząc po kapitanie i panu Stanisławskim, jest trochę mokro. A moje, proszę — do pewnego stopnia suche.

— Do pewnego stopnia... — rzekł szyderczo Wąski i demonstracyjnie odwrócił głowę od zadzierającego wysoko nogi matematyka.

— A pańskie buty? — nie ustępował Bajbun. — Proszę, niech

pan pokaże swoje buty!

— Co panu do moich butów! — wrzasnął Wąski. — Coś pan, szewc?

— Pan przypuszcza — wtrącił gorączkowo Stanisławski — że doktor Wąski z hallu do kuchni chodził przez ogród?

— Istotnie — zgodził się Bajbun — ale chciałem uprzytomnić panu Wąskiemu, jak niemiło jest paść ofiarą bezsensownych podejrzeń.

— No oczywiście — szepnąłem do siebie — każdy harcerz o tym wie.

— Proszę? — nie dosłyszał Bajbun.

— Przestańcie się, panowie, oskarżać — powiedziałem głośno. — Mamy przed sobą kilka godzin do świtu.

— Ja nie zasnę — wstrząsnęła się Hanka.

— Nikt nie zaśnie. Zostaniemy tutaj. Nie możemy stracić tych paru godzin. Chcę z państwem porozmawiać. Tu obok jest pokój Kitowicza. Weźmy się w garść. Nie możemy rozejść się do siebie. Każdy z nas jest zagrożony. Powtarzam, chcę z wami rozmawiać, z każdym pojedynczo.

Podszedłem do wychodzących na hall drzwi pokoju Kitowicza, otworzyłem je, przekreśliłem kontakt.

— Tutaj — mówiłem — będziemy blisko siebie. Brak tylko rotmistrza Pacholaka. Pójdę po niego. Zaraz wrócę.

Odwrociłem się na pięcie, wszedłem na schody. Spojrzałem jeszcze na nich z półpiętra. Przypominali galerię manekinów, nieruchomi, nastroszeni, wpatrzeni martwo przed siebie. Przechyliłem się przez poręcz.

— Nikomu nie radzę ruszać się stąd o krok! — zawołałem.

Kiedy wracałem, siedzieli tak samo. Pod sufitem unosiły się pasma dymu. Przeszedłem szybko przez hall, otworzyłem szeroko drzwi na taras, fala świeżego, wilgotnego powietrza wtargnęła do pokoju.

— Siedzimy jak na oświetlonej scenie! — zaprotestował Wąski odsuwając się z krzesłem pod ścianę.

— Ale widownia jest pusta, zaręczam panu — odpowiedziałem. — Rotmistrz Pacholak bardzo źle się czuje. Ale zjedzie do nas później.

— Ćma! — zawołała Hanka.

— Będzie ich więcej — zauważył obojętnie Bajbun.

Wyciągnąłem się na fotelu.

— Chętnie napiłbym się kawy — westchnąłem — ale obawiam się, że to niemożliwe.

— Istotnie, duży kłopot z tą kuchnią — podjął tonem towarzyskiej konwersacji Bajbun — ale u mnie w pokoju jest maszynka elektryczna. Jakoś to można zorganizować.

— Kawa jest jeszcze w dzbanku — podniosła się Hanka. — Pewnie nie za ciepła, ale zawsze.

I nałała po pełnej filiżance mnie i sobie. Wypiłem, zapaliłem papierosa, podniosłem się i spojrzałem na Hankę.

— Przejdź ze mną do pokoju Kitowicza — powiedziałem łagodnie.

— Nie wiem, jaki może być cel tych przesłuchań — sarknął Wąski. Miałem wrażenie, że bardziej niż śledztwo wzburzył go fakt, iż zacząłem od Hanki. — Wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji, a pan nie ma żadnych technicznych warunków dla prowadzenia dochodzeń.

— Niechże się pan tym nie przejmuje — powiedziałem wzruszając ramionami i ruszyłem w stronę otwartych drzwi pokoju. Hanka posłusznie poszła za mną. Miała zaczerwienione oczy, gdzieś znikła jej swoboda i tupet. Zamknąłem starannie drzwi, usiadłem przy stoliku, wskazałem Hance wolny fotel.

— Nie przewidzieliśmy programu tej nocy, prawda? — spytałem.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem, rozłożyła ręce.

— Wierzyć mi się nie chce, że to było zaledwie przed dwiema godzinami — szepnęła.

— Przed dwiema godzinami — podjąłem tym samym tonem — Klemens czekał na mnie u siebie. A ja miałem piekielną ochotę nie przyjść na tę rozmowę, zaczekać z nią do jutra — Hanka spuściła wzrok — ale widzisz, jestem ci winien wyjaśnienie. Wiedziałem, o czym Klemens chce ze mną mówić. Wiedziałem, jakie to ma dla niego znaczenie. Dlatego nie mogłem zostać.

— Dlatego — powtórzyła.

— I dlatego w kwadrans potem nie miałem wątpliwości, że

morderca nie przyszedł z zewnątrz. Że grał z nami w siatkówkę, spacerował po ogrodzie, jadł kolację.

Spojrzała na mnie z przestraczem.

— Co... co on miał ci powiedzieć? — wyjąkała.

Nachyliłem się ku niej.

— Posłuchaj i pomóż mi. Są u was w muzeum wielkie ilości nie skatalogowanych zbiorów.

— Są — skinęła głową.

— Te zbiory systematycznie przedostawały się do Desy i za granicę. Ktoś korzystał z sytuacji i świetnie na niej zarabiał. Przy tym mógł być niemal pewny bezkarności. Praktycznie rzecz biorąc to jest prawie nie do odkrycia. Klemens wpadł na ślad przez najczystszy przypadek. Dziś, po tylu latach, nikt w końcu nie wie, ile skrzyń zwieziono tu z ziem zachodnich, z dworów i pałaców. I co te skrzynie zawierają. Dlatego można było robić z nimi, co się komu podobało, pod warunkiem zachowania pozorów, zachowania ostrożności i dyskrecji. Oczywiście, mógł to robić tylko fachowiec. Rozumiesz teraz, co dręczyło Klemensa. Wiedział, że to ktoś z was. Nie wiedział kto. I gryzł się, wahał, zastanawiał. Człowiek, który go zabił, zrozumiał, że nie dojdą do porozumienia. Znał bezinteresowność Klemensa. Może by Klemens zachował dyskrecję, gdyby otrzymał obietnicę, że okradanie muzeum skończy się nieodwołalnie. Znałem go przecież, bywał aż nadto wyrozumiały, chętnie unikał konfliktów, szedł na kompromisy. Ale na dalsze kradzieże, na czynne czy choćby tylko bierne uczestniczenie w sprzedaży zbiorów, nigdy by się nie zgodził. A któż by przerwał tak świetnie rozwijający się interes?

Hanka podniosła głowę, odgarnęła włosy znad czoła.

— To ciężkie oskarżenie, Jacek — powiedziała. — Przecież nie możesz mieć pewności, że tu chodzi o kogoś z nas. Nie tylko my pracujemy w muzeum, a przy katalogowaniu zbiorów tylko Tadek Stanisławski. Za niego mogę ręczyć. Chyba nie przypuszczasz, że Klemens by nas zaprosił, gdyby sądził...

— Dlaczego nie miałby was zaprosić? Zresztą mniejsza o przypuszczenia. Przyjechałem także ja. Oficer milicji. Klemens prosił mnie o rozmowę. Chciał mi wszystko powiedzieć, chciał

zrzucić z siebie ten ciężar. Zamordowano go kilka minut przed moim przyjściem.

– Ale dlaczego sądzisz, że chodziło o tę rozmowę? Przecież...

– Przestańmy się czarować, Haniu. Morderca wiedział, że przyjdę, i wiedział, o której. Zamknął mnie w pokoju.

– Zamknął cię? — zdziwiła się.

– Minęło trochę czasu, zanim otworzyłem drzwi swoim kluczem. Nadeszła burza. Nie było słyhać strzału.

Hanka ujęła dłońmi twarz, kręciła niedowierzająco głową.

– A jednak... — powtarzała — a jednak... dlaczego zginął Kitowicz? Jacku, ja go znałam. On naprawdę nie może mieć nic wspólnego z tą sprawą. I wątpię, bardzo wątpię, żeby Klemens mógł mu się zwierzyć.

– Właśnie, śmierć Kitowicza — podchwyciłem — bez sensu, prawda? I właśnie ona mnie utwierdza w przekonaniu, że mam rację. Spójrz, siedzimy w jego pokoju. Te drzwi wychodzą na hall. Kiedy ściągnąłem was wszystkich na dół, Kitowicz był jeszcze ubrany. Musiał przedtem wychodzić z pokoju. Może szedł do łazienki, może, czy ja wiem, do kuchni po zapalki?

I musiał zobaczyć kogoś — kogoś z was — na dole. Przed pokojem Klemensa, w korytarzu, w hallu, czyja wiem. Nie skojarzył sobie tego ze śmiercią Klemensa, nie mogło mu się pomieścić w głowie, że mordercą może być jeden ze stałych, weekendowych gości tego domu. Ale tamten wiedział, czym mu grozi zeznanie Kitowicza, które złożyłby w najlepszej wierze przy rozpoczęciu normalnego śledztwa. I usunął go. Tak jak się wyrzuca niepotrzebny pędzel do golenia.

– To są tylko domysły... — wyjąkała.

– A oczywiście. Ale bardzo prawdopodobne, nie sądzisz? No, dość tego. Nie chciałem cię straszyć. Musiałem z kimś pogadać, a nie mam tu nikogo poza tobą.

Uśmiechnęła się blado, położyła rękę na mojej ręce. Jej palce były długie, kształtne, ciepłe.

– Chciałabym, żeby skończyła się już ta noc — wyznała.

Wstałem, zapaliłem papierosa, zacząłem spacerować po pokoju.

– Czy możesz mi coś powiedzieć o stosunkach w muzeum?

— spytałem. — O Klemensie? O tych zbiorach? O całej tej sprawie?

Potrząsnęła z zastanowieniem głową.

— Boję się, że niewiele — powiedziała bezradnie.

— Może jestem gapa, ale naprawdę nie zauważyłam niczego nadzwyczajnego. Klemens wydawał mi się taki jak zawsze... To prawda, że mnie mało obchodzi muzeum i trochę nudzą plotki, więc ich nie słucham. Spotykamy się tu często, prócz pracowników muzeum Klemens zapraszał zawsze kogoś spoza środowiska, jak ciebie, Bajbuna, Kitowicza... Więc i tym razem wszystko było w normie. Czy ja wiem... Ale... ale ty mnie chyba nie posądzasz? — uśmiechnęła się.

— Jakoś nie — odpowiedziałem jej uśmiechem. — Masz znakomite alibi. Byłaś ze mną do ostatniej chwili. Dziękuję ci, Haniu. Poproś docenta Bajbuna. Czy on często tu bywał?

— Chyba ze dwa, trzy razy — podniosła się. — Jak Kitowicz. Nie powiem, żebyś mnie uspokoił.

Ale mimo wszystko wyglądała na znacznie spokojniejszą niż przedtem.

Zamiast Bajbuna do pokoju wszedł Wąski.

— Panie kapitanie — zaczął od progu. — Wszyscy, oprócz Tadka i Bajbuna, siedzimy w piżamach i szlafrokach. Jeżeli już mamy nie kłaść się tej nocy, czy pan nie uważa, że powinniśmy się ubrać? Ranki są chłodne.

— A oczywiście — podniosłem się. — Ranki są chłodne. Chodzi więc o pana, Hankę i panią Ludmiłę.

I wyszedłem za nim do hallu. Spojrzałem na zegarek, zbliżała się pierwsza. Hanka i Ludmiła podniosły się, patrzyły na nas wyczekująco, gdy nagle na górze rozległ się potężny łoskot i stłumione przekleństwo. Ludmiła krzyknęła cienko, skoczyłem ku schodom, wbiegłem na piętro. Z podłogi podnosił się rotmistrz Pacholak.

— Ot i masz, kochanieńki — mówił płacząco. — Szlagże na samą mordę! Przez tydzień nie usiądę.

— Wszystko w porządku! — zawołałem głośno. — Pan Pacholak zleciał ze schodów.

Kiedy podnosiłem Pacholaka, u wylotu schodów zjawili się

Wąski i Stanisławski.

— Wszystko w porządku — powtórzyłem. — Niech się pan Wąski ubierze, pana Stanisławskiego proszę o pozostanie w hallu, przy paniach. Nie możemy rozchodzić się po całym domu. Jak pan się czuje, panie rotmistrzu?

— Jakbym się i nie czuł.

— Odprowadzę pana na górę.

Kiedy wracałem, zegar wybił kwadrans po pierwszej. Ludmiła i Wąski byli już ubrani, Hankę, która przedtem towarzyszyła Ludmile, odprowadziłem na górę, poczekałem pod drzwiami, po chwili wyszła uczesana i odświeżona, w swetrze i spodniach. Na dole poprosiłem Bajbuna do pokoju Kitowicza.

— Panie docencie — powiedziałem. — Mieszka pan blisko gabinetu Klemensa. Nie słyszał pan strzału?

Błysnął szklami okularów, nie widziałem jego oczu.

— Nie słyszałem — rzekł chłodno — o ile pan sobie przypomina, była burza.

— Pięknie. Kiedy do pana zastukałem, był pan zupełnie ubrany. Co pan robił przedtem?

— Pracowałem.

— Aha, pracował pan. Kiedy, przed przyjazdem tutaj, widział pan po raz ostatni Klemensa?

— Wiosną, w Zakopanem. Chodziliśmy trochę po górach.

— Często zapraszał pana na weekendy?

— Byłem tu ze trzy razy.

— Kiedy ostatni raz?

— O, dawno. W jesieni zeszłego roku.

— W jaki sposób Klemens zaprosił pana na ten obecny pobyt?

— Telefonicznie. Zadzwonił do mnie w środę... tak, w środę wieczorem. Pytał, czy nie mam jakichś planów na sobotę i niedzielę, wspomniał potem, że prócz pracowników muzeum, których zresztą już znałem, będzie jeszcze pan i Kitowicz.

— Nie mówił nic więcej?

— Nic więcej. To znaczy, owszem, rozmawialiśmy jeszcze chwilę na ogólne tematy, wie pan, co słyhać, jakiś kawał, i tyle.

– Więc Klemens był raczej wesół? Taki jak zawsze?

Zastanowił się.

– Czy ja wiem... I tak, i nie. Może teraz tak mi się zdaje, z perspektywy tego wszystkiego, co się zdarzyło... Był podniecony. Powiedział w pewnej chwili, zaraz, niechże sobie przypomnę, nie zwróciłem wtedy na to uwagi... Otóż ja, tak konwencjonalnie, wspomniałem, że będzie mi bardzo przyjemnie, to znaczy dokładnie: do pewnego stopnia przyjemnie, a on się roześmiał i powiedział, że istotnie do pewnego stopnia, że i on to spotkanie traktuje jako przyjemność do pewnego stopnia. Tak powiedział.

– I miał rację. A nie określił powodu tego stanu rzeczy?

– Ach, nie, powtarzam, ja na to nie zwróciłem najmniejszej uwagi, wie pan, Klemens o wszystkim mówił półserio, wtedy też dodał jakiś żart, i...

– No dobrze. A tutaj? Wczoraj? Rozmawialiście może w cztery oczy?

– Ani przez chwilę.

– Długo pan siedział w hallu wczoraj wieczorem, po moim rozstaniu się z Klemensem?

– Jeszcze chwilę. Klemens sprawdził okna i drzwi, powiedział mi dobranoc i wrócił do siebie. Ja po chwili zrobiłem to samo.

– I już pan nie wychodził z pokoju?

– Już nie.

Wstałem, rozpocząłem długi spacer po pokoju. Bajbun podniósł się także.

– Czy to już wszystko? – spytał.

Spojrzałem na niego nieprzytomnie.

– Ach, nie, panie docencie. Proszę jeszcze chwilę posiedzieć.

6

– Ja? – podniósł się Wąski. Zbliżyła się druga.

– Tak, pan.

Hanka siedziała skulona w kącie kanapy, Ludmiła drzemała z

głową opartą o poręcz. Stanisławski przeglądał starą gazetę.

— To nie ma sensu — rzekł Wąski siadając za stołem. — Powinniśmy pójść spać. Kobiety są już nieprzytomne. Pan nie ma prawa...

— Panie doktorze — przerwałem mu — o moich prawach pomówimy może później. Ale niech pan nie zapomina, że ja prócz praw mam także obowiązki. Od jak dawna znał pan Klemensa?

— Od pięciu lat — odpowiedział nonszalancko, zapalając papierosa, z tym nieznacznym opóźnieniem, które miało podkreślić, że uważa naszą rozmowę za towarzyską i odpowiada mi jedynie z uprzejmości.

— Co pan wie o kradzieżach nie skatalogowanych zbiorów i przenikaniu ich do Desy i za granicę?

Tym razem chwila ciszy była wyjątkowo długa.

— Proszę pana — rzekł wreszcie. — Ja nic o czymś podobnym nie słyszałem. Ale pan pyta takim tonem...

— Ach, mniejsza o ton. Więc nic pan o tym nie słyszał? Klemens nie wspominał panu o tym ani słowem?

— Nie wspominał o tym ani słowem. Kiedy Hanka powiedziała nam o pańskich podejrzeniach, nie mogłem ich zrozumieć.

— Takie się to panu wydaje nieprawdopodobne.

— Szczerze mówiąc, tak.

— Widzi pan, fakt, że Klemens nie powiedział panu o niczym, stawia pana w nie najlepszym świetle. Klemens pana podejrzewał.

— Panie... Panie kapitanie?

— Widocznie pana podejrzewał.

— Skąd... skąd pan wie... jakie ma pan podstawy mnie obrażać... Jeżeli Klemens panu mówił o tych kradzieżach, to powiedział chyba także, kogo podejrzewa...

— Nie zdążył. Ale, widzi pan, wybór jest niewielki, di...

W tej właśnie chwili zgasło światło. Ciemność była tak gęsta, że w pierwszej chwili nie mogłem się zorientować, z której strony są drzwi, trzasnąłem zapalkami, nikły płomyk wydobył z mroku kontury mebli.

— Co... co się stało? — bąkał zaskoczony Wąski.

Posłyszeliśmy gwar głosów z hallu, płomyk doszedł do palców, ale już miałem w ręku latarkę Klemensa, którą odłożyłem wcześniej na etażerkę pod ścianą. Przesunąłem kontakt, snop światła padł na twarz Wąskiego.

— Idziemy — zawołałem.

Hanka i Ludmiła stały koło sofy, Stanisławski snuł się dokoła nich z wyciągniętymi rękami, jak lunatyk.

Omiotłem światłem latarki cały hall.

— Jesteście sami? — spytałem. — Gdzie Bajbun?

— Poszedł do siebie — powiedziała niespokojnie Hanka. — Miał nastawić wodę na maszynce elektrycznej. Ludmiła znalazła u siebie garnuszek.

— A potem zdawało mi się, że przeszedł przez korytarz — dodał Stanisławski — w stronę kuchni. Ale szczęknęły drzwi od łazienki, więc...

Nie słuchałem już, wybiegłem na korytarz, Hanka, Ludmiła, Stanisławski i Wąski tłoczyli się za mną.

— Co się znowu dzieje? — jęczała Ludmiła. — Boję się zostać w hallu, ja nie chcę iść z wami...

Tuż przy drzwiach wyjściowych białe otwarte drzwiczki szafki z licznikami.

— Zaraz będzie światło — powiedziałem.

Dokręciłem bezpieczniki, zapłonęły lampy.

— Kto to zrobił? — pytała Hanka — po co? Gdzie jest Bajbun?

Otworzyłem drzwi od łazienki. Pusta. Zajrzałem do kuchni. Na podłodze czerniało ciało Kitowicza.

— Patrz! — krzyknęła Hanka.

Wyciągnęła rękę wskazując na zamek wyjściowy drzwi. Był odsunięty.

— Nie ma go w pokoju! — wołał z tyłu Stanisławski.

Pobiegł tam widocznie, kiedy zaglądałem do kuchni.

— Wyszedł — rzekł tępo Wąski.

— Uciekł — powiedziałem spokojnie. — Zostańcie tu.

Otworzyłem drzwi, wybiegłem z domu nie zapalając latarki. Przystanąłem. Lekki wiatr szeleścił w krzakach, ciemność. Zapaliłem latarkę, pobiegłem ku furtce. Otwarta. Wąska droga,

prowadząca w stronę szosy, była pusta. Wróciłem, zastałem wszystkich w hallu.

— No i co? — spytał Stanisławski.

— Nic — powiedziałem ze znużeniem. — Oczywiście nic. Noc, ciemno.

— To on! — wrzasnęła Ludmiła — nigdy nie widziałam jego oczu. Przez cały czas siedział i patrzył na mnie zimno, jak na przedmiot...

— Jeżeli pani nie widziała jego oczu, to skąd pani wie, jak na panią patrzył? — spytałem. — Ale ucieczka Bajbuna niewątpliwie go obciąża.

— To jasne—zawołał Stanisławski.—Wolał zniknąć, póki czas. Hanka kręciła głową.

— Ale dlaczego? — spytała. — Dlaczego? Przecież ucieczka nic mu nie da!

— I ja tego nie rozumiem — przyznałem. — Nie było przeciw niemu żadnych dowodów, żadnych poszlak. A teraz...

— A może są jakieś poszlaki — rzekł Wąski — tylko pan ich jeszcze nie spostrzegł? Może Bajbun nie mógł czekać do rana...

— Albo chciał zyskać swobodę ruchu... — powiedziałem wolno. — Któż nam zareczy, że nie czai się gdzieś koło domu... że nie stara się dostać do środka?

Obejrzeni się z niepokojem w stronę drzwi na taras. Przeciąg wydymał zasłony.

— Trzeba je zamknąć — zerwał się Wąski. — Oczywiście na wszelki wypadek. Po cóż Bajbun miałby zostać?

— Dobrze — zgodziłem się — niech pan zamknie.

— A kiedy wrócił na miejsce, powiedziałem wstając:

— Może istotnie przeoczyliśmy coś ważnego! Niedługo będzie świtać. Pójdziemy wtedy po pomoc. A teraz nie traćmy czasu. Im później zrozumiemy, co się tu działo, tym większe będą szanse Bajbuna. Zaczekajcie tu na mnie.

Nie protestowali, siedzieli bezwładnie, wszyscyśmy już byli zmęczeni, bladzi, Hanka i Ludmiła miały podkrążone oczy. Wyszedłem, znów ten długi, pusty, jasny korytarz. Wyjąłem klucz od pokoju Klemensa. Trzasnął zamek, stanąłem w progu gabinetu.

Obejrzałem drzwi. Opatrzone były ciężką zasuwą. Podeszedłem do biurka, zapaliłem stojącą na nim lampę, ujrzałem luźne arkusze papieru, przykryte starą gazetą, widocznie w ostatniej chwili, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Omijałem wzrokiem ciało Klemensa, oparłem się o biurko nie dotykając przewróconego fotela, odsunąłem gazetę. Na pierwszym arkuszu widniała wypisana drobnym maczkiem lista przedmiotów: półpancerze, szkaplerze, miniatury, zegary... To niewątpliwie pismo Klemensa. Pod spodem na całą szerokość arkusza zdanie: „To tylko fragment, to, co udało mi się ustalić. Ostatecznej listy zapewne nie sporządzimy nigdy”. Drugi arkusz jest prawie czysty: widnieje na nim tylko kilka adresów sklepów Desy: w Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu i Gdańsku. Trzeci arkusz: jakieś główki, zygzaki, jakie kreśli się bezmyślnie zastanawiając się nad formą notatki. Następne arkusze puste.

Zostawiłem je tak, jak leżały. Te notatki sporządzone były niewątpliwie dla mnie. Były częścią dokumentacji sprawy, którą, jak można sądzić, Klemens chciał mi przekazać w całości – i umyć ręce. Nie napisał, niestety, rzeczy najważniejszych – tych, które chciał, które spodziewał się, że mi powie.

Obejrzałem pokój dokładnie, nie znalazłem w nim już nic, co mogłoby mnie zainteresować. Zamknąłem starannie drzwi i wróciłem do hallu.

– Zajrzę do rotmistrza Pacholaka – powiedziałem wchodząc na górę.

– Dlaczego stwarza mu pan specjalne przywileje? – spytał Wąski, kiedy wróciłem. – Też chętnie poszedłbym do siebie.

– To stary człowiek i stracił jedynego siostrzeńca, panie doktorze – odpowiedziałem.

– A oczywiście, daj spokój, Ludwiczku – powiedziała Hanka z trudem tłumiąc ziewanie. – Znalazłeś coś, Jacku?

Usiadłem na fotelu, przede mną, na kanapie, półleżały

Hanka i Ludmiła, obok, w fotelu, Wąski, nieco poza mną, z prawej, rozparł się wyciągając nogi Stanisławski.

— Tak — powiedziałem — u Klemensa znalazłem kilka interesujących drobiazgów. Ale one nie wiążą się z Bajbunem. Przynajmniej nie wprost.

— To znaczy? — spytał Wąski.

— Znalazłem materiały do rozmowy ze mną. Morderca zdążył przeszkodzić rozmowie, ale nie miał czasu, aby przejrzeć biurko.

Oczy Ludwiczka zmieniły się w wąziutkie szparki.

— Słyszałem — odezwał się Stanisławski — że pan to wszystko wiąże z jakimiś aferami w muzeum. Wie pan, trochę mnie to interesuje, bo właśnie ja pracuję przy katalogowaniu zbiorów.

— A dobrze — zwróciłem się ku niemu. — Nie rozmawiałem jeszcze z panem i panią Ludmiłą. Zrobię to teraz.

— Chce pan dalej prowadzić tę szopkę? — sarknęła Wąski.

— Nie wiem, co pan nazywa szopką — odpowiedziałem spokojnie — ale nie będę już państwa zapraszał do oddzielnego pokoju. Jest was już tylko czworo. Czwórka, która pracowała z Klemensem. Powiązana z nim i z sobą najrozmaitszymi więzami. Więc zostaniemy tutaj — zegar uderzył trzy razy — niedługo będzie świtać. A zatem, czy i pan Stanisławski nic nie słyszał o kradzieży eksponatów?

— Słyszałem — rzekł spokojnie Stanisławski. Wszystkie twarze zwróciły się momentalnie ku niemu.

— Słyszałeś? — spytała ze zdumieniem Hanka. — I chowałeś dla siebie tę słodką tajemnicę?

— I ja słyszałam — powiedziała zmęczonym głosem Ludmiła — od Klemensa. Dlatego zaprosił pana Joachima. Chciał mu przekazać wszystko, co wiedział.

— To znaczy? — natarł na nią Wąski.

Podniosła do oczu chusteczkę, znowu zaczęła płakać.

— Nie wiem, nic więcej nie wiem... Staralam się go uspokoić, okropnie się tym przejmował. Nic mi konkretnego nie powiedział, tylko że nie chce nikogo bezpodstawnie oskarżać, że nikogo nie może wskazać, wie tylko o faktach...

— Ja dowiedziałem się o tym na wiosnę — rzekł Stanisławski — od Klemensa. Wezwał mnie do siebie w muzeum, bardzo był wzburzony. To było na początku maja, pamiętam, bo szedł wtedy genialny meksykański film, przez cztery dni nie mogłem się wybrać, a na piąty film zdjęli, bo nikt nie chodził.

— Zostaw do diabła ten genialny film, na który nikt nie chodził — zdenerwowała się Hanka. — Więc co Klemens?

— Więc powiedział mi — podjął potulnie — że odkrył nasze zbiory w Desie krakowskiej.

— Skąd wiedział, że nasze? — przerwał mu Wąski.

— Bo kiedyś szperał w zbiorach z Chojnika i kolekcji broni z Prosny. I zapamiętał kilka kawałków, chciał nawet zrobić jakąś wystawę, ale obcięli nam budżet... No i poznał to.

— Dlaczego nic nie powiedziałeś? — syknął Wąski.

— Wyglądam teraz na durnia!

— Uspokój się, Ludwiczku — Hanka pogładziła go po głowie. — Wcale się ostatnio nie zmieniłeś.

— Bo Klemens wziął ode mnie słowo honoru — tłumaczył się Stanisławski — i kilka razy mi o tym przypominał.

Przeglądaliśmy razem zbiory. Sami wiecie, ile tego jest. Co nieco udało się ustalić, czasem się wydawało, że czegoś brak, ale to tak na oko, na słowo honoru.

Klemens kazał mi uważnie się wszystkiemu przyglądać, no i dać mu znać, gdybym coś zauważył. A swoją drogą, wystąpił o dodatkowe dotacje, chciał uporządkować nie skatalogowane zbiory w wariackim terminie, przez jeden rok.

— Oczywiście nic pan nie zauważył — stwierdziłem raczej, niż spytałem.

Stanisławski poczerwieniał gwałtownie.

— Dlaczego oczywiście? Nic nie zauważyłem, ale dlaczego oczywiście?

— Niechże się pan nie denerwuje. Gdyby pan coś ustalił, już dawno w muzeum byłaby milicja.

— Ano tak — rozchmurzył się — ano tak. Nawet mówiłem Klemensowi, że, być może, te kradzieże to jakaś starsza sprawa, że złodziej wziął pieniądze i siedzi cicho.

— Ten złodziej jest naiwny — powiedziałem — żeby

sprzedawał przez nie wiem ilu pośredników, znajdziemy go. Klemens zostawił spis skradzionych przedmiotów. Częstkowy, oczywiście, niepełny, ale dojdziemy po nim wszystkiego.

— Nie rozumiem — rzekł nerwowo Wąski — w jaki sposób wiąże się to z Bajbunem. Bajbun uciekł, a pan tu siedzi spokojnie i prowadzi z nami towarzyskie rozmowy. Ostatecznie niedługo będzie jasno, mógłby pan gdzieś pójść nawet piechotą.

— Ech, Bajbun daleko nie ucieknie — powiedziałem leniwie — a państwo mówicie mi tyle interesujących rzeczy... Więc jeszcze pani, pani Ludmiło, proszę mi powiedzieć, czym kierował się Klemens ustalając listę gości?

— No, jak to? — spojrzała zdziwiona. — Bywamy u niego od lat.

— Wydaje mi się — powiedziałem ostrożnie — że chyba w ostatnich miesiącach musiało się coś zmienić.

— Pan oczywiście myśli o mnie — rzekł z godnością Wąski — proszę więc przyjąć do wiadomości, że po początkowych nieporozumieniach nasze osobiste, podkreślam, osobiste sprawy zostały rozwiązane bezkonfliktowo. Stanowiliśmy grono starych przyjaciół, rozchodzimy się z żoną bez żalu — chusteczka znów powędrowała do oczu Ludmiły — i fakt tego porozumienia Klemens zadokumentował właśnie w ten sposób, że mnie zaprosił ze wszystkimi, jak dawniej.

— Tak, rozumiem. A Bajbun, Kitowicz?

— No cóż — mówiła cicho Ludmiła — zawsze prócz naszego grona Klemens zapraszał dwie, trzy osoby z innych środowisk. Jak mówił — dla odświeżenia atmosfery. I Bajbun, i Kitowicz byli tu już parę razy.

O Boże, ciągle nie mogę uwierzyć... ciągle nie mogę zrozumieć... zdaje mi się, że lada chwila otworzą się drzwi, wejdzie Klemens...

— No, Ludka, no... — Hanka objęła ją ramieniem, gładziła po twarzy.

— ... wejdzie Klemens, z tym swoim uśmiechem...

Zegar wybił wpół do czwartej.

— ...z tym samym — podjąłem — z którym otworzył

mordercy drzwi wczoraj wieczorem. O co spytał?

Pewnie: „Co się stało?” I dodał jeszcze: „Teraz będę zajęty...” Wrócił do biurka, chciał usiąść, kiedy zobaczył w ręku mordercy pistolet.

Cisza była tak głęboka, że słyszeliśmy równomierny tykot zegara. Ludmiła i Hanka patrzyły na mnie rozszerzonymi oczyma, Wąski spletał nerwowo palce, Stanisławski spuścił głowę i patrzył tępo na dywan.

— ...nie, to nie był strach — mówiłem — tylko wielkie zdziwienie. „Co to za żarty?” — spytał. I wtedy padł strzał.

Spojrzałem na Ludmiłę. Oddychała szybko, ścisnęła w ręku chusteczkę.

— Ta chusteczka jest sucha — powiedziałem. — To pani zabiła.

8

Krzyknęła krótko, wysokim, nieswoim głosem. Hanka odsunęła się od niej gwałtownie, Wąski zerwał się na równe nogi.

— Co pan powiedział? — wykrztusił.

— To pani zabiła — powtórzyłem nie zmieniając głosu ani o ton. — Tylko pani mogła wejść do Klemensa i ukryć się natychmiast. Wystarczyło przebiec od drzwi do drzwi. Tylko pani wiedziała, kiedy i o czym Klemens chce ze mną rozmawiać. Tylko pani. Ach, zresztą... popełniała pani błąd za błędem. Mimo wszystko działała pani zbyt pośpiesznie. Zastukałem do pani, kiedy znalazłem Klemensa. Otworzyła mi pani po chwili, w nocnej koszuli, rozczochrana, wyrwana z głębokiego snu. Ale trzy minuty wcześniej, kiedy wychyliłem się z balkonu, widziałem w pani oknie światło.

Cofnęła się w kąt kanapy, włosy opadły jej na czoło, zasłoniła oczy.

— Co za bzdury! — syknął Wąski. — Po co miałyby to zrobić! A Kitowicz? Niech się pan nie ośmiesza.

— Jacek... co ty mówisz — szepnęła Hanka.

Stanisławski milczał.

— Po co miałyby to zrobić? — ciągnąłem — przecież wiecie, po co. Nie mogła dopuścić do tego, aby Klemens wydał złodziei, pokrzyżował ich plany tuż przed ostatecznym sukcesem. Ten romans zaczął się wkrótce potem, jak Klemens wpadł na trop afery. Od tej chwili śledziła pani każdy jego ruch. Badała pani możliwości wciągnięcia go do spółki. Ale szybko się pani przekonała, że to niemożliwe. Mimo to nie opuszczała go pani, przeciwnie, starała się pani zająć cały jego wolny czas, poznać jego zamiary, plany, posunięcia; a on wciąż wymykał się kontroli. W końcu było już pewne, że nie zdążycie. Ileż to zabrakło wam czasu? Chodziło o tydzień, miesiąc? Cenne przedmioty sztuki za granicą, spore sumy złożone na waszym koncie w którymś z europejskich banków. Cóż to za cudowne perspektywy!

— A Kitowicz? — spytał spokojnie Wąski.

— Kitowicz? Panie doktorze, pan pyta o Kitowicza? Pan? Tym razem nie można było posłużyć się pistoletem. Tym razem wszyscy byliście na dole. Tego już pan nie musiał zostawić żonie — swojej współpracownicy.

— Przecież siedzieliśmy razem! — zawołała Hanka.

— A właśnie — powiedziałem — siedzieliście razem. Cóż za fatalny błąd! Udowodniliście mi tym niezbitcie — już wtedy — że morderca w tym domu ani przez chwilę nie był sam!

Zapadła martwa cisza. Wąski drgnął, zaczął podnosić się z krzesła.

— Spokojnie, Ludwiczku — powiedziałem. — Niechże pan nie robi głupstw.

Wtedy Wąski przeniósł wzrok nade mną, w głąb pokoju.

— Siedź spokojnie, Joachim — posłyszałem głos Stanisławskiego — strasznie jesteś domyślny. A zdawało nam się, że Klemens cię przecenia.

Odwróciłem wolno głowę. Stanisławski stał o krok za mną, z niewielkim pistoletem w ręce.

— Walter 6,35 — powiedziałem. — Ładna broń, tylko okropnie słabiutka. Za to siódemki są znakomite. Więc to pan teraz ma tę zabawkę, drogi panie Tadeuszu? Zaczynam wierzyć,

że częściej niż na meksykańskie filmy chodził pan na westerny.

— Zachowuje się imponująco — powiedziała Ludmiła wstając. Zapaliła papierosa, odrzuciła włosy. — Wcale mi się to nie podoba.

— Idioto — powiedziała współczująco Hanka. — Daję ci słowo, naprawdę mi się podobałeś. Gdybyś był mądry, zostałbyś u mnie na noc, Klemens przespałby się z Ludką, obaj mielibyście rano czarujące wspomnienia i spotkaliście się przy śniadaniu, a nie u Bozi.

— Gdzie to zrobicie? — spytała Ludmiła. — Chyba w ogrodzie, prawda? Poszedł po pomoc i ktoś go dopadł przy szosie.

— Tak, kochanie — rzekł Wąski.

— Żal mi go — westchnęła Hanka. — Nie chcę na to patrzeć.

— Dlaczego ten idiota się uśmiecha? — zaniepokoiła się Ludmiła.

— Niech mnie pani nie nazywa idiotą — powiedziałem — bo nie mnie pani obraża. To wy postępowaliście jak idioci. To zamykanie drzwi, to beznadziejne otwieranie okien! Przecież zanim zastukałem do pani, sprawdziłem okna i drzwi na parterze. Były zamknięte. Potem ta groteskowa histeria Hanki, która przestraszyła się pająka. Przecież widziałem, że tylko pani została w hallu. I potem Ludwiczek odkrywa otwarte okno.

— Nie nazywaj mnie Ludwiczkiem — wściekł się Wąski.

— Na imię mi Jacek — wyciągnąłem rękę.

— To mi się naprawdę nie podoba — wycodziła Ludmiła.

— Skąd mogliśmy wiedzieć, że zobaczysz tę drabinę — odezwał się Stanisławski.

— Właśnie, ta drabina. Druga bzdura. Przecież zamknęliście drzwi od balkonu na podest schodów i wiedziałem, że zamknęliście, bo nie mogłem się przez nie wydostać. Jak ktoś z zewnątrz mógł wejść przez zamknięte drzwi? Jasne było, że to któryś z was. Nie wiem tylko, kiedyście ją przystawili.

— To było precyzyjnie przygotowane — rzekł z przechwałką w głosie Wąski. — Drabinę przystawiła Ludka, kiedy stałeś z Hanką na balkonie. Kiedy się okazało, że nie zostaniesz u Hanki, ja wyszedłem na schody, żeby dać znak Ludce, a Tadek

zszedł po drabinie i pobiegł do garażu.

— Zupełnie jak w przedwojennym filmie. Tylko wiesz, Ludwiczku, takich rzeczy nie zostawia się żonie. Samemu się je załatwia.

— A jakbym wrócił, idioto — wybuchnął — mógłbyś mnie spotkać na schodach!

— A to proste — uśmiechnąłem się — uciekasz przez kuchenne drzwi albo przez okno u Klemensa na ogród i wracasz po drabinie razem z naszym filmowcem.

— Klemens by go nie wpuścił — powiedziała Ludmiła. — Klemens go podejrzewał. I dość tego! Ludwik, on stara się przedłużyć tę gadaninę. Nie wiemy, gdzie się podział ten przekłety Bajbun. Jeszcze nam kogoś sprowadzi na kark.

— Bajbun uciekł ze strachu — wzruszył ramionami Stanisławski. — Pewnie gdzieś maszeruje po szosie.

— Więc na kogo on liczy? — spytała zimno Ludmiła.

— Na was — odpowiedziałem. — Przecież nie zaczynałbym tej rozmowy, gdybym na was nie liczył.

— Słuchajcie! — wtrąciła Hanka. — On wszystko wiedział, zanim zaczął mówić!

— Cicho bądź, Hanka — rzekł lekceważąco Stanisławski. — Wierzył, że nie ruszymy milicjanta. W łóżku jesteś genialna, ale poza tym nie wysilaj się na myślenie.

— Czy ja jestem w łóżku genialna — odpowiedziała ze złością — to ani ty, ani Ludwik nie wiecie i nie będziecie wiedzieć. Jackowi ta okazja przepadła. A ty rób, co ci każą, i nie udawaj gangstera.

— Nie kłóćcie się — poprosiłem — ja tej okazji nie przeżaluję, Haniu. Powiedzcie mi tylko, kogo zobaczył Kitowicz. Ludmiłę, prawda? Jak czekała w hallu na twój znak, Ludwiczku?

— Masz trzy minuty czasu — uciął Wąski. — Ludmiła ma rację, dość tej zabawy. Dobrze, to ci jeszcze powiem. Zobaczył Ludmiłę. Otworzył drzwi, była burza, Ludmiła nie słyszała. Zobaczył ją przez szparę i cofnął się, bo był nie ubrany. Chciał pójść do łazienki. Odczekał trochę, ubrał się, a kiedy wyszedł drugi raz, zastał już Ludmiłę i Bajbuna w hallu. A ja przedtem czekałem na górze. W razie gdybyś otworzył za wcześnie drzwi,

dostałbyś w leb wazonem.

— A to by się okazało.

— Już! — rozkazała Ludmiła.

— Szkoda cię — westchnęła Hanka.

— Idziemy! — zawołał Wąski.

Wtedy z półmroku, okrywającego schody, posłyszeliśmy spokojny głos rotmistrza Pacholaka:

— A dokąd to, kochanieńki?

Rotmistrz stał na przedostatnim stopniu. W jego wyciągniętej ręce czerniał niewielki pistolet.

Na ten moment zaskoczenia czekałem już od chwili. Runąłem na Stanisławskiego, miłośnika meksykańskiego filmu; trzasnął głową o podłogę i znieruchomiał.

— No — powiedziałem podnosząc pistolet — już wiecie, na co liczyłem?

Wąski podniósł wolno ręce do góry. Hanka ściągnęła ramiona, pochyliła głowę, Ludmiła spojrzała na mnie przeciągle, zacisnęła usta, aż zbieleły jej wargi.

— Bydlę — syknęła.

— Kwestia punktu widzenia, łaskawa pani — uśmiechnąłem się. — Proszę, siądźcie, panie, na kanapie. Haniu, i ciebie to dotyczy. Pan zechce się odwrócić, Ludwiczku.

Przejechałem rękami po jego ubraniu, zrewidowałem pobieżnie Stanisławskiego. Nie mieli broni.

— I pan pozwoli na kanapę.

— No, kochanieńki — rzekł rotmistrz — aleś mnie i wytrzymał na tych schodach. A twój pistolet jak zabawka. Żebyż ja miał swój nagan! Samą kolbą jak przyłożysz, to i jakby kłonicą.

— Więc to zasadzka — wystękał Wąski.

Hanka teraz dopiero zrozumiała, co się stało.

— Jezus Maria! — krzyknęła zakrywając rękami oczy.

— Niech pan siada, panie rotmistrzu — powiedziałem. — Nie skończyliśmy rozmowy. W jakich okolicznościach Kitowicz, zdradźcie mi, powiedział, że panią widział? Kiedy z panem Stanisławskim wyszliśmy do garażu, a Bajbun odprowadził rotmistrza? Szybkoście się zdecydowali. Piekielnie szybko. Nie

mam wątpliwości, że sąd doceni wasz refleks. I jeszcze to otwarcie drzwi z zatrasku! Zły duch, który czai się w ogrodzie!

Milczeli ponuro, tylko Hance trzęsły się usta, drżała, jakby wstrząsały nią dreszcze.

Stanisławski uniósł powoli głowę, dotknął czoła.

— Gdzie... gdzie ja jestem? — jęknął.

— A jak się panu zdaje? — spytałem.

Popatrzył mętnym wzrokiem na mnie, na Pacholaka, na pistolety w naszych rękach, na siedzących nieruchomo współników.

— Więc to już — stęknął.

— A idźże ty, czort — ofuknął go rotmistrz. — Gramol się na kanapa.

Podniósł się z trudem, przeszedł, zataczając się, parę kroków, opadł na fotel.

— Jak to się stało? — szepnął.

— Pogawędzimy sobie — zaproponowałem. — Mamy jeszcze trochę czasu. Pewnie was interesuje zjawienie się rotmistrza? Poprosiłem go o współpracę, kiedy po raz pierwszy poszedłem do niego na górę. Wiedziałem, że mogę na pana liczyć.

— Ja... ja za Klemensa... — zawołał.

— Wiem. Rotmistrz zrewidował wasze pokoje. W pokoju Stanisławskiego znalazł zabłocone buty. Tego się spodziewałem. Wtedy właśnie potknął się na piętrze, myśleliście, że chciał do nas zejść...

— Chodnik, przekłety, w gruzel się zawinał — usprawiedliwiał się rotmistrz — a człowiek już i trochę niedzisiejszy.

— Kiedy odprowadziłem rotmistrza i dowiedziałem się o jego odkryciu — ciągnąłem — dałem mu swój pistolet. Od tej chwili warował już na górze...

— Nie doceniłam pana — z zimną wściekłością powiedziała Ludmiła.

— A mówiłam! — krzyknęła histerycznie Hanka — a ja wam mówiłam, żeby tego nie robić! Ja was prosiłam...

— Zamknij się — warknął Wąski — trzeba go było zatrzymać u siebie!

— Właśnie! — zainteresowałem się. — Na co wyście liczyli? W ten sposób odwleklibyście moją rozmowę z Klemensem o dzień. Ale przecież nie mogliście jej uniemożliwić.

— Zyskalibyśmy na czasie — rzekł ponuro Wąski.

— Ludmiła by go przekonała, żeby jeszcze tydzień zaczekał, Tadek, on Tadekowi ufał, podsunąłby mu jakiś fałszywy ślad, przekonalibyśmy go, że sami to zlikwidujemy, bez straty dla muzeum. Wszystko było ustalone, do najdrobniejszych szczegółów... Zaskoczył nas zapraszając pana. Nawet Ludmile powiedział o tym dopiero, kiedyśmy tu przyjechali. Nie było czasu. Cholera jasna, nie było czasu...

— I drugie głupstwo, Ludwiczku — powiedziałem.

— Po co było to uszkodzenie telefonu, to dziurawienie opon mojego nieszczęsnego samochodu? Wyście się naprawdę zapatrzyli na filmy.

— Nie mów głupstw — burknął Stanisławski. — Trzeba było przeszukać gabinet Klemensa, zobaczyć, czy nie zostawił jakichś notatek. A zostawił, cholera. Ty je znalazłeś. Skąd mogliśmy wiedzieć, że Klemens już cię zdążył zorientować? Ludmile mówił, że nic nie wiesz. Byłbyś ciemny jak tabaka w rogu, a my byśmy spokojnie wszystko przejrzeni.

— Właśnie — powiedziała Ludmiła — skąd wiedziałeś? Kto ci powiedział? Klemens? Bo chyba nie ta idiotka!

Spojrzała na Hanke.

— Ty! — krzyknęła Hanka — okazało się, kto jest idiotą! A ja prosiłam, dajcie spokój, nie róbcie tego...

— Milcz! — wrzasnął Wąski podnosząc się.

Zerwałem się, odskoczyłem o krok.

— Ostrożnie, rotmistrzu! — zawołałem.

Stanisławski był już o niecałe dwa kroki od niego.

— Achżeż ty, swołocz! — ryknął Pacholak kopiąc krzesło, aż z hukiem runęło na podłogę. — Jak ja ci ta kolba przyłożę, podchodów mu się zachciało, nie- chrzczony!

Wąski, już spięty do skoku, z prawą nogą podwiniętą pod siebie, przygaśł, skurczył się, opadł z powrotem na kanapę, Stanisławski cofnął się, przysiadł na poręczu fotela.

— Wygodniej, wygodniej, drogi panie — poprosiłem — niech

pan usiądzie wygodnie. Dajcie spokój tym żartom. Już nas nie zaskoczycie. Wyczerпалиście wszystkie swoje możliwości. Posłuchajcie.

Z daleka nadpływał warkot motorów. Uwięzieni podnieśli głowy, nasłuchiwali. Warkot umilkł, trzasnęły kuchenne drzwi, w korytarzu rozległ się łomot ciężkich kroków. W drzwiach stanął Bajbun, w spodniach ubłoconych po kolana, przecierał zapocone okulary. Za nim błyskały okute czapki milicjantów.

— Oto mój drugi współpracownik — powiedziałem.

— Dziękuję panu, panie docencie. Przyjechaliście jak w dobrze wyreżyserowanym przedstawieniu.

— Więc już po wszystkim — rzekł z żalem.

— Po wszystkim.

Kiedy ich wyprowadzano, w Ludmile nie było śladu tej zimnej pewności siebie, którą imponowała mi podczas ostatnich scen.

— Co z nami będzie? — spytała mnie na odchodnym łamiącym się głosem.

— W amerykańskich powieściach — odpowiedziałem — detektywi w podobnych sytuacjach mówią, że jest to pytanie dla teologów. Żałuję, ale nic innego nie potrafię wymyślić.

Hanka patrzyła tylko na mnie z przerażeniem.

— Widzisz, Haniu — powiedziałem — mogłabyś zrobić lepszy użytek ze swoich zalet. Wydaje mi się, że nie podzielisz losu tego małżeństwa, ale się boję, że niewiele na tym wygrasz. Tylko życie.

Po chwili szum samochodów oddalił się i zgasł. Stałem między Bajbunem i rotmistrzem na środku opustoszałego hallu. Ekipa śledcza nie mogła tu być prędzej niż za godzinę.

— Zabierze mnie pan swoim wozem do Warszawy? — spytał Bajbun. — Dość już mam chodzenia piechotą.

— Zapomina pan, że mój maluch ma przedziurawione opony — powiedziałem. — Nie była dla niego szczęśliwa ta pierwsza krótka podróż.

Odsunąłem zasłony, otworzyłem drzwi na taras. Uderzyła w nas fala świeżego powietrza, krzyk ptaków w ogrodzie. Było już jasno, za gęstwą drzew różowiło niebo.

- Należy nam się, do pewnego stopnia, odpoczynek – rzekł Bajbun.
- Do pewnego stopnia – zgodziłem się.

Sprawa rodzinna

1

„Po prostu możesz nazywać mnie babcią”. Tak brzmiało postscriptum tego niezwykłego listu. Przeczytałem go dwa razy z rzędu. Sztuka pisania listów, jak powszechnie wiadomo, znajduje się dziś w zaniku i to, co otrzymujemy, składa się najczęściej z nagłówka i kilku zdań informacji i pozdrowień, których z jakichś przyczyn nie udało się przekazać osobiście lub telefonicznie. Tymczasem list owej nieznanej „babci” obejmował cztery arkusze pokryte drobnym, wyraźnym pismem, opowiadał o zdarzeniach sprzed wielu lat i sprzed paru miesięcy w sposób barwny, zajmujący, a zarazem nieśpieszny, z tą rozkosznie staroświecką nutą, jaką dzisiaj słyszymy w dziewiętnastowiecznych romansach, jeśli mamy czas, aby wziąć je do ręki.

Słowo „rozkosznie” jest tu może niezbyt właściwie użyte, ponieważ przedmiot zawartej w liście historii był raczej ponury i do ponurych odnosił się czasów. Jednym słowem, muszę i ja opowiedzieć to samo, co opowiedziała osoba, która kazała nazywać się babcią, niestety, krótko i rzeczowo, bo chodzi mi przede wszystkim o fakty, nie zaś o sposób, w jaki się już dzisiaj nie pisuje listów.

Otóż mój ojciec miał ciotecznego brata, z którym w młodości mieszkał w internacie szkoły w Chyrowie; potem doświadczali pierwszych uroków swobodnego życia młodych — wtedy chyba osiemnastoletnich mężczyzn, w końcu jednak ich kontakt się rozluźnił, choć nie stracił cech serdeczności i zażyłości; wreszcie ustał niemal zupełnie. Wiem o wuju Kazimierzu tylko to, czego ojciec dowiedział się z pośrednich źródeł: że w czasie wojny ukrywał się na Podkarpaciu i tam, wraz z żoną, ciotką Maryjką, został zamordowany przez Niemców. Pamięć o moim wuju przyblakła, czasem tylko pojawiał się we wspomnieniach

ojca z czasów jego bujnej młodości, coraz częściej jako statysta, nie zaś bohater pierwszego planu. A kiedy umieliśmy już to dobrze i wszyscy, wuj Kazimierz zaprzestał występów w rodzinnych wspomnieniach zupełnie.

„To u mnie mieszkali Twoi wujostwo podczas wojny, przed moją werandą i na moich oczach ich zamordowano” — pisała „babcia”. Spojrzałem na adres. Moja nowa babcia nosiła nazwisko Klimaszewska, a jak wynikało z jej listu, była emerytowaną nauczycielką licealną i dom swój w Bukowinie Tatrzańskiej nabyła niedługo przed wojną, by spędzać w nim wakacje i wszystkie wolne chwile. Oboje z mężem uczyli w krakowskich gimnazjach, byli miłośnikami gór. Podczas wojny mieszkali w Bukowinie, potem dzielili swój czas pomiędzy Kraków i góry, by po przejściu na emeryturę zostać już w Bukowinie na stałe. Mąż „babci” zmarł przed paroma laty, ona sama dzielnie dawała sobie radę i doczekała oto siedemdziesiątej szóstej rocznicy urodzin i czterdziestej rocznicy nabycia domu. Obie rocznice przypadały w przyszłym tygodniu.

Opis pobytu moich wujostwa w Bukowinie i ich śmierci zajmował trzy czwarte listu. Resztę wypełniały wydarzenia współczesne. Babcia Klimaszewska próbowała po wojnie odnaleźć rodzinę swoich nieżyjących gości, z którymi serdecznie się zaprzyjaźniła podczas spędzonych wspólnie trudnych lat. Nie było to proste. Wuj Kazimierz nie miał bliskiej rodziny, nie o wszystkim w czasie wojny mówiło się zresztą zbyt szczegółowo — dość, że usiłowania babci nie przynosiły rezultatu. Nie znała nazwisk kuzynów wuja Kazimierza ani krewnych jego żony, ogłoszenie w krakowskiej prasie nie dało, bo nie mogło dać rezultatów — iw jakiś czas potem babcia zaprzestała poszukiwań, a jeszcze później niemal zapomniała o moim wuju i ciotce. Dopiero remont domu, dokonany przed kilkoma miesiącami przez zaprzyjaźnionych z babcią górali, całej tej zapomnianej historii przywrócił aktualność. W schowku w piwnicy odkryto mianowicie papiery wujostwa i kosztowności, które unieśli z sobą z Warszawy. Wuj Kazimierz po prostu замуrował niewielką paczuszkę w

piwnicy, tak, aby nikt o tym nie wiedział.

Teraz dopiero babcia przystąpiła do działania z całą właściwą jej energią. Ze znalezionych dokumentów wyczytała konieczne dane i tym razem skuteczniej przeprowadziła poszukiwania. Rodziny zostało już niewiele: po ciotce Maryjce dwoje jej bratanków, rodzeństwo Magda i Janek Idzikowscy, ze strony wuja Kazimierza tylko ja, spadkobierca nazwiska i tradycji rodzinnych mego ojca. „Po prostu przyjeźdź w najbliższą sobotę — napisała babcia — na moje urodziny i czterdziestolecie domu. Będą Twój nie znani kuzyni, a także mój wnuk z żoną i przyjaciółmi. Musisz przyjechać, więc nawet mnie nie zawiadamiaj. Pogodę mamy nie najlepszą, ale może się w końcu wypogodzi. Czekam”.

Cóż robić z tak kategorycznym zaproszeniem? Tylko przyjąć je bez szemrania. Tym bardziej że szczęśliwym zbiegiem okoliczności było to możliwe bez specjalnych zabiegów. Lipiec był deszczowy, spokojny, urlop mogłem wziąć w każdej chwili. Prawdę mówiąc, czekałem, aż się wypogodzi. Więc mogę nie czekać.

2

Podróż zaczęła się pechowo. Zmieniałem olej w zaopieczonym warsztacie. Mój mechanik wpatrzył się w mętną ciecz, potem spojrzał na mnie ze współczuciem.

— Uszczelka pod głowicą panu przecieka — powiedział. — Trzeba zmienić uszczelkę i splanować głowicę.

— Jak długo to potrwa? — spytałem jeszcze bez zdenerwowania.

Był sobotni ranek.

— Dla pana — rzekł z zastanowieniem mechanik — dla pana postaramy się zdążyć na poniedziałek. Ale na wieczór!

Krótką podróż samochodem zmieniła się w długą wyprawę pociągiem. Pogoda była dalej fatalna. Od Krakowa lał deszcz, ciemne chmury szczelnie pokryły niebo. Do autobusu bukowińskiego wsiadłem podczas ulewy i w atramentowym

mroku. Wsiadłem na niewłaściwym przystanku. Wracalem szosą głodny, mokry, wściekły ponad miarę. W gospodzie spytałem o dom babci. Szedłem w ciemności i ulewie błotnistą ścieżką. Ani na szosie, ani w okolicy nie było człowieka, nie było światelka, choć przedtem na przystankach widziałem nawet milicjantów. Gdy chciałem zawrócić, wpadłem na płot.

Wtedy dopiero zobaczyłem odbłask światła pełgający w deszczu. Odnalazłem ciemny ganek, wspiąłem się po skrzypiących schodkach. Wymacałem w mroku klamkę, otworzyłem drzwi. Znalazłem się w obszernej sieni drewnianego domu, właściwie w niewielkim hallu, z którego obszerne schody prowadziły na tonące w mroku piętro. Niewielka lampka płonęła nad kamiennym kominkiem, połyskiwały ciemne powierzchnie obrazów. Za drzwiami po lewej stronie usłyszałem wybuch śmiechu, podszedłem, zapukałem. Drzwi otworzyły się nagle, stanęła w nich młoda kobieta w dżinsach i luźnym swetrze, szczupła, opalona, z krótko obciętymi jasnymi włosami.

— To nie Klimczok, babciu — zawołała.

— Na pewno nie Klimczok — powiedziałem. — Dobry wieczór.

Dziewczyna odstąpiła o krok, zobaczyłem za nią jasno oświetloną obszerną, oszkloną werandę; pod zamkniętymi, podbitymi mrokiem oknami stały luźno fotele i krzesła, na jedynej pełnej ścianie wisiała kolekcja rogów i wielki łeb niedźwiedzia, na środku zaś, przy stole, rezydowała drobna, siwa staruszka o wyrazistej twarzy, mając dwu mężczyzn po obu rękach. Czwarte krzesło było niedbale odsunięte, widać wstała z niego dziewczyna, która otworzyła mi drzwi. Druga dziewczyna, drobna brunetka, siedziała pod ścianą z magazynem ilustrowanym w ręku, rosły blondyn siedział za babcią, wyraźnie jej kibicując, a pod oknem, z zapalonym papierosem, tkwił wysoki, tyczkowaty młodzieniec w okularach, rozmawiając z siedzącą na bujaku szatynką z jasnożółtym szalem na ramionach.

— Ale pana zmoczyło... — powiedziała ze współczuciem dziewczyna, która otworzyła mi drzwi. — Miał pan kiedy

wybierać się w góry!

— Ja nie wynajmuję pokoi — oświadczyła babcia nie znoszącym sprzeciwu głosem — niech pan poszuka u górali. Ale oni mają wszystko pozajmowane, deszcz nie deszcz.

— Jednym słowem, nie mam po co iść do górali — powiedziałem rozbawiony. Babcia jednakże nie miała ochoty na długie rozmowy.

— Ci państwo tutaj, to moi krewni i goście — wzięła ze stołu karty, aby kontynuować grę. — Tak się nie przyjeżdża, na ślepo i na noc. W dodatku ostatnim autobusem.

— Czasami się jednak przyjeżdża — westchnąłem.

— Wtedy mianowicie...

— Babciu — przerwała mi dziewczyna w dzinsach, spojrzawszy na mnie przelotnie, ale uważnie. — A co pan z sobą zrobi w taką pogodę? Może... hej, Joachim! Panie Jacku!

Wtedy ów wysoki młodzieniec, stojący z papierosem w palcach przy szatynce w bujaku, odwrócił się ku nam z taką miną, jakby przerwano mu nagle w samym środku pasjonującej konwersacji.

— Słucham, pani Ado — odezwał się miękkiem, zupełnie sympatycznym głosem. — Pani do mnie mówiła?

— Oczywiście, że do pana. Chyba tym razem nie pokręciłam imienia z nazwiskiem. W pańskim pokoju jest wolna kozetka, prawda?

— Co ty wygadujesz, Aduniu — oburzyła się babcia. — Przecież nie wsadzisz Jackowi do pokoju...

Przysłuchiwałem się z rosnącym zainteresowaniem.

— Kozetkę wstawi się do pokoiku koło wejścia na strych — oświadczyła Ada w sposób nie dopuszczający sprzeciwu. — Prawda, babciu?

Na moment zapanowała cisza. Wszyscy patrzyli na babcie, a babcia przypatrywała się mnie.

— W bridża pan gra? — spytała wreszcie babcia.

— Gram — odpowiedziałem.

— A to musi pan zostać — oświadczyli chórem Ada i dwaj mężczyźni siedzący przy stole, po czym wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— To dobrze czy tylko śmiesznie? — spytałem.

— Sam pan widzi, że zachowują się okropnie — powiedziała babcia. — Pewnie uważają, że zmuszam ich, żeby ze mną grali. Niech sobie uważają, a ja lubię grać. Więc przyjmę pana na jedną noc. Jutro pojedzie pan pierwszym autobusem i znajdzie sobie inne miejsce. Pensjonatu nie prowadzę, pokoi nie wynajmuję.

— Dziękuję pani. Nazywam się... Olszewski. Piotr Olszewski.

Babcia wyciągnęła ku mnie rękę, którą ucałowałem z szacunkiem i wdzięcznością, jaką powinien jej okazać zabłąkany turysta.

— Olszewski — powiedziała babcia. — No dobrze, może być, Aduniu...

— Ja pana zaprowadzę, w porządku, babciu. Potrzebny nam człowiek do przeniesienia kozetki. Pójdiesz, Zygmunt?

— Pójdę — podniósł się jeden z mężczyzn siedzących przy stole. — Słuchajcie, albo przestanie lać, albo zdechniemy z nudów.

— Ada się nie nudzi — mruknęła szatynka w bujaku, zawinięta w żółty szal.

— Masz takie same szanse — odpowiedziała Ada.

— Joachim, pański pokój otwarty?

— Tak, oczywiście, otwarty — ocknął się. — Może ja powinienem pomóc? Ale...

— Niech pan bawi moją żonę — mężczyzna, który zaofiarował się z pomocą, już szedł ku drzwiom. — To wystarczająco odpowiedzialne zadanie.

— Bawienie mojej żony nie wymaga poczucia odpowiedzialności — rzekł z przekąsem drugi partner babci. — Za to jest was dwóch.

— Mnie proszę łaskawie wyłączyć — odezwał się. — Na razie to ja jestem pod opieką pańskiej żony.

W hallu nasz pomocnik zatrzymał się i wyciągnął rękę.

— Nazywam się Łebkowski — powiedział. — Niech pan nie słucha, co gadamy. To przeważnie nie ma żadnego znaczenia.

— A ma dla pana znaczenie, że ja nazywam się Nowakowska? — spytała Ada ze schodów. — Chodźcie naprzód po kozetkę do

tej tyczki dwojga imion.

— Nie podoba się pani jego nazwisko? — spytałem.

— Mnie wydaje się śliczne.

Stanęła, przypatrzyła mi się uważnie.

— Pan ma na imię Piotr, tak? Otóż, panie Piotrze, nie mam nic do nazwiska ani jego, ani pana, ani do żadnego nazwiska na świecie. Tylko facet jest długi jak tyczka i taki grzeczny, że mi się słabo robi.

— Głupstwa pleciesz, Ada — parsknął Łebkowski.

— My jesteśmy tutaj zgrani do nieprzyzwoitości, siedzimy u babci co roku, a on między nami czuje się trochę nie tak i każdy by się czuł.

— Po panu tego nie widać — mruknęła Ada patrząc na mnie, podczas gdy Łebkowski mówił dalej dźwigając ze mną sporą otomankę:

— A ci, jak im tam, Idzikowscy? Prawie w ogóle się nie odzywają, tak ich spieszyłaś swoim sposobem... bycia. I wcale im się nie dziwię. Zresztą co chcesz od Joachima? Żeby co drugie słowo mówił: kurde?

— Głupi jesteś — obrazila się Ada.

Otomanka stała już w małym pokoiku pod oknem i wyglądała nad wyraz przytulnie.

— Babcią niech się pan nie przejmuje — powiedziała Ada. — Gdera bez przerwy, ale jak raz zagra pan z nią w bridża, to wszystko dla pana zrobi.

— Nie będzie miała okazji. Kazała mi jutro wyjechać pierwszym autobusem.

— To się jeszcze zobaczy. Tak prawdę mówiąc, to babcia czasem wynajmuje pokoje.

Głos babci usłyszałem już na schodach.

— No więc kto w końcu gra ze mną w bridża? Czemu się chowacie po kątach? Gdzie jest ten nowy? Powiedział, że będzie grał.

— Jeszcze pan nie wie, co pan sobie ściągnął na głowę — szepnęła Ada.

— Ale już przeczuwam.

3

— Babciu — powiedziała Ada z wyrzutem — z ręki!

— Z ręki, dziecko, z ręki, toż widzę, że z ręki.

I wyszła ze stołu.

— Babciu! — jęknął Nowakowski.

— Co, dziecko? No idź, idź, ja stara i tak nie marudzę.

Mąż Ady z rezygnacją dołożył kartę. Babcia wzięła- królem z ręki, ale ja, na czwartym ręku, przybiłem atutem.

— A bo cóż ja dałam! — wykrzyknęła babcia. — Dziesiątkę miałam pod palcem, a król wypadł.

I zamieniła króla na dziesiątkę.

— Babciu! — wrzasnęła Ada.

— Co mówisz, dziecko? Głośniej trochę, nie słyszę.

— To moje — powiedziałem — i nie mam pretensji. Bez dwu.

— I ja nie mam pretensji — oświadczył Nowakowski. — Babciu, leżymy bez dwu.

— Policz, dziecko, lewy, na pewno zrobiłam swoje.

— Leżycie — oświadczyła Ada. — Panie Piotrze, co z pana za dyplomata? Powinien pan z babcią przegrać, może by panu pozwoliła zostać.

— Żebyś ty się, Aduniu, raz zastanowiła, zanim coś powiesz — rozniewała się babcia. — Za kogo pan mnie będzie uważał, za idiotkę? Otóż właśnie może pan zostać. Za to, że pan dobrze gra, i za to, że się pan nie chowa po kątach, kiedy ja chcę zagrać.

W tym miejscu Ada zrobiła do mnie oko.

— I nie udała się intryga — rzekł Idzikowski, siostrzeniec ciotki Maryjki, ów ciężki blondyn nieustannie kibicujący babci.

— Zupełnie pan tego pewien? — spytałem. — Zresztą nie ma lepszego sposobu na zrobienie intrygi niż takie zdanko. Narąza się pan mojej partnerce.

— I to nie pierwszy raz — warknęła Ada.

— Nie gadałabyś tyle — powiedziała babcia. — Idziemy do kuchni. Ada, Hanka, Magda, czas przygotować kolację. Hanka, zejdz z tego leżaka, cały dzień leżysz, jakbyś miała moje lata.

Magda, weź brata, porobi nam trzaski.

— Słyszysz? — spytała Idzikowskiego brunetka siedząca pod ścianą. — Też się na coś przydasz.

Wszyscy wstali z miejsc, oprócz Joachima, który i tak stał.

— Babciu, a może pan Joachim narąbałby trzasek?

— spytał niewinnie Łebkowski. — Cały wieczór stoi przy bujaku, pewnie potrzebuje ruchu.

— Niech pan nie słucha mojego męża, panie Jacku — powiedziała Hanka podając mu swój żółty szal. — Pierwszy raz od pięciu lat jest zazdrosny.

— Przecież, ja jeszcze nie dałem powodu... — rzekł Joachim. Wcale nie wyglądał na speszzonego.

— Słyszeliście? Jeszcze! — zawołała Ada. — Babcia powiedziała Idzikowski, to Idzikowski. Panie Piotrze, gdzie pan idzie?

To było do mnie, uznałem bowiem, że nadszedł czas, aby wrócić do siebie przed familijną kolacją.

— Chciałem się rozpakować. I nie mogę państwu przeszkadzać przez cały wieczór.

— Powinien pan się rozpakować, ale tylko w swoim pokoju — powiedziała babcia. — Wie pan, dlaczego nie przyjmuję turystów? Bo im się zdaje, że mieszkają w całym domu. Wieszają mokre rzeczy na piecach, oknach, drzwiach, kichają, roznoszą katar. Jak się pan czuje?

— Dziękuję, dobrze — powiedziałem ze schodów.

— Mokre rzeczy rozwiesiłem w pokoju i nie będę mieszkał w całym domu. Nawet nie miałbym okazji. Jutro wyjeżdżam. Jeszcze raz dziękuję i dobranoc.

— Jezus Maria, on się chyba obraził — posłyszałem głos babci już z góry. — Aduniu, dziecko, co ja takiego powiedziałam? Przecież...

Zamknąłem za sobą drzwi pokoiku. Nie miałem, oczywiście, nic do rozpakowania. Mokre ubranie i kurtka wisiały na oknie i piecu, suche spodnie, dżinsy, i buty miałem na sobie, w torbie została piżama i przybory toaletowe. I jedna książka. Tom pism Stanisława Witkiewicza. Też jej pewnie nie rozpakuję.

Powinienem się zastanowić. Tylko kiedy? Stukanie do drzwi.

Ada.

— Pan się rzeczywiście obraził czy pan udaje? — spytała.

— Rzeczywiście udaję.

— Babcia prosi pana na kolację.

— Widziałem kwiaty na stole i komódce. Czy to jakaś okazja?

— W pewnym sensie tak. Czterdziestolecie domu. No i urodziny babci.

— Sama pani widzi, że nie powinienem przyjąć zaproszenia. Nie należę do rodziny.

— To wystąpi pan w charakterze gościa z gór. Tego, dla którego zostawia się zawsze wolne nakrycie.

— Rozumiem. Starzec z siwą brodą i czarodziejską torbą. W torbie same niespodzianki.

— Nie byłoby źle. Leje, a my się nudzimy. Będę wdzięczna za niespodziankę.

— Dołożę starań. Co mi pani radzi?

— Żeby się pan nie wygłupiał i zszedł ze mną na dół. Babcia gderze i gderze, ale jakby było trzeba, pierwsza wsadziłaby pana do łóżka i postawiła bańki.

— Bańki? — zerwałem się. — Już schodzę. Niech mi pani nie grozi.

— Nie ma pan racji. Bańki to fajna rzecz.

— Wiem, stawiano mi je w dzieciństwie. Ryczałem jak syrena fabryczna.

— W porządku, wiedziałam, że pana przekonam.

4

— No co tak siedzicie? — spytała babcia. — Bierzcie, nakładajcie, mężczyźni, rozlewajcie nalewkę, musicie mnie dzisiaj dopuścić do głosu. Kto to się śmieje? Jurek, możesz wznieść toast.

— Twoje zdrowie, babciu — rzekł Nowakowski.

Wszyscy wstaliśmy, odśpiewaliśmy „sto lat”.

— Czterdzieści lat temu — ciągnęła babcia — też były moje urodziny. Nic dziwnego, prawda? Ale tego dnia była piękna

pogoda i górale zatknęli wiechę na dachu tego domu.

My z mojej świętej pamięci Teofilem staliśmy przed werandą i teraz mi się wydaje, że przeżyłam wtedy najpiękniejszą chwilę w moim życiu.

Babcia mówiła dalej o tym, co znałam już z listu. Co znałam chyba nie tylko ja, bo na twarzach obecnych nie zauważyłem oznak zbyt gorącego zainteresowania.

— Państwo jesteście rodziną? — spytałem szeptem Adę.

— To moja cioteczna babka. Przyjeżdżamy tu z Jurkiem często, Łebkowscy też. Ich matka przyjaźniła się z babcią, a oni z nami. Idzikowskich i pana Joachima widzimy pierwszy raz. To krewni przyjaciół babci z czasów wojny. Zresztą zaraz babcia na pewno o wszystkim opowie.

— Kim oni są? Wydaje mi się, że pana Joachima już kiedyś widziałem.

— Ja nie. On jest z Warszawy, mówił, że pracuje w jakimś Ministerstwie... albo czymś takim. Nic ciekawego. Idzikowscy są z Łodzi. On inżynier, a jego siostra... o Jezu, zapomniałam... Może nauczycielka? Co pan jeszcze chce wiedzieć?

— Dwa słowa o pani.

— Pan jest z Poznania?

— Nie, dlaczego?

— A bo myślałam, że też się panu zdaje, że skądeś mnie pan zna.

— Gdybym był z Poznania...

— To miałabym hipotezę. Jestem tancerką w balecie opery, Jurek, mój mąż, dziennikarzem, Zygmunt Łebkowski dyrygentem, ale w operetce, jego żona Hanka lekarką. A pan? Informacja za informacją.

— Jestem historykiem, pracuję w bibliotece. Niestety, nic ciekawego.

— A to już ja ocenię.

— Aduniu, dziecko — powiedziała babcia podniesionym głosem — ja cię prosiłam, żebyś się panem opiekowała, ale nie żebyś go zajęła na cały wieczór. Zresztą uprzedziłam, że dzisiaj ja mam głos, przynajmniej przy stole, i nikt poza tym.

— Pani Ada lubi nowe twarze — rzekł z przekazem

Idzikowski — chociaż na sobie tego nie zauważyłem.

— I musi pan solidnie popracować, żeby zauważyć

— warknęła Ada.

— Postaram się.

Babcia spojrzała na niego surowo i ponownie zabrali głos. Tym razem nic nie można było zrobić, wysłuchaliśmy wszystkiego. Niemal wszystkiego. Babcia przezornie nie opisała zbyt dokładnie zawartości skrytki w piwnicy ani jej dokładnej lokalizacji. Pewnie z uwagi na mnie, bądź co bądź obcego. Przypuszczam zresztą, że ten szczegół był już znany członkom jej rodziny i zainteresowanym gościom.

Potem panie podzieliły tort urodzinowy, paliły się świeczki, podbite mrokiem szyby opływały deszczem, ni stole pojawił się nowy gąsior z nalewką, było głośno i coraz weselej, tylko Jacek Joachim odzywał się rzadko, a rodzeństwo Idzikowskich garnęło się raczej do babci i nie umiało podjąć tonu stałych bywalców domu. Nadszedł też moment, kiedy musiałem opowiedzieć o bibliotece, w której pracuję, a ponieważ udało mi się zrobić to dość dobrze, zostałem ostatecznie zaakceptowany, przynajmniej przez babcię i jej rodzinę. Tak mi się, w każdym razie, zdawało.

Zegar w hallu wybił dziesiątą, kiedy rozległo się stukanie w okno.

— Tym razem to chyba Klimczok — powiedziała Ada i wybiegła do hallu.

— A Klimczok, Klimczok — babcia machnęła ręką.

— Jeszcze mu jeden zastrzyk został. Wczoraj miał przyjść, ale jak trzeźwy, to nie przyjdzie.

— Pani robi zastrzyki? — spytałem.

— A czego ja tu nie robię? Przyzwyczaili się i ze wszystkim przychodzą.

W drzwiach pojawiła się Ada, za nią barczysty, rosły góral, z mokrym kocem na ramionach.

— I czemuście wczoraj nie przyszli? — wsiadła na niego babcia, zanim zdążył usta otworzyć. — Widzicie, że mam dzisiaj gości? No dobrze, dobrze, siadajcie, wasz ojciec ten dom budował, musicie wypić kieliszek. Magda, nalej, Ada,

przygotuj strzykawkę, no, siadajcie, Klimczok, siadajcie, koc zostawcie w sieni, jak tam, ciągle leje?

– Leje i wiatr – rzekł Klimczok – nie pójdziecie prędko w góry, nie pójdziecie.

Odsunął sobie krzesło prawie na środek pokoju, usiadł, wypił, wyciągnął kieliszek ku Magdzie, aby naląa.

– Nic z tego, Klimczok – powiedziała stanowczo babcia – ja wam nie żałuję, ale albo zastrzyk, albo wódka. Przyjdźcie jutro, dostaniecie.

– Może jutro zrobimy zastrzyk? – podsunął Klimczok.

– Zastrzyk zrobimy dzisiaj. Co u was? Jak Józef?

– Józef na wesele do Murzasichla pojechał. Ale szwagier ma niedobrze. Na całą noc poszedł.

– Na całą noc? Dlaczego? – zdziwiła się babcia i dodała tonem wyjaśnienia: – Szwagier Klimczoka to miejscowy posterunkowy. To znaczy milicjant.

– Oj, pani Klimaszewska – westchnął popatrując tęsknie w stronę glinianego gąsiora. – Mówić nie można, ale powiem. Jakiś bandyta uciekł w nasze strony. Milicji się nazjechało, po drogach jeżdżą, szukają.

– To się zgadza – powiedziałem. – Kiedy jechałem autobusem, na każdym przystanku były patrole, legitymowali wysiadających.

– Pana też legitymowali? – spytała od niechcienia Magda Idzikowska.

Na przystanku, na którym wysiadłem, nie było nikogo. Nie powiem im tego.

– Oczywiście. Myślałem, że to taki miejscowy zwyczaj.

– Musi byli inni – rzekł Klimczok. – Szwagier wszystkich do siebie na ćwiartkę wziął i spóźnili autobus. Ale już tam są.

– Tylko autobusu nie ma – babcia wzruszyła ramionami.

– Babciu! – zawołała Ada z kuchni – gotowe.

– Chodźmy, panie Klimczok.

Klimczok podniósł się z wyraźnym strachem i poganiany przez babcię począpał za nią do kuchni.

– Chyba wiem, o kogo chodzi – zawołał Nowakowski – o Gellera.

Skąd on wie o Gellerze? I co?

— Jakiego Gellera? — spytał nieuważnie Łebkowski.

— Poczytałbyś czasem prasę, tobyś wiedział. Chociaż, swoją drogą, nazwisk w komunikatach nie wymieniano... Zabójstwo było w Łodzi, facet uciekł. Byłem na konferencji prasowej w poznańskiej komendzie. Nie wszystko jest do druku.

— U nas, w Łodzi, dużo o tym pisano — odezwał się Idzikowski. — To jakaś nie całkiem jasna sprawa.

— Ludzie zawsze tak mówią — wtrąciłem, obserwując spod oka Joachima. Siedział nieruchomo, światło stojącej lampy odbijało się w jego okularach ukrywając oczy i pogłębiało cienie na twarzy — zwykła potrzeba sensacji.

— Ma pan rację — Nowakowski nalał sobie nalewki, zasiadł na bujaku. — Facet jest niebieski ptak, zabił w bójce syna jakiegoś miejscowego dostojnika i zwiął. Nic dziwnego, że zaraz porobiły się plotki, doczepiono człowiekowi polityczne motywy, a to zwykły żigolak, handlarz dolarami, znacie takich sprzed Pewexu...

Joachim siedział nieruchomo, nie wiedziałem, na kogo patrzył. Chyba na mnie.

— Pan to wie ze źródeł oficjalnych? — spytała Magda Idzikowska.

— Oczywiście. I to z wiarogodnych.

— Wszystkie źródła są wiarogodne, dopóki się nie pozna innych — powiedziałem, aby tylko brać udział w rozmowie. Nie siedzieć w milczeniu, jak Joachim.

— Właśnie, Jurek, jesteś zawodowo otępiały — ożywił się Zygmunt Łebkowski. — A może tam chodziło o wielką miłość? Człowiek miał dziewczynę, aż tu się zjawia syn wielkiego ojca, „przyszedł panicz i dla niego pogardziłaś mną”...

— Przestań się wygłupiać — Hanka, jego żona, otuliła się znowu żółtym szalem. — Skąd wiesz, Jurek, że w ogóle o niego chodzi?

— Mówiłem ci, że byłem na konferencji prasowej w Komendzie. Wszędzie go szukają. Nie wierzycie, to otwórzcie radio. Na pewno coś o tym będzie po dzienniku.

Joachim siedział najbliżej, wyciągnął rękę, przekręcił gałkę.

„...Na Podkarpaciu w dalszym ciągu opady i silne wiatry południowo-zachodnie.”

— No i masz ci los — westchnęła Hanka. — Klimczok jak zwykle miał rację.

„Uwaga, nadajemy komunikat Milicji Obywatelskiej .”

Wszyscy umilkli. Będzie komunikat, będzie rysopis.

„W dniu dwunastym stycznia wyszła z domu i do dzisiaj nie powróciła sześćdziesięcioletnia...”

Wybuch śmiechu był tak potężny, że jeśli nawet ktoś roześmiał się z ulgą, nikt nie mógłby tego zauważyć.

— Co wam tak wesoło? — spytała babcia wracając z kuchni. Za nią ciągnął zboląły Klimczok, a na końcu Ada.

— Nic, babciu, nic — powiedział Łebkowski. — Jurek popisał się instynktem dziennikarskim. A ty co, Ada, uczysz się robić zastrzyki?

— Nic podobnego. Musiałam trzymać pana Klimczoka, bo się bał.

— A co też panienka opowiada! — rozżościł się Klimczok.

— Słyszycie? Panienka. Dziękuję, panie Klimczok.

— A to ja przepraszam — opamiętał się Klimczok.

— Dla mnie pani zawsze będzie panienka. To kiedy mogę się napić, pani Klimaszewska?

— Jutro — powiedziała stanowczo babcia.

— Bardzo źle... — mruknął i ruszył ku drzwiom.

I kolacja potoczyła się dalej. Ale babcia wyczerpała już temat zasadniczy, zostały jej tylko drobiazgi. Nie te jednak, które interesowałyby mnie szczególnie.

— Gdzie mogłam, tam się zabezpieczyłam, żeby was wszystkich na pewno zgromadzić. Do was, Janku, napisałam i do domu, i do tego kwartalnika, w którym mój znajomy widział twój artykuł. Do Jacka na adres domowy, bo nie wiedziałam, gdzie pracuje. I tak szczęśliwie mam was wszystkich przy sobie.

— To pan pisuje artykuły? — spytał Joachim Idzikowski

— Takie tam fachowe drobiazgi — wzruszył ramionami. — A w ogóle powinniśmy wypić na ty... Przez ciotkę jesteśmy jakoś tam spowinowaceni.

— Dawno już powinniście to zrobić! — zawołała babcia.

— Na śniadanie było tylko mleko — powiedział Joachim. Czemu się tak rozgadał?

— A co, miałam nalewkę wlać do dzbanka? No pijcie, pijcie. Nie ma Teofila, nie ma Maryjki, nie ma Kazimierza, tylko wy mi zostaliście... Będziecie do mnie przyjeżdżać?

— Będziemy, babciu — rzekł Idzikowski i pocałował ją w rękę.

Potem dwaj cudem odnalezieni kuzyni ujęli kieliszki, przelożyli ręce i wypili na ty.

— Mów mi Jasiu — rzekł Idzikowski.

— Mego imienia się nie zdrabnia — rzekł zimno Joachim.

— Dlaczego? — spytałem. — Mój przyjaciel ma synka Jacusia.

— Jacuś! — powiedziała Ada przyglądając się krytycznie Joachimowi. — To do pana wyjątkowo pasuje.

— Wy też powinniście wypić — przerwała jej babcia. — Będziecie się u mnie spotykać przynajmniej raz w roku.

— Ale to jutro, babciu, dobrze? Wzruszenia trzeba dozować. Teraz sprzątniemy ze stołu.

— I poskładamy w kuchni, Aduniu. Umyjemy jutro. Dziewczęta pomogą?

— Dziewczęta pomogą — oświadczyła Ada.

— Jeszcze wcześniej — babcia spojrzała na zegarek — może roberka?

Zapanowała lekka konsternacja. Ada, Hanka i Magda rzuciły się na nakrycia, babcia dyrygowała nimi co chwila załamując ręce, gdy cukiernica stanęła na tłustym talerzu albo pokrajany chleb znalazł się w salaterce po rzodkiewce — a kiedy wreszcie zniknęła w kuchni, aby poprzestawiać brudne naczynia według własnego gustu, Nowakowski powiedział szybko i cicho:

— Na rany boskie, ratunku! Idę do łóżka i czytam te babcine przedwojenne romanse z gazetowych wycinków. W sam raz zajęcie na taką noc.

— Zwariowałaś? O tej porze? — wściekła się Ada.

— A co, będziesz grać? Wolę kamienie tłuc, wołę...

— Czekaście, uspokójcie się — Łebkowski uniósł rękę. — Jurek, nie uciekniesz, tchórze. Trzeba coś wymyślić.

— Co wymyślisz? — nie ustępował Nowakowski.

— Babcia ma wszystko wymyślone. Jak nie bridż, to remik, jak nie remik...

— Jedyne wyjście to wspólna zabawa — powiedziałem — która nie każdemu może się podobać.

— A może rzeczywiście pójdziemy wszyscy do siebie — zaczęła niepewnie Magda Idzikowska. — Jestem zmęczona...

— Prawdę mówiąc, ja także — jej brat ziewnął ledwie przesłaniając usta. — Może pierwszy pomysł nie był taki zły?

Łebkowski pokręcił energicznie głową.

— Jak państwo wolicie, dla nas to za wcześnie. Pan Piotr powiedział coś ważnego. Wspólna zabawa, tak? To jest myśl, słuchajcie!

— Tylko w co? — zapaliła się Hanka. — Szybko! No, projektodawca!

— W morderstwo! — wykrzyknęła Ada, zanim zdążyłem otworzyć usta. Miałem na myśli zwykły taneczny wieczorek, bo w kącie werandy stał na stoliku adapter, a przy nim stos płyt, bo tylko trzy panie nadawały się do tańca i pozostali panowie byłiby skazani na rozmowy. Ale już za późno.

— W końcu coś z głową! — przekrzykiwali się Hanka i Łebkowski, Nowakowski. — To nawet a propos, co? Morderca niedaleko! Ada, masz u mnie wódkę! Pierwszy raz powiedziałaś coś do rzeczy.

— W imię Ojca i Syna, jaki morderca? — usłyszeliśmy od strony drzwi do kuchni przerażony głos babci — jakie morderstwo?

— Bawimy się w morderstwo, babciu — rzekł raźnie Nowakowski. — Idziemy na piętro, zajmujemy korytarz i wszystkie pokoje.

— Może i parter? — zapalił się Łebkowski.

— To za dużo — zdecydowała Ada. — Powiedzmy schody, hall i ta weranda, nie więcej. Dobrze?

Babcia stała nieruchomo, widać niewiele z tego rozumiała.

— To nie zagramy w bridża? — spytała.

Teraz dopiero można było spostrzec, że nie wszyscy goście babci byli równie zachwyceni pomysłem Ady, choć hałaśliwy entuzjazm obu małżeństw nader skutecznie przytłoczył ich

rezerwę. Idzikowscy popatrywali na siebie niepewnie, Joachim błyskał okularami w milczącym proteście, nie mówiąc już o samej gospodyni.

— Więc nikt ze mną nie będzie grać w bridża? — powtórzyła.

— Babciu, gramy codziennie i będziemy grać — powiedziała niecierpliwie Ada — ale noc z taką pogodą i takim nastrojem zdarza się raz na sto lat.

— Ta zabawa ładnie się nazywa — odezwał się wreszcie Joachim — przyznaję, ale...

— ...ale nie wie pan, o co chodzi — Ada skinęła energicznie głową. — To się pan zaraz dowie. Babcia bawi się z nami?

— A idźże do licha! — rozłościła się babcia. — Nie będę z wami ganiała po schodach. Pewnie jeszcze po ciemku? Wyłożę sobie pasjansa poetów.

I podreptała do siebie lekko obrażona.

— A wy, Idzikowscy? — spytała Hanka.

Idzikowski spojrział niepewnie na siostrę.

— No, czyja wiem... Jeżeli wszyscy... Ale...

— To chyba długo nie potrwa... — Magda Idzikowska zawiesiła głos.

— Jak się zmęczymy, pójdziemy spać — Ada podjęła za nią decyzję. — A babci ulubiony partner do bridża? Pan Piotr? Chyba niepotrzebnie pytam?

— Myślałem, że potańczymy — powiedziałem lekko — ale się nie uchylam. Już się kilka razy w to bawiłem.

— I co? Zabawnie było? — zainteresowała się Hanka.

— Różnie. Zabawnie było wtedy, kiedy pojawiały się motywy niezależne od gry. I kłamał nie tylko morderca.

— Żadnych takich! — oświadczyła Ada. — Żadnych ubocznych motywów! Zresztą nie ma możliwości! Nikt tu z nikim nie mota romansu. Panie Piotrze, do pana mówię. Idziemy na górę.

Szedłem ostatni, zgasilem światło. Zawróciłem z połowy schodów, bo zostawiłem na stole zapalniczkę. Kiedy wracałem ku schodom, zdawało mi się, że słyszę za oknami werandy niewyraźny szmer, różny od jednostajnego szumu deszczu. Odwróciłem się. Za szybą pojawiła się na moment jasna,

rozmazana plama i znikła w ciemności. Jakby ktoś usiłował zajrzeć do środka, ale zabrakło mu odwagi, aby uczynić to skutecznie. Zresztą może mi się zdawało.

5

Staliśmy na obszernym korytarzu, blisko podestu schodów. Drzwi wszystkich pokoi były otwarte. Światła zapalone.

— Kto nie wie, temu tłumaczę — mówił Łebkowski podniesionym głosem, ale w istocie zwracał się tylko do Idzikowskich i Joachima. — Gra po angielsku nazywa się „murder party” i jest nie tylko grą towarzyską, ale także częstym motywem angielskich powieści kryminalnych. W powieściach oczywiście zbrodnia dokonana zostaje naprawdę i śledztwo-zabawa staje się prawdziwym śledztwem.

— W związku z czym proszę pamiętać — wtrąciła Ada — że to jest dom babci Klimaszewskiej w Bukowinie Tatrzańskiej, a nie angielska powieść kryminalna. To oczywiście na wypadek, gdybym ja miała być ofiarą.

— Będziesz ofiarą, jeżeli nie przestaniesz przerywać. Uwaga, ciągniemy kartki. Na jednej jest napisane „morderca”, na drugiej „detektyw”. Detektyw się ujawnia, żeby go przypadkiem nie zamordowano. Morderca, oczywiście, nie. Potem gasi się wszystkie światła...

— To głupia zabawa — Magda Idzikowska ściągnęła ramiona. — Ja się boję sama w ciemności.

— Nie musi pani być sama — powiedziałem. — Tylko morderca musi być sam. Nawet powinna pani starać się o towarzystwo, żeby mieć alibi.

— Tu, na stoliku, leży sztylet — wskazała Ada. — Morderca musi go zabrać w ciemności i wręczyć upatrzonej ofierze. Ofiara się przewraca. Kiedy ktoś znajdzie ciało, robi alarm i zapalamy światło. Jasne?

— Nie bardzo — rzekł Joachim z widocznym niezadowolaniem. — W jaki sposób detektyw ma wykryć zabójcę? Przecież...

— To już sprawa detektywa — Idzikowski wzruszył ramionami. — Nie martw się, może trafi na kogo innego.

— Przecież to proste — wtrącił Nowakowski. — Chodzi się grupkami, rozmawia, pali papierosy. Detektyw ustala alibi każdego z podejrzanych, aż trafi... Ale pomylić się wolno tylko raz. Za drugim razem detektyw przegrywa i morderca sam się ujawnia.

— No i podstawowa zasada — dodałem — wszyscy mówią prawdę oprócz mordercy.

— Wystarczy? — spytała Ada. — Wszystko jasne? Ciągniemy.

I zaczęła obchodzić nas z kapeluszem, który przyniosła z pokoju babci.

— Ja jestem detektyw! — zawołał Nowakowski. — Wara mnie tknąć!

— A ja ofiara! Litości... — jęknęła Ada.

— Ofiara? — zdziwiła się Magda. — Przecież...

— Wygłupia się — zniescierpliwiał się Łebkowski. — Morderca sam sobie wybiera ofiarę.

— Ma pani szansę, w każdym razie... — rzekł Idzikowski.

— Dziękuję. I uprzedzam, że mam zwyczaj drapać, kiedy mnie kto po ciemku morduje.

— Prawda to, Jurek? — spytała niewinnie Hanka.

— Może już zaczniemy? — Magda Idzikowska zmięła karteczkę i wrzuciła ją do kosza. — Naprawdę jestem zmęczona.

Ada wzruszyła ramionami, chciała coś powiedzieć, ale Łebkowski ujął ją za łokieć, jakby przewidział jej reakcję i wołał zapobiec spięciu.

— Gasimy światło! — zawołał.

Nowakowski stał najbliżej kontaktu w korytarzu, ja zgasiłem światło na schodach. Zapanowała gęsta, nieprzenikliwa ciemność.

Z początku słyhać było tylko śmiechy, chrząknięcia, niepewne kroki, wreszcie w głębi korytarza zabłysnął płomyk zapalniczki, bliżej schodów drugi, rozjarzyły się ogniki papierosów, zaszemrały pierwsze rozmowy, przyciszone i jakby skrępowane, tak na to rozkrzyczane towarzystwo podziałała

sceneria i nastrój zabawy. Nie zapalałem papierosa, posuwałem się wolno wzdłuż ściany korytarza, przystając w progu otwartych drzwi do pokoiów. Staralem się poruszać bezszelestnie. Minalem rozmawiającą o niczym grupkę, rozpoznałem głos Łebkowskiego. W drugim pokoju po lewej, nie wiedzialem, do kogo należał, usłyszałem, niewyraźny szept. Przygnałem do ściany, posunalem się o krok dalej, znieruchomialem.

— Wszyscy na razie są w korytarzu — posłyszałem.

— Czego ode mnie chcesz!

— Trzeba coś zrobić. Czas mija i nic.

— Nie denerwuj się. Pamiętaj, co ci powiedziałem.

Wychodzę.

Stałem za blisko drzwi, cofnałem się szybko na korytarz i wpadłem na kogoś, poczułem włosy na policzku, zapach perfum.

— Tu Hanka. Morderca czy w uczciwych zamiarach?

— Przepraszam. Tutaj Olszewski w uczciwych zamiarach. Doszedłem do końca korytarza i wracam.

Ktoś wysunął się z drzwi obok i dla niego była przeznaczona ta informacja.,

— Wszystko w tym domu skrzypi, trzeszczy, niech pan ze mną chwilę porozmawia, bo zacznę się bać. Kto to? Co za poufałości?

— To ja, koleżanko — odezwał się Nowakowski. — Dotknąłem twojej głowy i poznałem cię po włosach. Z kim stoisz?

— O mało nie padłem ofiarą fałszywego oskarżenia powiedziałem. — Zostawiam panią pod dobrą opieką.

I zacząłem posuwać się w stronę schodów. Zajrzałem do pokoju po przeciwnej stronie. Szept w kącie. Wytrzymałem chwilę, nie na próżno.

— Zdawało ci się, nikt nie wszedł. I nie zachowuj się jak szczeniak.

— A to ciekawe, nie wiedziałem, że według ciebie szczeniaki powinny tak się zachowywać.

— Nie powinny się zachowywać, ale się zachowują. A ty jesteś

dorośli mężczyzna i nie wypada ci korzystać ze wszystkich okazji, tylko z niektórych.

— To znaczy z jakich?

— Z lepszych.

Wycofałem się. Ten mężczyzna miał zdecydowanie uczciwe zamiary. Znalazłem się w pobliżu schodów. Hanka miała rację. W deszczu i wietrze dom jęczał, szumiał trzeszczał, bulgotała woda w rynnach, zgrzytały okiennice. Mimo to usłyszałem lekkie skrzypnięcie schodów, przez moment, wśród innych dźwięków; uświadomiłem sobie wtedy, że obszar zabawy obejmował także schody i werandę na dole. Myślałem jednak, że wszyscy są na górze i nikt nie kwapi się do wędrówek po domu. Nikt?

Cicho i szybko zszedłem na dół. W hallu przystanąłem przy otwartych drzwiach werandy. I znów wydało mi się, że słyszę za sobą skrzypnięcie schodów. Musiałem się mylić albo wtedy, albo teraz. Cicho wszedłem na werandę, zatrzymałem się w zgęszczeniu mroku, za szeroką komodą. Nagle za szybą, w huczącej ciemności, pojawiła się znowu jasna plama twarzy, jak wtedy, kiedy wróciłem na werandę po zapalniczkę. Zgrzytnęło otwierane okno, zamajaczyła ciemna sylwetka wewnątrz domu. Nie mogłem podejść bliżej, zauważyłby mnie ten z zewnątrz, jeśli nie posłyszałby domownik. Strzępy słów.

— ...najdalej za godzinę... albo jutro... ale pogoda...

— ...nie mogę jutro. Nie gadaj tyle... musi wyjść... O dwunastej...

— ...cztery godziny najmarniej... za późno...

— ...powiedziałem o dwunastej... czekaj...

Głośny szmer przy drzwiach. Znikła plama twarzy, ciemna sylwetka przy oknie znikła w cieniu werandy.

Posłyszałem za sobą przyspieszony oddech, znikł. Jakiś odgłos na schodach, potknięcie się, ktoś przesunął się obok mnie, odczekałem moment i ruszyłem za nim. Ze schodów słyhać było ruch na piętrze, rozmowy prawie już głośne, śmiechy nie skrepowane.

— Słuchajcie, tu ktoś leży! — usłyszałem podniecony głos, jak mi się wydawało, Magdy Idzikowskiej.

Przyśpieszyłem kroku, stanąłem na górze, odwrócony bokiem ku schodom, kiedy zapłonęło światło. O krok ode mnie, po prawej stronie, stał Joachim, z ręką opartą na poręczy schodów, patrzył na mnie. Za nim Nowakowski z Hanką nad leżącą na podłodze Adą. U wylotu korytarza Łebkowski i nieco przestraszona Magda Idzikowska; jej brat szedł właśnie ku ofierze morderstwa, nachylił się i podniósł leżący na podłodze sztylet.

— No i żonę mi zadźgali — powiedział Nowakowski. — Muszę dokładnie zapamiętać położenie ciała. No już! Chodźcie na dół.

— Czemu ona się nie rusza? — spytała lekliwie Magda.

— Hej, Ada, wstawaj! — zawołał Łebkowski i dodał z niepokojem: — No, co z tobą?

Hanka przyklękała zdecydowanie, ujęła przegub Ady.

— Ada — powiedziała. — Nie wygłupiaj się...

— Mówiłam, że nie lubię, jak mnie po ciemku mordują — odezwała się Ada nie otwierając oczu — i jakaś Świnia zrobiła mi na złość.

Wstała otrzepując dzinsy, z ponurą miną i zabawnym grymasem ust.

— Jurek, znajdź sprawcę i na szubienicę! — zarządziła jeszcze, zanim wszyscy wybuchnęli śmiechem.

6

— Wszyscy siedzą w skupieniu i patrzą na mnie? — zapytał Nowakowski. — To bardzo dobrze. Jak państwo wiecie, jestem detektywem i mam zamiar sprawić wam dzisiaj kilka niespodzianek. Proszę nie dziękować, uczynicie to później wraz z całym społeczeństwem. Na razie zajmujemy się sprawą Ady N., jeżeli zgodzicie się na taki kryptonim. A więc uwaga. Przypominam, że tylko morderca ma prawo kłamać, do chwili, w której zapytam go wprost, czy jest mordercą? Jasne? A zatem. Kto rozmawiał z ofiarą po zgaszeniu światła?

— Ja — odezwała się Hanka.

— I co robiłaś potem?

— Nic, panie inspektorze. Ofiara wcale nie była zdenerwowana, widocznie niczego się nie spodziewała...

— Haniu, kochaniatko — poprosił Nowakowski z fałszywą słodyczą. — Zachowaj swój szampański humor na inną okazję.

— Przepraszam, panie nadinspektorze — wycofała się. — Potem spotkałam pana Olszewskiego i chwilę rozmawialiśmy.

— Gdzie to było?

— Mniej więcej w połowie korytarza — odezwałem się — wpadłem na panią Hanke...

— Pytałem Hanke, nie pana — rzekł surowo Nowakowski.

— Przepraszam, panie komisarzu.

— Jeżeli go będziecie awansować w takim tempie — zawołała Ada — przewróci mu się w głowie i zacznie urzędować zamiast szukać mordercy.

— Ofiara, cicho! Co to, seans spirytystyczny? Hanka, co było dalej?

— Potem nadszedł pan inspektor i zaczął sprawdzać, czy ma do czynienia z kobietą...

— Ty Świnio! — warknęła Ada.

— Jestem młodym wdowcem, a poza tym inspektorem policji. Dotknąłem włosów tej intrygantki. Potem wiem, rozmawialiśmy chwilę i ktoś cię zabrał. Kto?

— Nikt mnie nie zabrał. Ty się gdzieś zgubiłeś.

— Więc co robiłaś?

— Zaczęłam szukać papierosów i wtedy znaleziono ofiarę.

— Byłaś sama?

— No tak, ale...

— W porządku. Pan Olszewski?

— Po rozmowie z panią Hanką usiadłem w fotelu w którymś pokoju i siedziałem dość długo. Potem poszedłem w kierunku schodów i wtedy zapalono światło.

— To znaczy, że pan nie ma alibi. Dobrze. Idzikowski?

— Na początku byłem sam, objąłem się o kogoś, potem spotkałem siostrę i byłem z nią aż do końca.

— Dobrze. Zygmunt?

— To pewnie o mnie objął się Idzikowski — Łebkowski pokiwał głową — bo dwa razy ktoś na mnie wleciał po

zgaszeniu światła i nawet nie powiedział przepraszam.

— Ja powiedziałem — poderwał się Idzikowski. — Ale ten drugi...

— Siadać? — wrzasnął Nowakowski. — Musi być jakiś porządek w śledztwie. Co potem?

— Potem spotkałem pana inspektora i rozmawialiśmy, jak zapewne pan inspektor pamięta. Kiedy Magda Idzikowska znalazła Adę, tak się przestraszyła, że wpadła na mnie z impetem i musiałem ją uspokajać.

— Prawie prawda... — westchnęła Magda.

— Pan Joachim?

— Ja chyba nie mam alibi — rzekł niepewnie. Siedział w cieniu, światło lampy odbijało się w jego okularach. — Wpadłem na kogoś raz i drugi, potem stanąłem przy ścianie koło schodów i paliłem papierosa.

— Drugi bez alibi — mruknął Nowakowski. — Dobrze. W najgorszej sytuacji są pan Olszewski i pan Joachim. Dla jasności: nikt nie schodził na dół?

Cisza.

— Prędeż, Jurek — zniecierpliwiła się Ada. — Ja muszę się dowiedzieć, kto mi ofiarował ten sztylet.

— A domyślasz się? — spytała Hanka.

— Ofiara milczy — Nowakowski podniósł ostrzegawczo rękę.

— A więc zakończyliśmy postępowanie dowodowe. Przystępujemy...

— A ty się spytaj jeszcze, moje dziecko — rozległ się głos babci zza otwartych drzwi hallu — czy ci, co mają alibi, ani na moment nie odchodzili? Morderca musi mieć alibi...

— Brawo, babciu! — zawołała Ada. — Babcia detektyw!

— Wywabiliśmy babcię — wtórowała jej Hanka. — Trzymaj się, Jurek, bo babcia cię wyręczy!

Nowakowski uśmiechnął się ze źle ukrywanym przymusem. Zjawienie się babci najwyraźniej zdekomponowało jego wystąpienie.

— Dziękuję społeczeństwu za współpracę — rzekł kwaśno — ale w rutynie policyjnej są i takie pytania. Właśnie miałem je zadać.

Zmyślił to najbezwstydniej.

— Magda Idzikowska — ciągnął. — Brat nie odchodził ani na chwilę? Żeby zgasić papierosa, na przykład.

— Ani na chwilę. W ogóle nie palił.

— Kto ma jeszcze alibi? Ty, Zygmunt, najlepsze, bo rozmawiałeś ze mną. Tylko raz szukałeś popielniczki, ale...

— Zaczekaj — babcia już weszła i stała za nim z przebiegłym wyrazem twarzy — gdzie to było?

— Koło schodów, babciu — odpowiedział Nowakowski wznosząc oczy ku górze w niemej skardze. — Sami widzicie, w jakich warunkach muszę pracować. Babciu, proszę siadać.

— Jeszcze chwilkę dziecino. Koło schodów? A kiedy?

— Przed zapaleniem światła, babciu. Prosiłem...

— Zygmunt, to ty! — zawołała babcia.

— Babciu, ja prowadzę śledztwo! — wrzasnął Nowakowski. — Przez babcię będę miał jedną pomyłkę! Ale trudno, słowo się rzekło. Zygmunt, to ty?

— Ja — rzekł Łebkowski.

— Brawo, babciu! — wykrzyknęła Ada. — Mianujemy babcię honorowym inspektorem! A ty, łajdaku, poczekaj, ja cię nauczę mordować młode kobiety, w dodatku, według Klimczoka, panienki!

I chwyciła go za włosy. Nowakowski usiadł z kwaśną miną, a babcia oświadczyła z zapalem.

— Bawię się z wami! Nie macie pojęcia, jak mi karta nie idzie. Żaden pasjans nie wychodzi!

— Ale czy to nie dosyć na dzisiaj? — zaoponowała Magda Idzikowska. — Miał być tylko ten raz. Ja naprawdę jestem zmęczona.

— To idźcie spać, przecież wcale nie hałasujemy — rzekł energicznie Nowakowski. — Ada, masz kartki?

Magda spojrzała na brata, wzruszyła ramionami. Idzikowski rozłożył ręce.

— Jeszcze ten raz... — mruknął uspokajająco.

— To już, są kartki, ciągnijcie — zarządziła Ada. — Tylko przypominam, że ja już raz zostałam zamordowana.

— Ja jestem detektywem! — ucieszyła się babcia.

— Słyszycie, ja jestem detektywem!

— Drżysz, morderco! — zawołała Ada. — Idziemy na górę. Tam jest lepiej. Proponuję oficjalnie wyłączyć dół. I tak tu nikt nie chodzi.

— Babcia mi pomogła, ja pomogę babci — oświadczył Nowakowski, podniecony trochę ponad miarę oczekujących nas wydarzeń. — Mam ochotę jeszcze raz dzisiaj pobawić się w detektywa.

Przyjrzałem mu się uważnie. Był ożywiony, ruchliwy, wesoły. Ale wydawało mi się, że w ten sposób ukrywa tylko rosnące w nim napięcie.

7

I znowu ciemność, chichoty, szepty, ogniki papierosów.

— Spacerować, rozmawiać, chodzić! — komenderowała babcia, mniej więcej z połowy korytarza. — Muszę mieć jakiś materiał do śledztwa! Morderca, proszę do roboty! Nie, ja nie chcę tego sztyletu, przecież mówiłam, że jestem detektywem! Co, to nie sztylet? Dziękuję, nie palę.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Staralem się zorientować, czy wszyscy jesteśmy ha korytarzu i w pokojach, ale nie było to łatwe. Rozpoznałem tylko śmiech Ady, w ciemności trudno było ocenić, do ilu osób dobiegł monolog babci. Przesunąłem się więc w kierunku schodów, zatrzymując się przy otwartych drzwiach pokoiów, ale nie usłyszałem tym razem szeptów ani wyznań.

Obok głośno rozmawiała Hanka z Magdą, ja wpadłem na Adę, która wrzasnęła: „Już byłam mordowana” — i znalazłem się na podeście schodów, gdy rozległ się gwałtowny rumor, trzask i łomot ciała toczącego się po stopniach. Poczulem pchnięcie, które odrzuciło mnie na ścianę, wyciągnąłem rękę, przekrzyłem kontakt.

Gdy zabłysło światło, wszyscy byli przy mnie.

— Co się stało? — pytała Ada. — Ktoś spadł?

— Trzeba było zostać na dole — gderala babcia. — Schody

wąskie, wyślizgane. Teofil zleciał z nich dwa razy, zanim...

Nie słuchałem. Zbiegłem na półpiętro, zobaczyłem za załamaniem schodów nienaturalnie skurczoną sylwetkę Nowakowskiego.

— Jurek, co tobie? — zawołała histerycznie Ada. — Jurek!

Wydawało mi się, że powieki Nowakowskiego drgnęły lekko, a w oczach pojawił się na moment przytomny błysk.

— Lekarz! — zawołałem. — Pani Hanko!

Ująłem rękę Nowakowskiego, ale Hanka niemal mnie odepchnęła.

— Przepraszam, ale proszę go nie ruszać.

Wyprostowałem się i zobaczyłem utkwione we mnie przerażone oczy Ady.

— W porządku — powiedziałem. — Chyba tylko się potłukł, stracił przytomność.

Nad nami wzdłuż poręczy nachylały się twarze krewnych i znajomych babci Klimaszewskiej, ona sama stała u góry, z załamanymi rękami i oczami wzniesionymi w niebo w niemej modlitwie.

— Weźcie go ostrożnie, ale bardzo ostrożnie, i połóżcie na łóżku — powiedziała Hanka wyprostowując się. — Na oko nie ma nic złamanego. Zygmunt, przynieś mi moją torbę. Ada, nie histeryzuj.

— Czy on... — zaczęła Ada.

— Nie ma pęknięcia czaszki — powiedziała szorstko Hanka. — Chyba to lekki wstrząs mózgu i ogólne potłuczenie. Zresztą zobaczymy. No, bierzcie go, tylko ostrożnie...

Skinąłem na Łebkowskiego, który był bliżej, unieśliśmy ostrożnie niefortunnego detektywa. Joachim i Idzikowski usiłowali nam pomóc, ale na wąskich schodach tylko przeszkadzali, Ada podtrzymywała głowę męża i w ten sposób dotarliśmy na górę, gdzie babcia powoli wracała już do siebie.

— Mam kwaśną wodę i ziółka, bardzo dobre na potłuczenie — powiedziała. — Zaraz zaparzę, Magda, dziecko, ty mi pomożesz...

— Mogą być ziółka — mruknęła Hanka. — I przegotowanej wody proszę.

Położyliśmy Nowakowskiego w drugim pokoju po prawej, na wąskim tapczanie.

— Ada niech zostanie, wy idźcie na dół — zarządziła Hanka.

Usłuchaliśmy w milczeniu. Wróciliśmy na werandę, siedzieliśmy słuchając pogadywania babci, dobiegającego zza otwartych drzwi kuchni.

— Przedzisz to, Magduniu, do rondelka, nie, nie przez to, weź sito, wisi nad kuchnią, zobaczysz, to lepsze niż wszystkie te kwaśne wody... Nie mogę zrozumieć, jak on mógł tak upaść...

— Może chciał szybko zejść na dół... — zaczęła niepewnie Magda.

— Co też mówisz, moje dziecko, żeby się tak przewrócić, musiałby w ogóle nie wiedzieć, że tam są schody. Albo ktoś go niechący popchnął, albo potknął się, biedactwo, o kogoś, kto także chciał zejść...

— Dlaczego o kogoś? Może zwyczajnie się potknął?

— Zwyczajnie, moje dziecko, to tam się nie ma o co potknąć. Daj mi ten rondelk, pójde na górę...

A przechodząc przez werandę, powiedziała:

— Zróbcie sobie herbaty. Albo idźcie spać.

— Dobrze, babciu, dobrze — mruknął Łebkowski.

— Ja tam nie mam ochoty na herbatę. Wiecie, że coś w tym jest— dodał, kiedy babcia zaczęła wchodzić po schodach. — Właściwie dlaczego on się tak rąbnął? Znał te schody jak własną kieszeń, ile razy, przez ile lat lataliśmy po nich po ciemku...

— Sądzi pan, że ktoś go popchnął? — spytał Joachim.

— Dlaczego zaraz popchnął? — Idzikowski wzruszył ramionami. — Niby kto i dlaczego? To nie ma sensu. Po prostu musiał się potknąć...

— Ale z tych paru stopni nie zleciałby z takim hukiem i nie straciłby przytomności — nie ustępował Joachim.

Łebkowski wzruszył ramionami, zamyślony. Ja obserwowałem spod oka Joachima. Do czego prowadził?

O co mu chodziło?

Wróciła Ada. Usiadła w fotelu pod oknem, oparła brodę na rękę. Powoli wracała do siebie. Sięgnęła na oparcie bujaka,

wzięła żółty szal Hanki, narzuciła sobie na ramiona.

— Co tu tak zimno? — wzdrygnęła się, obejrzała.

— Co za wariat otworzył okno? Zygmunt, zamknij.

Łebkowski podszedł, przyjrzał się oknu, znowu wzruszył ramionami.

— To okno było zamknięte jeszcze przy kolacji — odezwał się znowu Joachim. — A potem było tu ciemno albo siedzieliśmy wszyscy razem. Wtedy nikt go nie otwierał.

— Chce pan powiedzieć, że ktoś obcy wdarł się do domu — spytałem wreszcie, aby zmusić go do ujawnienia celu tej nagłej aktywności — i uderzył pana Nowakowskiego?

— Ja się boję — powiedziała Magda Idzikowska ściągając ramiona. — To... to jest możliwe... To jest duży dom...

— Nie taki duży, żeby obcy ludzie łazili po nim jak po dworcu kolejowym — rzekł ze zniecierpliwieniem Łebkowski. — I gdzie by teraz siedział? W piwnicy?

— W zegarze — mruknąłem — i wyskakuje jak kukulka.

Właśnie odezwał się zegar, uderzył jedenaście razy. Ktoś w tym domu ma tylko godzinę czasu.

W progu stanęła babcia z ciemnym przedmiotem w ręku.

— Pomimo wszystko moglibyście jednak trochę uważać — powiedziała podniesionym głosem — w końcu to są cenne rzeczy i moje pamiątki. Proszę, pęknięte, farba poodpryskiwała...

Trzymała w ręce drewnianego świątka.

— Gdzie go babcia znalazła? — spytał gwałtownie Łebkowski.

— Stał na półeczce koło schodów, nie pamiętasz? A teraz leżał na podłodze, tuż nad pierwszym stopniem...

Otoczyliśmy ją patrząc na kanciastą, ciemną figurkę.

— No tak... — powiedziała wolno Magda. — Drzewo pęknięte... To tym...

— Co tym? — spytała babcia. — Myślicie, że ktoś go uderzył? Moim świątkiem z dziewiętnastego wieku?

Staliśmy milcząc i patrząc na siebie spode łba. Na siebie? No tak. Ja patrzyłem na nich, a oni na mnie.

— Rozumiem — powiedziałem. — Jestem tutaj obcy, jestem intruzem i państwo macie prawo mnie podejrzewać. Właściwie

o wszystko. Ja też widzę was wszystkich po raz pierwszy w życiu. Dlaczego miałbym uderzyć pana Nowakowskiego?

— Nikt pana o nic nie podejrzewa — powiedziała energicznie babcia. — Ja się znam na ludziach. Panu dobrze patrzy z oczu, dlatego pana przyjąłem. My tutaj też nie wszyscy znamy się od dziecka. Też widzimy się pierwszy raz w życiu.

— Może Jurek strącił tego świątka spadając... — zaczęła niepewnie Ada.

— Nonsens — mruknął Łebkowski. — Spójrzcie na to pęknięcie. Jurek tym oberwał.

— Jurek śpi — powiedziała Hanka wchodząc i ocierając chusteczką spoconą twarz — nie należy go budzić. Jutro będzie go bolała głowa i powinien zostać w łóżku.

— Bogu dzięki — westchnęła Magda z ulgą. — Widzi pani, pani Ado? Wszystko będzie w porządku.

— Nic nie mówił? — spytał Joachim. — Nie odzyskał przytomności?

— Był już przytomny, ale nie pozwoliłam mu mówić. Ma spać.

— Pójdę do niego — Ada skierowała się ku drzwiom.

— Tylko go nie budź! — zawołała za nią Hanka.

Odczekałem chwilę i poszedłem za nią. Dogoniłem ją na schodach, na półpiętrze, staliśmy w półmroku.

— Przepraszam panią — powiedziałem — chcę panią o coś zapytać. Ale przedtem... pani przecież nie wierzy, że mogłem uderzyć pani męża?

— Jeśli mam być szczerą — zawahała się — oczywiście, nie wierzę. Ale to jest takie bezsensowne, że nie może się pan dziwić... Najróżniejsze rzeczy przychodzą człowiekowi do głowy. Jurek jest dziennikarzem, i to nie z tych, którzy piszą o dziurach w jezdni i zatkanej kanalizacji. Na pewno ma wielu wrogów.

— Co mogę zrobić? Mogę tylko dać pani słowo honoru, że pani męża widzę pierwszy raz w życiu, że nigdy mi w niczym nie zawinił i że w ogóle nie mam zwyczaju regulować porachunków za pomocą drewnianego świątka. I to w dodatku z dziewiętnastego wieku. Jestem historykiem i ręka by mi

zadrżała.

— Wierzę panu — Ada wyciągnęła rękę i cień uśmiechu zjawiał się na jej twarzy — ale dalej niczego nie rozumiem. A pan?

— Ja staram się zrozumieć. Stąd moje pytanie. Niech się pani nie przerazi, to tylko luźne przypuszczenie...

— Nie przerażę się, nie jestem taka bojaźliwa... Niech pan pyta.

— Czy pani mąż mógł wiedzieć, jak wygląda Geiler? Ten poszukiwany zabójca?

Ada cofnęła się o krok, milczała.

— Więc jednak — westchnąłem. — Proszę pani, ten Geller jest z Łodzi, a ja Łodzi prawie nie znam. I gdybym uderzył pani męża dlatego, że mnie poznał, nie zadałbym pani takiego pytania.

— Szczególnie mnie przekonało to, że pan nie zna Łodzi — mruknęła. — No dobrze, udało się panu. Ale już mi przeszło, wcale się nie boję. Chyba źle pan trafił, bo niby skąd... Ale Jurek rzeczywiście mógł wiedzieć..., Píše o sprawach kryminalnych, był na konferencji prasowej, widział fotografię...

— Kiedy przyjechał Joachim?

— Joachim? Dlaczego Joachim? Myśli pan...

— Nic nie myślę, pani Ado. Chcę wiedzieć. I nie chodzi mi o to, że oba te nazwiska nie kończą się na „ski”.

— Znowu mnie pan zaskoczył. Byłam przekonana, że właśnie o to panu chodzi. Joachim przyjechał wczesnym popołudniem. Ostatni z zaproszonych gości. Nie lubię go, bo nosi okulary w taki sposób, że chyba ani razu nie widziałam jego oczu.

— Powód jest poważny. Na razie.

I wróciłem na dół. Na werandzie trwała ożywiona dyskusja. Szedłem cicho, przystanąłem w hallu obok uchylonych drzwi.

— Ale my nawet nie wiemy, jak się ten pan naprawdę nazywa — mówił Idzikowski. — To on nam powiedział, że Olszewski. Nikt nie sprawdził jego dokumentów.

— Owszem, sprawdziła milicja — broniła mnie babcia. — Sam mówił, że go legitymowano na przystanku.

— No właśnie, sam mówił — rzekł z sarkazmem Joachim.

— Dlaczego miałby podać fałszywe nazwisko? — włączyła się

Hanka. Swoją drogą zastanawiające, wierzyły mi tylko kobiety. Muszę nad tym pomyśleć, kiedy będę miał wolny wieczór. Już drugi raz nawiedziła mnie w domu babci Klimaszewskiej podobna refleksja.

— Mógłby podać fałszywe nazwisko — rzekł wolno Łebkowski — gdyby naprawdę nazywał się... na przykład Geller.

Usłyszałem stłumiony okrzyk Magdy Idzikowskiej:

— O Boże... pan przypuszcza...

— Przepraszam, ale mówi pan głupstwa — opamiętał się Idzikowski. — Rzeczywiście wpadamy w histerię. Milicja legitymowała wszystkich przyjezdnych.

— Możliwe, że mówię głupstwa — przerwał mu Łebkowski — chcę wam tylko zwrócić uwagę, że ja po prostu wyciągam wnioski z tego, co słyszę.

I znowu zakrzyczały go kobiety.

— Wiesz, moje dziecko, gdybym ja to powiedziała, można by mnie wytłumaczyć, ja mam prawo do sklerozy!

To babcia.

— Wiedziałaś, że lubisz romanse, ale nie wiedziałam, że masz skłonności melodramatyczne — wtórowała jej Hanka.

— Też dałbym temu spokój — podniósł głos Idzikowski — ale na wszelki wypadek byłoby dobrze schować gdzieś te kosztowności po wujostwu. Ktoś tu zauważył uchylone okno, ktoś jednak uderzył pana Nowakowskiego.

— O kosztowności bądźcie spokojni — zachichotała babcia. — Są tam, gdzie były, w schowku w piwnicy. Za trzecią półką od góry...

Kroki na górze. To wraca Ada. Cofnąłem się bezszelestnie i hałaśliwie wszedłem na werandę. Powitało mnie skrępowane milczenie. Udałem gruboskórnego i z beztróskim uśmiechem usiadłem przy babci. Weszła Ada.

— Śpi — powiedziała. — I już dużo lepiej wygląda.

— To może i my poszlibyśmy spać? — spytała babcia patrząc na zegar, który właśnie wybił pierwszy kwadrans na dwunastą. — Niczego tu w końcu nie wysiedzimy.

— Tak babcia uważa? — zawahał się Łebkowski. — Może to i

racja... A rano...

— Co rano? — spytała Magda.

— Dasz znać na milicję, co? — zdenerwowała się Hanka. — Pojedziesz do Zakopanego złożyć meldunek? Stuknij się w czoło! Kto to potraktuje poważnie? I co nam z tego przyjdzie?

— Rano zbudzi się Jurek i może czegoś od niego się dowiemy — oświadczyła babcia nie znoszącym sprzeciwu głosem. — Wtedy postanowimy, co dalej robić.

— Jak zwykle — westchnęła Ada — babcia ma najwięcej zdrowego rozsądku.

— Słusznie — podniósł się Idzikowski. — Idziemy spać.

— Nareszcie — jęknęła Magda.

— I nie skończyliśmy zabawy — powiedziała zmartwiona babcia — a ja byłam detektywem... A może dałoby się ustalić...

— Babciu, co ustalić! — Ada wzruszyła ramionami.

— Tak jakbyśmy się bawili... kto z kim był, jakie ma alibi... Jeżeli rzeczywiście ktoś Jurka uderzył...

— Ech, babciu, odeszła mi ochota do zabawy — Łebkowski usiadł na bujaku, choć wszyscy już stali, wziął ze stolika jakiś ilustrowany magazyn. — W zabawie jest zasada, że sprawca spytany wprost ma się przyznać. Bez tej zasady nie ma zabawy. Kto się babci przyzna, że uderzył Jurka?

— Dość tego! — powiedziała energicznie Hanka. — Dobranoc.

— Dobranoc, dzieci — i babcia podreptała do swojego pokoju.

Wchodziliśmy, milcząc, po schodach. Na werandzie został Łebkowski i Ada, która chciała jeszcze przed snem wypalić papierosa. Bardzo mi to odpowiadało.

8

Wyrząłem na korytarz, było ciemno i cicho. Pokój Nowakowskich znajdował się po przeciwnej stronie, Ada jeszcze nie wróciła. Ostrożnie nacisnąłem kławkę, zajrzałem do środka. Na stole paliła się mała lampka, w pokoju panował

półmrok. Nowakowski leżał nieruchomo, przykryty jasnym pledem, chyba spał.

Właściwie niczego nie usłyszałem, to była intuicja, instynkt, podświadomy impuls, który kazał mi zamknąć drzwi i zrobić krok ku środkowi korytarza. Rozejrzałem się. Jednolity szum, mrok rozjaśniony rozproszonym światłem sączącym się z nad schodów. I w tym niejasnym świetle zobaczyłem, jak w głębi korytarza uchyliły się bezszelestnie jedne drzwi, a bliżej mnie, po prawej, drugie, i równocześnie niemal na korytarz wyjrzeli Joachim i Idzikowski. Zobaczyli się, zamarli w bezruchu, ale nie mogli się już cofnąć. Wtedy dopiero spostrzegli mnie.

— Co pan tu robi? — spytał Idzikowski.

— A wy?

Joachim wzruszył ramionami.

— Idę po wodę do kuchni — wyjaśnił.

Istotnie, trzymał w ręku szklankę. Miał na sobie ciemną piżamę, na nogach filcowe bambosze.

— A ja — powiedział Idzikowski — posłyszałem szmer na korytarzu. I pomyślałem, że jeżeli komuś nie udało się za pierwszym razem, to może spróbować drugi raz...

I obaj z Joachimem patrzyli na mnie.

— W porządku — ująłem klamkę drzwi Nowakowskich — wejdziemy tam wszyscy trzej, zbudzimy go i...

— Po co? — warknął Idzikowski.

— Myślę — powiedziałem wolno — że on wie, kto go uderzył. Kto miał powód, aby go uderzyć.

— Nonsens — Joachim wzruszył ramionami. — Wszyscy w tym domu zaczynają dostawać hysterii. Najwyższy czas się przespać.

Wtedy usłyszeliśmy z dołu podniesiony, histeryczny kobiecy głos.

— Co się tam dzieje? — zaniepokoił się Idzikowski.

Odwróciłem się bez słowa, zbiegłem na dół. Słyszałem za sobą kroki Joachima i Idzikowskiego.

Na środku werandy stała Hanka, Ada i Łebkowski siedzieli jeszcze na kanapie z wyrazem osłupienia na twarzy. Trzasnęły drzwi w hallu, zjawiała się babcia owinięta w szal, z wałkami na

głowie, na półpiętrze zobaczyłem Magdę Idzikowską, którą także hałas wywabił z pokoju.

— Co się tu dzieje? — spytałem, bo byłem najbliżej.

— W imię Ojca i Syna — przeżegnała się babcia — przestraszyliście mnie. Haniu, o co chodzi?

— O to chodzi, że mam tego dość i wymagam choćby odrobiny przyzwoitości — w głosie Hanka pojawił się drżący, rozedrgany ton, który nikomu nie zwiastował niczego dobrego.

— Może babcia wytłumaczy swojej wnuczce, że jeżeli już musi udowadniać mojemu mężowi, że jest niebywale atrakcyjnym mężczyzną, to mogłaby się od tego powstrzymać przynajmniej na czas, kiedy jej mąż leży nieprzytomny piętro wyżej!

— Zwariowałaś, Hanka?! — Ada wstała z kanapy, odrzuciła włosy znad czoła. — Uspokój się natychmiast! Jesteś histeryczka!

— A prócz tego Jurek nie jest nieprzytomny, tylko śpi — dodał Łebkowski. Ale ta próba rozładowania atmosfery raczej mu się nie powiodła. Hanka zacisnęła wargi, zmrużyła oczy.

— Uważasz to za świetny żart, co? — wycodziła.

Łebkowski wzruszył ramionami.

— Trudno się poważnie zachować w takiej absurdalnej sytuacji. Rozumiem, wszyscy jesteście zdenerwowani, ale to jeszcze nie powód...

— Dostyc! — krzyknęła Hanka. — Nie od dziś widzę, co się dzieje, ale właśnie dzisiaj mam już tego dość!

— Haniu, dziecko kochane — ocknęła się babcia — ale cóż się właściwie stało? Może wy się wszyscy prześpijcie, a jutro spokojnie porozmawiamy...

— Pani Hanko, naprawdę... — powiedziała błagalnie Magda Idzikowska.

Ale Hanka nie słyszała nikogo.

— Jurek też to widział — zniżyła głos niemal do szeptu, chociaż wszystko się w niej gotowało — jestem pewna, że także był bliski wybuchu. Może dlatego spadł ze schodów?

— Hanka! — krzyknął Łebkowski.

Zapadła cisza.

— To świństwo — powiedziała powoli Ada.

Łebkowski zerwał się nagle, wyszedł bez słowa. Jak zwykle, pierwsza opamiętała się babcia:

— Haniu, zaczekaj, dam ci waleriany, dziecko, i nigdy nie mów, zanim nie pomyślisz! Zygmunt miałby się zacząć na Jurka? Strącić go ze schodów?

Hanka zaczęła przytomnieć. Podniosła rękę do czoła.

— Wcale nie myślę, że to było zaplanowane — powiedziała prawie normalnym głosem. — Jurek mógł mu powiedzieć, co o tym myśli, pokłócili się i...

— Nonsens — rzekł zimno Idzikowski. — Nie było słyhać żadnej kłótni.

— Jeszcze pan nie wie, że można się kłócić szeptem?

— Sądzi pani, że to miał na myśli, kiedy powiedział, że jeszcze raz zabawi się w detektywa? — spytałem. — Chyba jednak użyłby innych słów.

— A pana co to obchodzi? — wściekła się Hanka, tym razem jednak raczej dlatego, że zaczęła sobie zdawać sprawę, jakiej klasy był jej wybuch, w dodatku oglądany przez obcych ludzi. — Co pan tu w ogóle robi? Kto pana tu prosił, kto pana upoważnił do zabierania głosu?

— Powinna pani mieć pretensję raczej do siebie niż do mnie — powiedziałem zimno. Nigdy nie lubiłem histeryczek.

Joachim przyglądał mi się badawczo, a Ada podniosła głowę i spojrzała na mnie przyjaźnie.

— Narobiłaś takiego krzyku, aż cud, że Klimczok nie przyleciał — poparła mnie babcia. — Chodź zaraz ze mną, dostaniesz kropelki, i wszyscy do łóżek. Dobranoc, dzieci, dobranoc.

— Ja nie pójdę na górę — powiedziała Hanka z dziecinną zawziętością.

— To prześpisz się u mnie na kozetce — zdecydowała babcia. — Inaczej kłóciłabyś się z Zygmuntem do białego rana. Jedna noc osobno dobrze wam zrobi.

I drepcząc energicznie wyprowadziła za rękę bierną, niestawiającą żadnego oporu Hanę.

— Dobranoc — burknął Idzikowski patrząc na mnie raczej bez przyjaźni i poszedł z siostrą na górę. Joachim nalał do

szklanki wody z karafki stojącej na stoliku i skinąwszy bez słowa głową, także ruszył do siebie.

Ada siedziała na kanapce, z głową odrzuconą na oparcie, wzrokiem utkwionym w suficie. Usiadłem przy niej. Drgnęła gwałtownie.

— Pani mnie się boi?

— Ja... skąd... nonsens. Dziwi się pan, że jestem zdenerwowana?

— Nie. To dobrze, że nie dała się pani wciągnąć w tę... dyskusję.

— O, proszę pana, pan nie zna Hanki. Już drugi raz widzę coś podobnego, tylko że wtedy chodziło o inną panią...

— Pani Ado, pani naprawdę nie wie, co odkrył pani mąż?

— Przed chwilą pan usłyszał, co odkrył — mruknęła.

— Niechże pani nie opowiada głupstw.

— A skąd pan może wiedzieć, że to nieprawda? — spytała zaczepnie. Widocznie wracała do siebie.

— Nie ta klasa.. Wybrała by pani inny czas i inne miejsce... Nawet...

— Co nawet?

— Ach, nic. Mam rację?

— Hanka jest obsesyjnie zazdrosna — pokiwała głową — i to wcale nie jest zabawne. Jej się zdaje, że dyrygent operetki musi spać z całym baletem.

— I zapomniała, że pani jest z opery — dokończyłem.

Spojrzała na mnie krzywo.

— Co pan chciał powiedzieć, kiedy nie skończył pan zdania. Ze co bym jeszcze wybrała? Innego partnera?

— Proszę pani, ja nie dokończyłem zdania z jakiegoś powodu. I dzisiaj już go nie dokończę.

— To znaczy, że mam iść spać. Chyba słusznie. Dziękuję, że pan trochę pogadał z bohaterką skandalu. Pewnie mi to pomogło. Dobranoc, panie Piotrze.

Razem poszliśmy na piętro, pogasiwszy na dole światła.

— Mam do pani prośbę — powiedziałem, kiedy Ada ujęła klamkę drzwi swego pokoju. — Proszę przełożyć klucz do wewnątrz. I przekreślić go dwa razy.

Znieruchomiła.

– Chce mnie pan przestraszyć?

– Skądże. Chcę panią rozśmieszyć. Proszę zrobić, o co panią prosiłem.

Byłem pewny, że za którymiś z zamkniętych drzwi stoi ktoś nasłuchując, oddycha szybko i płytko, spięty w oczekiwaniu chwili, w której wyjdzie na ciemny korytarz.

9

Zdjąłem buty i jasny sweter. Zgasilem światło, z latarką w ręce podszedłem do drzwi. Stałem chwilę, nasłuchując. Jeszcze raz powtórzyłem sobie w pamięci rozkład pokoi: Nowakowscy naprzeciw mnie, za nimi Joachim. Po mojej stronie korytarza w głębi Idzikowscy, potem Łebkowscy, wreszcie moja klitka. W porządku. Czas zaczynać.

Wtedy dobiegło mnie lekkie, niesłyszalne niemal skrzypnięcie podłogi na korytarzu. Właściwie nie powinienem nic usłyszeć; pomógł mi zbieg przypadków: moja koncentracja, skrajne napięcie uwagi przed wyjściem na korytarz i nagły, krótki moment, w którym ucichł wiatr, a z nim wszystkie głosy starego domu oprócz rzadkich uderzeń kropel spływających z okapów.

Spojrzałem na zielone, fosforyzujące wskazówki zegarka. Za dwadzieścia dwunasta. Ten, kto śpieszył się na dwunastą, nie miał wiele czasu. Znowu szum, jęk wiatru. Wyszedłem na korytarz, zamknąłem drzwi i zatrzymałem się przyklejony do ściany. W nieznacznie jaśniejszym prostokacie po prawej, w miejscu gdzie korytarz wychodził na podest schodów i okno, zgęszczenie ciemności; bezkształtny cień przesunął się ku schodom. Wtedy skrzypnęły blisko drzwi. Szczęknęła klamka. Ktoś znowu był na korytarzu. Niezbyt mu szło poruszanie się po ciemku. Potknął się, oparł o ścianę. Dałbym głowę, że idzie dotykając szeroko rozłożonymi rękami obu ścian korytarza. Zaraz pogładzi mnie po twarzy. Przesunąłem się szybko ku schodom. Pochyliłem się, pamiętając, że w tym miejscu

ciemność nie jest tak gęsta jak w korytarzu. Zatrzymałem się naprzeciw schodów, czekałem.

Kolejny nocny marek był już blisko. Wolno szedł w kierunku schodów. Gdy był na półpiętrze, ruszyłem za nim, w nadziei, że zamykam procesję. Kiedy schodziłem do hallu, poczułem na twarzy chłodny powiew, przeciąg, jakby otwarto na dole drzwi lub okno. Nagle błysk latarki. Zobaczyłem w nim otwarte drzwi po lewej stronie hallu i pierwsze stopnie wąskich schodów, prowadzących chyba do piwnicy. Człowiek, który pierwszy wyszedł ze swego pokoju, był zatem w piwnicy. Ten, kto szedł za nim, liczył pewnie na to, że światło jego latarki nie jest widoczne dla osób niepowołanych. Albo też, że śledzony osobnik jest już na dole i też posługuje się latarką. Cokolwiek myślał, też schodził na dół. I chociaż dom znowu skrzypiał i jęczał, słyszałem, jak schodzi, więc pewnie nie tylko ja słyszałem.

Nie pozostało mi w tej sytuacji nic innego, jak zaczekać na dalsze wypadki. Dla trzech osób na pewno nie było miejsca w piwnicy i — co ważniejsze — na prowadzących do niej wąskich, kamiennych schodach.

Dla trzech? Dla dwóch chyba także. Minęła minuta, może dwie, kiedy usłyszałem na dole piekielny hałas. Leciały puszki, słoiki, przewracały się jakieś skrzynie. Ten hałas ucichł gwałtownie, natomiast rozpoczął się ruch za drzwiami pokoju babci. Zanim jednak babcia, zbudzona nieprzeciętnym hukem pod podłogą swojego pokoju, zdążyła wykazać aktywność, ktoś wypadł z piwnicy nie dbając już o ciszę, dwoma susami przemierzył hall i wbiegł na schody. Zgrzytnął zamek w drzwiach babci. Nie miałem na co czekać. Także wycofałem się na schody, stanąłem na półpiętrze.

W hallu pojawił się snop światła, za nim babcia w grubym szlafroku, za babcią Hanka w cienkiej piżamie.

— Zapal, dziecko, światło — poleciała babcia i zajrzała do piwnicy. — Kto tam jest? — zawołała. — No kto? Co się tam dzieje?

Wtedy na schodach rozległ się rumor, wolne kroki, ciche przekleństwa.

— A co ty tam robiłeś? — nie ustawała babcia. — Co masz na ręce, krew? Jezus Maria!

Wbiegłem szybko na górę i zacząłem schodzić, głośno i zdecydowanie. Już z półpiętra zobaczyłem Idzikowskiego; stał oparty o futrynę drzwi do piwnicy, prawe ramię miał czerwone, oko podbite.

— Przepraszam, jeżeli znowu wtrącam się do nie swoich spraw — powiedziałem — ale usłyszałem hałas i...

— Bardzo dobrze, że pan tu jest! — zawołała babcia. — Haniu, dziecko, co z tobą? Niech pan pomoże Hance, ja zaraz przyniosę bandaż. Taka straszna rana!

— Chyba stłukł się słoik z konfiturami — powiedział Idzikowski. — Posypały się na nas słoiki... Na mnie i na tego, co mnie napadł...

Znalazłem się w pełnym świetle, Idzikowski przyjrzał mi się uważnie.

— To nie pan — powiedział z wyraźną ulgą. — Na tamtego też się wylało.

— No i pomoc lekarska nie jest potrzebna — powiedziałem. — Wystarczy, że zmieni pan koszulę.

— Moje konfitury! — przeraziła się babcia, znacznie mocniej niż przed chwilą. — Rozbiliście, potłukliście moje konfitury! Ja muszę zaraz... Dlaczego? Co wam zrobiły moje konfitury?

— Ktoś skradał się po korytarzu — wyjaśnił Idzikowski. Oddychał ciężko, pod okiem rosła mu fioletowa śliwa. — Wyszedłem za nim. Kiedy zobaczyłem, że idzie do piwnicy, przestraszyłem się o schowek... o te rzeczy po ciotce... Poszedłem za nim... Chyba za późno... schowek był otwarty... On schował się za półką... wytrącił mi latarkę... oberwałem trochę... uciekł...

Babcia bez słowa podreptała do piwnicy. Hanka spojrzała na mnie, zgarnęła poły bluzki od pizamy.

— Włożę szlafrok — mruknęła.

Idzikowski przysiadł ciężko na krześle pod ścianą, ściągał koszulę przesiąkniętą gęstym, czerwonym sokiem, z poprzyklejanymi nieregularnie ciemnymi kulkami wisien.

— Niechże to jasny szlag trafi! — sapał. — Pamiątki,

klejnoty...— Najpierw Nowakowski, teraz ja... — spojrzał na mnie i dodał bezradnie: — Jeżeli to nie pan, to kto, do diabła!

— Moje konfitury! — sapała babcia drapiąc się po schodach — na szczęście tylko dwa słoiki! I schowek pusty! Sami widzicie, dzieci, jak to nie można nikogo podejrzewać! Pan Piotr nie wiedział nic o schowku, ja wam go pokazywałam, tylko wam.

— To prawda, babciu! — mruknął Idzikowski. Siedział z koszulą na kolanach, półnagi, muskularny, z podbitym okiem. — Już pana przeprosiłem. A jeżeli nie, to przepraszam.

— Nie ma o czym mówić — powiedziałem. — Zastanówmy się raczej, co teraz zrobimy?

Pojawiła się Hanka, znowu tylko w piżamie.

— Żaden z babci szlafroków nie nadaje się do włożenia — wyjaśniła. — Już tak zostanę.

— Co teraz zrobimy? — zastanawiała się babcia. — Radźcie, mężczyźni. Ja nie wiem.

— Zawiadomić milicję — rzekł zdecydowanym głosem Idzikowski. — Tym razem nas nie wyśmieją. Jest kradzież, i to na poważną kwotę.

— Sam nie wiesz, co mówisz, dziecino — babcia pokręciła głową. — Szwagier Klimczoka jak poszedł na noc, to wróci za dwa dni. Z poczty dopiero rano można zadzwonić. Z gospody także. A tu blisko nikt nie ma telefonu.

— To chodźmy na górę — nie ustępował Idzikowski — i poszukajmy koszuli poplamionej konfiturami.

— Jak pan to sobie wyobraża? — spytała Hanka. — Będziemy robić rewizję? Po pierwsze, nie mamy prawa, po drugie... to sprawa rodzinna.

— Właśnie! — zawołała babcia. — Właśnie! Przecież to niemożliwe... Przecież to było wasze... dla was... Zaczekajmy z tą milicją... Musimy się zastanowić, porozmawiać...

— Oczywiście jutro, prawda? — spytał ironicznie Idzikowski.

— A co ty radzisz, dziecko? — spytała babcia.

— Pójdę zobaczyć, czy Łebkowski śpi. Ściągnę go na dół. I Joachima.

— I co? Zrobimy śledztwo? Oskarży pan mojego męża?

Hanka widocznie już zapomniała, że nie tak dawno sama go oskarżyła, nie o kradzież wprawdzie, lecz o obrazę moralności, co w jej oczach zapewne było przestępstwem najcięższym.

— Nie ma mowy o żadnym śledztwie — wtrąciłem — ale pomysł nie jest zły. Zastanowimy się wspólnie nad sytuacją i podejmiemy decyzję.

— W porządku — Idzikowski wstał ciężko i ruszył ku schodom. — Zaraz wracam.

— Napije się pan kawy? — spytała Hanka. — Ja już spisałam tę noc na straty i mam zamiar oprzytomnieć.

Babcia przysiadła na wiklinowym fotelu, otuliła się włóczkowym szalem.

— Zróbcie i mnie, malutką — powiedziała. — U mnie w pokoju, Haniu, grzałką. Nie będziemy przecież rozpalają pod kuchnią.

Hanka skinęła na mnie i weszliśmy do pokoju babci, drzwi zostawiając półotwarte. Stałem, przekroczywszy próg, i oniemiałem. Cóż to był za pokój! Piękny, stary żyrandol ćmił łagodnym światłem, które żółtawymi refleksami odbijało się w płaszczyznach pięknych, empirowych mebli, foteli, serwantek, komódek, pełnych starej porcelany, secesyjnych figurek i pucharków, wśród ścian pokrytych obrazami pędzla nie najgorszych chyba malarzy z przełomu wieków, makatkami i kilimikami; a co ważniejsze, wewnątrz tego sporego pokoju wcale nie robiło wrażenia tłoku, przeładowania, przeciwnie, rządził w nim dobry gust i trafny wybór.

Hanka przykryła kołdrą rozkopaną pościel na kozetce i zaciągnęła kapę na łóżko babci w odległym rogu pokoju.

— Ładnie tu, prawda? — powiedziała widząc moje osłupienie. — Nikt by się nie spodziewał takiego pokoju po reszcie domu, bo tam jest fajnie, ale zwyczajnie. Babcia ma to po rodzicach i dziadkach, to stara krakowska rodzina. Niech pan nie patrzy na bałagan, zaraz robię kawę.

I podeszła do niskiej komódki pod oknem, gdzie na marmurowym blacie stały kubeczki, filiżanki, słoićki i bardzo odbijająca od otoczenia duża, elektryczna grzałka.

Usłyszałem lekkie kroki na schodach i głos Magdy

Idzikowskiej.

— Co się stało? Janek wyszedł na chwilę i nie ma go pół godziny. Jakieś kroki, jakieś głosy, jakby nikt nie spał. Janka tu nie było?

— Był dziecko, był. Widzisz, skradziono kosztowności ze schowka w piwnicy...

— Skradziono? Kto... kiedy...

— Nie wiemy, kto. Ten ktoś napadł na Janka. Nie bój się, Jankowi nic się nie stało. Rozbili dwa słoiki moich konfitur... Ale ty jesteś blada, dziecko. Źle wyglądasz. Niepotrzebnie tak się tym wszystkim przejmujesz. Zobacz, ja stara i nie tracę głowy. No, co ci?

— Ja... ja się boję...

Rozmawiały tuż przy drzwiach. Hanka w milczeniu gospodarzyła przy komódce. Słuchaliśmy.

— Boisz się? A czego ty się, dziecko, boisz? Złodzieja? Pewnie jaki łobuz wlaźł przez piwnicę... Zobaczysz, że go złapią.

— Nie... nie złodzieja... Babciu... on tu jest...

— On? Jaki on? Kto?

— On... Geller...

Hanka, stojąca z filiżanką w jednej ręce, a dzbankiem z wodą w drugiej, zamarła w bezruchu. Przez chwilę milczała i babcia. Szumiał deszcz.

— Co ty mówisz, dziecko? Geller? Jaki Geller? W imię Ojca i Syna! Ten... ten morderca? Tutaj?

— On... on tutaj jest... boję się...

— Racja, ty jesteś z Łodzi. Znałaś go? Dlaczego wcześniej nie powiedziałaś?

— Ja...

Wypadła filiżanka z rąk Hanki i rozbiła się z trzaskiem. Magda otworzyła uchylone drzwi.

— Ktoś... ktoś u babci jest — wyjąkała. Rzeczywiście blada, ledwo trzymała się na nogach, ale była ubrana, chyba nie kładła się spać.

— Przecież go znasz, to pan Olszewski. Pan słyszał, panie Piotrze, co Magda mówiła? Nic z tego nie rozumiem...

— Nic... nic nie mówiłam... Zdawało mi się... Ja pójdę... pójdę

do siebie...

Odwróciła się i wbiegła po schodach na górę.

Coś mi kazało spojrzeć na Hankę. Stała nad stłuczoną filiżanką, wciąż z dzbankiem w ręku, ale patrzyła teraz na mnie. W jej wzroku było przerażenie.

Babcia zjawiła się w progu i także wzięła udział w tej niemej scenie. Chciała powiedzieć coś do Hanki, ale powoli zaczęła zwracać głowę w moim kierunku i dopuszczać do siebie myśli podobne do tych, które opanowały Hankę.

Teraz nie było już na co czekać.

— Przepraszam — powiedziałem — zaraz wrócę.

Babcia sztywno postąpiła o krok, robiąc mi przejście. Na schodach spotkałem Idzikowskiego.

— Obu wyciągnąłem z łóżka — powiedział. — Zaraz zejda.

— W porządku. Ja też zaraz zejde.

Obejrzałem się jeszcze, babcia stanęła w progu, wyciągnęła ręce do Idzikowskiego, jakby nadeszło zbawienie.

— Co się stało? — spytał. — Słabo babci?

— Nie, nie... już dobrze... dobrze, że to ty. Wejdz.

Gdy byłem na górze, posłyszałem szcęk zamka.

Babcia na wszelki wypadek zamknęła się na klucz.

Stałem w korytarzu. Z hallu na dole dobiegły mnie uderzenia zegara. Północ. Otworzyłem drzwi swego pokoju, zapaliłem światło. Przed łóżkiem, na podłodze, leżała bluzka od piżamy poplamiona konfiturami z wiśni.

Dość już tego. Zamknąłem drzwi zdecydowanym ruchem, poszedłem korytarzem w stronę pokoju Joachima. Nacisnąłem klamkę, wszedłem nie pukając. Joachim stał przede mną w dżinsach i podkoszulku, bez okularów. Na jego prawym ramieniu, powyżej łokcia, czerniał duży siniak.

— To pan? Czego pan chce? Dlaczego pan wchodzi bez pukania?

— No, panie Joachim — powiedziałem. — Teraz porozmawiamy.

Stałem u góry schodów, oni byli już na półpiętrze. Pierwszy szedł Idzikowski, za nim Hanka, na końcu babcia. Kiedy mnie zobaczyli, zatrzymali się na moment. W rękę Idzikowskiego zjawił się obły kształt, z lekkim trzaskiem wyskoczyło z niego długie, wąskie ostrze. Nóż sprężynowy.

— Wybiera się pan na spacer, panie Olszewski? — spytał Idzikowski.

— A jeśli nawet?

— Obawiam się, że sam pan nie pójdzie. Jacek! — podniósł głos. — Łebkowski!

Zjawił się u wylotu korytarza, jakby czekali na wezwanie. Twarze babci i Hanki były kredowobiałe. Bały się. Babcia trzymała przy ustach chusteczkę, jakby ostatnim wysiłkiem woli powstrzymywała się od krzyku.

— Cofnij się pod ścianę! — Idzikowski wchodził powoli z nożem w wyciągniętej ręce. — Uważaj!

— Co tu się dzieje? — za plecami Joachima i Łebkowskiego zjawiła się Ada, rozczochna, bosa, w piżamie — przecież w końcu trzeba kiedyś odpocząć. Ja...

Zobaczyła nóż, utkwione we mnie spojrzenia i zamilkła.

Cofnąłem się o krok, stałem pod ścianą, czujny i napięty. Idzikowski przesunął się w stronę korytarza, ruchem ręki kazał Łebkowskiemu objąć posterunek przy schodach. Otworzył drzwi mojego pokoju.

— Proszę popatrzeć! — zwrócił się do babci i Hanki.

— Bluza poplamiona konfiturami... — jęknęła babcia.

— Pani Hanko — Idzikowski nie spuszczał ze mnie oka — proszę przyprowadzić Magdę. Teraz nie będzie się bała. Niech powie. Nie rozumiecie? — zwrócił się do Łebkowskiego i Joachima. — Magda kiedyś, wiele lat temu, poznała Gellera. Poznała go także dzisiaj... tutaj...

Stłumiony krzyk Ady.

— To on... Jurka...

— On — skinął głową Idzikowski — omal mnie nie zmylił... zdążył zmienić koszulę... Ale już nie zdążył jej ukryć... Potem

wam wyjaśnię... no, gdzie Magda...

Hanka zapukała do drzwi na końcu korytarza, raz, drugi. Potem nacisnęła klamkę. Usłyszeliśmy stłumiony okrzyk. Staliśmy w milczeniu.

— Magda przez cały wieczór była nieswoja — cedził Idzikowski — chyba nie miała pewności... Prosiła, żebym był przy niej, bała się zostać sama... A kiedy zaczęła mówić, zobaczyła go — wskazał na mnie — i uciekła...

— O Boże! — jęknęła babcia — co ja przeżyłam...

W głębi korytarza pojawiła się Hanka. Szła jak pijana, opierając się o ścianę.

— Hanka, co tobie? — przeraziła się Ada.

— Ona... tam... — wykrztusiła Hanka — tam leży... zamordowana... Ona nie żyje!

Moment martwej] ciszy.

— Ty... — syknął Idzikowski — ty bydlaku...

Zrobił krok ku mnie, nóż trzymał ostrzem ku górze.

— Zaczekaj, nie tak! — oprzytomniał Joachim. — Stój! — chwycił go za ramię.

Idzikowski opuścił głowę. Wyciągnął rękę z nożem ku Łebkowskiemu.

— Weź to — wykrztusił — pilnuj go. Ja... nie odpowiadam za siebie. Pójdę po pomoc. Żebym miał zbudzić całą Bukowinę, wrócę tu z milicją. Muszę coś zrobić, muszę...

Ada stała oparta o futrynę, bliska zemdlenia. Babcia usiadła na stołeczku pod ścianą, ukryła twarz w dłoniach. Najwidoczniej było jej słabo. Hanka tym razem nie dostała hysterii. Doświadczenie i lekarska rutyna uchroniły ją od nadmiernych emocji.

Na ten moment czekałem. Aby wejść na schody, musiał Idzikowski ominąć mnie w odległości nie większej niż metr. Skoczyłem nagle, ze stanu całkowitego bezruchu. Krzyk kobiet. Moje przedramię zacisnęło się na gardle Idzikowskiego, lewą rękę wykręciłem mu na plecy. Ale Idzikowski był silny, wysportowany, zdecydowany na wszystko. W ostatniej chwili uniknąłem krótkiego, straszego kopnięcia w gołe nogi, które na pewno zwinęłoby mnie na podłodze. Zatoczyliśmy się na

ścianę. I znowu ku schodom.

— Zygmunt, pomóż mu! — krzyknęła Ada.

— Joachim, Zygmunt, Zygmunt, masz ten nóż! — w głosie Hanki znów była histeria. Pojawiała się widać tylko wtedy, gdy w grę wchodził jej mąż. — Zróbcie coś! On zabije Janka!

— Jezus, Maria... — jęczała babcia. — Janeczku...

Rzuciłem Janeczka na kolana, obie moje ręce znalazły się na jego karku. Już jest mój.

Wtedy Joachim i Łebkowski wykręcili obie ręce bezbronnego już Idzikowskiego, a Łebkowski przyłożył mu do piersi jego własny nóż.

— Zyg... — zakrztusiła się Ada.

Wstałem, otrzepałem dzinsy na kolanach. Słysząc było tylko ciężki, chrapliwy oddech Idzikowskiego. Sięgnąłem do jego kieszeni. Oczy wszystkich śledziły każdy mój gest. Wyjąłem nieduże zawiniątko. Rozwinąłem je, położyłem na podłodze. Zamigotały stłumionym blaskiem klejnoty. Rozsypały się zwitki dolarowych banknotów.

— Janku... ty to miałeś? — babcia łapała z trudem oddech. — Przecież... przecież to i tak twoje...

— Nie jestem pewny — rzekł Joachim. — To ja mam na imię Janek, babciu. Nazywam się Jan Idzikowski.

Skrzypnęły przeciągle drzwi. Za plecami Ady zjawiała się dziwna postać — to Nowakowski, w białej koszuli nocnej, z obandażowaną głową, półprzytomny. Wyglądał jak zjawa.

Powoli wyciągnął rękę, wskazał na człowieka, którego uważano za Jana Idzikowskiego, i przemówił nie swoim głosem:

— To... Geller.

— Wybiła godzina prezentacji — powiedziałem. — Nazywam się Jacek Joachim.

— Wy... świnie — wykrztusił Geller.

Do późnego śniadania zasiedliśmy razem z Nowakowskim, który stanowczo odmówił pozostania w łóżku i tak się awanturował, aż Hanka Łebkowska uznała, że będzie korzystniejsze dla jego zdrowia, jeśli mu się ustąpi. Dopiero przed godziną wróciłem z Zakopanego, gdzie przekazałem Gellera kolegom z komendy łódzkiej i brałem udział we wstępnych przesłuchaniach. Razem ze mną wrócił samochodem zakopiańskiej milicji Klimczok, wiernie towarzyszący szwagrowi, jak długo to było możliwe. Deszcz lał bez przerwy i jakby coraz obficiej. Klimczok odstawił kieliszek z kroplą nalewki na dnie, wytarł rękawem usta i z prawdziwą niechęcią ujął klamkę drzwi.

— Muszę iść, stara czeka — westchnął. — Szwagier osobno przyjdzie podziękować. Pewnie premię dostanie, że takiego bandytę złapał. Oczywiście przy pomocy społeczeństwa — dodał szybko, a potem spojrzał jeszcze na mnie — no i pana kapitana.

— Ja tam żadnych podziękowań nie potrzebuję — powiedziała babcia.

— Społeczeństwo też — mruknął Łebkowski.

— A jeszcze i Barańczyka zabrali — ciągnął smętnie Klimczok. — Wszyscy wiedzieli, że czasem na Słowację chodzi. I nikomu nie szkodziło. A pan Geller od razu powiedział, że to Barańczyk miał go przez granicę prowadzić. Zły człowiek. Miejscowego nie uszanował. Jak Boga kocham, nikt go nie pytał, a on sam powiedział!

Pokiwał głową i poszedł, ucieszony premią szwagra, zmartwiony krzywdą, jaka spotkała Barańczyka. Ada i Hanka wniosły dzbanki z kawą. Padało coraz bardziej. Łebkowski zapalił światło. O jedenastej przed południem!

— Nie zostawicie mnie, prawda? — powiedziała bezradnie babcia krając chleb. — Posiedzicie jeszcze parę dni? Ja się przyzwyczaję do tego wszystkiego, co się tu stało, zobaczycie... Tylko parę dni...

— Dobrze, babciu, zostaniemy — powiedziałem. —

Przynajmniej ja.

— I ja — rzekł Janek Idzikowski.

— I ja — dorzucił Łebkowski.

— Jurek i tak nie może się teraz ruszyć — powiedziała Ada. — Może się wypogodzi? Połazimy po górach?

— Na to bym nie liczyła — powiedziała Hanka i pewnie miała rację.

Ponieważ Hanka nawiązała bezpośredni dialog z Adą, zamilkliśmy w oczekiwaniu, że negocjacje rozwiną się we właściwym kierunku. Nie pomyliliśmy się.

— A na co liczysz? — spytała zaczepnie Ada. — Że ucieknę z Zygmuntem na Słowację? Przecież słyszałaś, że zabrali Barańczyka, a bez niego nie trafię.

— Nie rozumiem — zdumiał się Nowakowski. — Zygmunt, co ty byś z nią robił na Słowacji? Nie znacie języka.

— Ja też nie wiem — westchnął Łebkowski. — Pewnie Hanka nam powie. Już wczoraj zaczęła, ale ty miałaś szczęście, leżałeś nieprzytomny i nie słyszałeś.

Hanka była stropiona, czerwona, omal krew nie tryskała jej z policzków.

— No dobrze — westchnęła — wygłupiłam się. Wystarczy? Czy mamy temat do kolacji?

Wszyscy patrzyliśmy na Adę wyczekująco.

— Wystarczy — westchnęła, pewnie pod presją naszych spojrzeń. — Przynajmniej jeżeli o mnie chodzi.

— Jeszcze ja zostaję — odezwał się Łebkowski. — Ale po wczorajszej nocy... Chyba ogłosimy amnestię...

— No i dobrze — oświadczyła babcia swoim normalnym głosem. — Ja, Haniu, zawsze byłam pewna Teofila. A nawet kiedy nie byłam pewna, udawałam, że wszystko jest w porządku. I zawsze to skutkowało.

— Zmieniły się obyczaje, babciu — broniła się Hanka. — Babcia była zazdrosna, kiedy dziadek Teofil z tą samą panią zatańczył dwa razy kadryla.

Babcia przypatrzyła się jej z ironią.

— A tobie się zdaje, moje dziecko, że całą resztę to wyście odkryli? Zygmunt ma rację, ja też ogłaszam amnestię. Jedzcie,

kawa stygnie. Jak się czujesz, Jureczku? Bardzo cię boli?

— Przesada, babciu. Ze mną już dobrze. Jak byłem mały, koń mnie rąbnął kopytem w głowę i po dwu dniach już się bawiłem.

— Ale dlaczego nie powiedziałeś od razu? — spytała Hanka.
— Wszystkim? Tylko jemu, w ciemności, podczas zabawy?

— Nie byłem pewny, zrozumcie — Nowakowski skrzywił się, pewnie jednak nie czuł się tak dobrze, jak chciał, aby nam się wydawało — przecież to poważne oskarżenie. Na konferencji prasowej widziałem fotografię Gellera, ale po pierwsze, specjalnie nie starałem się zapamiętać, po drugie, fotografia i żywy człowiek... Z początku w ogóle niemi się nie kojarzyło, dopiero potem, kiedy zaczęło się mówić o Gellerze... Więc chciałem go wypróbować, właśnie w czasie zabawy. Gdyby się wściekł, oburzył, zawsze mogłem obrócić to w żart, w końcu bawiliśmy się w murder party... Zresztą to nie ja się w tym gronie konspiro wałem... To oni... — i wskazał Janka i mnie.

— A co byś zrobił na moim miejscu? — zaperzył się Janek. — Przyjeżdżam zaproszony, wszyscy mnie witają, okrzyki, że zjawiam się ostatni, że są już Nowakowscy, Łebkowscy, Idzikowscy, chodź, Jacku, moje dziecko, czy Jacek Joachim to dwa imiona, dwa nazwiska czy pseudonim...

— To o mnie — mruknęła Ada.

— Żarty z nazwiska zawsze uważałam za idiotyczne — powiedziała Hanka patrząc w sufit.

— A mnie śmieszą. I wolę własne poczucie humoru. Szczególnie po twoim ostatnim występie...

— Spokój! — zawołała babcia. — Amnestia objęła wszystkich. Janek ma głos. A właściwie ja. Mimo wszystko powinienes powiedzieć...

— Możliwe — przyznał — ale naprzód mnie to zszokowało, a potem... Potem nawet zaczęło bawić... Nie rozumiałem, co się stało... Nawiedziła mnie nawet idiotyczna myśl, że może jest dwu Idzikowskich... Z tej samej rodziny... I że z jakichś przyczyn nigdy się nie spotkaliśmy... Ale szybko okazało się, że to kwestia listu... On dostał list, który przyszedł na moje stare mieszkanie. Babcia wysłała zwykły list czy polecony?

— Pewnie, że zwykły, dziecko. Gdzież ja mogę byle co na

pocztę... A tak wrzucam do skrzynki koło sklepu...

— No właśnie, tak myślałem. Więc on odebrał list. Musiał mieszkać w moim dawnym mieszkaniu.

— Nie on — odezwałem się. — Magda. Jedna z jego dziewczyn. Otworzyła list i pokazała mu. Zainteresował go spadek, ale bardziej jeszcze to miejsce... Już mu się ziemia paliła pod nogami. Co za wspaniała okazja, ukryć się w Bukowinie, tuż nad granicą, zdobyć klejnoty na dalszą ucieczkę...

Na wzmiankę o Magdzie babcia spojrzała odruchowo ku górze, w stronę pokoju, w którym dziewczyna Gellera zakończyła swoją wyprawę, i ściągnęła ramiona. Zresztą nie tylko jej zrobiło się nieswojo. Ciało Magdy zabrano dopiero nad ranem, wkrótce po wyjeździe grupy dochodzeniowej.

— Ta nieszczęsna Magda — westchnęła Ada. — To przez nią nie mogliśmy go podejrzewać ani przez chwilę...

— O to mu też chodziło — skinąłem głową. — Był bezpieczniejszy z dziewczyną, szukano samotnego uciekiniera, a nie statecznego rodzeństwa... Przypadkowo nawet imię się zgadzało... A babcia przecież nie mogła sprawdzać dokumentów swoich gości...

— Całe szczęście, że babcia na wszelki wypadek wysłała ten drugi, krótki liścik do kwartalnika bibliotecznego — wtrącił Janek. — Geller nie wiedział o tym liście, zdenerwował się, kiedy babcia o nim wspomniała. Zauważyliście? Nie miał pojęcia, co to za kwartalnik, zaczął bąkać coś o fachowych, technicznych drobiazgach...

— Gdybyś przyjechał z siostrą, Geller wysypałby się od razu. I tak miał szczęście, że lubisz się bawić w czarnego luda — powiedziałem.

— Magda, moja siostra, mieszka w Gdańsku, ma dwoje dzieci, nie mogła teraz przyjechać.

— Musiał tej swojej dziewczynie obiecać złote góry — podjąłem — uwierzyła mu, ale była ostrożna. Znała go. Podśledzałem przypadkiem, w czasie pierwszej zabawy, tutaj, na werandzie, rozmowę Gellera z tym przemytnikiem... Ale nie byłem sam... Wydawało mi się, że ktoś jeszcze zszedł na dół. To

musiała być Magda. Zrozumiała, że Geller nie ma zamiaru jej zabrać. Pewnie jej powiedział, że uciekną dopiero następnej nocy, kiedy poszukiwania nie będą tak intensywne...

— Masz rację, dziecko — przyświadczyła babcia.

— Wtedy siedziałam u siebie, pasjans mi nie wychodził... Trzeci i czwarty stopień skrzypią w taki charakterystyczny sposób... zawsze poznam. W czasie pierwszej zabawy trzy osoby zeszły na dół i trzy wróciły...

— Musiała mu grozić... — powiedziała Ada.

— Była twarda, tylko pozowała na chucherko, którym opiekuje się braciszek. To ona zabrała ze schowka klejnoty i pieniądze. Kiedy Geller zszedł na dół, zastał schowek pusty...

— To prawda — wtrącił Janek. — Jak wiesz, szedłem za nim. Zobaczył otwarty schowek, pusty, i słyszałem, jak on kłął, szeptem, ale z taką wściekłością... Potknąłem się na schodach i wtedy na mnie się rzucił...

— Popelniał poważny błąd — ciągnąłem. — Zorientował się, że trzeba będzie rzecz rozegrać inaczej i postanowił dać się pokonać. Rzucić w ten sposób podejrzenie na kogoś z nas. Nie tylko podejrzenie o kradzież. Chyba tam, w piwnicy, po raz pierwszy pomyślał, że Magda nie da się oszukać... Ale kiedy siedział na dole, bez koszuli, muskularny jak zapaśnik, wydało mi się dziwne, że tak szybko przegrał bójkę...

— To prawda — przyznał Janek. — Kiedy rozbiliśmy babci konfitury, było już ze mną źle... Trzymał mnie za gardło jak kurczaka. I nagle puścił. Uderzyłem z całej siły, trafiłem go i uciekłem... Nie zatrzymywał mnie ani nie gonił...

— Przez chwilę pomyślałeś, że mogą cię wziąć za złodzieja, tak? — uśmiechnąłem się — i wrzuciłeś swoją bluzę od pizamy do mojego pokoju...

— Wydawałem się sobie strasznie chytry — usprawiedliwiał się. — Drzwi twojego pokoju były uchylone... W ogóle, chciałem mieć chwilę czasu, żeby się zastanowić, co robić i jak... Zrozumiałem, że dłużej już nie ma co bawić się w chowanego... Że to wszystko zaszło za daleko...

— Istotnie, zaszło za daleko — przyznałem. — Kiedy poszedłem do ciebie, nie wiedziałem, czy mam cię uważać za

Gellera, czy za pierwszego lepszego niebieskiego ptaka, który wkręcił się tutaj w niewiadomy sposób, żeby zwinąć spadek... Ale wciąż jeszcze nie miałem powodu, żeby podejrzewać Gellera, chociaż przestał mi się już podobać... On poszedł na górę zaraz po mnie, prawda? — zwróciłem się do babci. — Kiedy tylko dowiedział się, że Magda zaczęła działać na własną rękę?

— Tak, kazał nam zamknąć się w pokoju i czekać — powiedziała Hanka przyciszonym głosem, jakby wciąż jeszcze zdecydowany na wszystko morderca krążył po starym domu — chciał sprawdzić, czy Magda już jest spokojna... czy zgodzi się świadczyć przeciw panu... O co jej chodziło? Czego uciekła na pana widok?

— Uciekłyby w każdym razie — powiedziałem — nie zamierzała wydać Gellera, chciała go tylko ostrzec, przestraszyć, zmusić, żeby zabrał ją z sobą. Gdyby została, poszłaby do więzienia jako współniczka mordercy. Rzeczywiście, przestraszyła go. Bardziej, niż chciała... Kiedy ja ustalałem identyczność Janka i dalszy plan działania, Geller był już zdecydowany. Przeniknął przez korytarz, zabił Magdę jednym uderzeniem noża, zabrał klejnoty i wrócił na dół. Co powiedział? Że Magda mnie poznała. Wiedział, co zrobi... Doprowadzi do uwięzienia mnie, pójdzie po milicję i już nie wróci...

Zapanowało milczenie. Dopijaliśmy kawę, wracając w myślach do przeżyć ostatniej nocy, przestawiając wypadki, badając możliwości innego obrotu zdarzeń.

— No nic — otrząsnęła się w końcu Ada. — A ty, kapitanie z Komendy Głównej? A ty nie mogłeś się przedstawić?

— Ja? Ja nie miałem powodu. Po raz pierwszy mogłem pooglądać Jacka Joachima z dystansu. Jakże miałem zrezygnować z takiej możliwości? Tym bardziej że Gellerem się nie zajmowałem, przypadkowo nie widziałem nawet jego zdjęcia, prowadziłem inną sprawę i nie interesowałem się niczym poza nią... Z początku nawet dobrze się bawiłem...

— Zauważyłam... — mruknęła Ada.

— No, dość tego — oświadczyła babcia. — Przestańmy o tym

myśleć. Przynajmniej na razie... dopóki to wszystko takie jeszcze świeże... Dziewczęta, i co potem? Roberka?

— Nie najlepiej się czuję — rzekł pośpiesznie Nowakowski. — Muszę się położyć.

— Cwaniak! — Łebkowski cmoknął z podziwem.

— Pójdę cię odprowadzić.

— Chodź, Haniu — podniosła się babcia. — Poskładamy naczynia i zrobimy wszystkim mocnej kawy.

W ten sposób zostaliśmy sami z Adą.

— Pierwszy raz widziałam, żeby Hanka kogoś przeprosiła — powiedziała Ada. — Masz teraz dowód, że jestem wzorem cnoty.

— Chcesz mnie zniechęcić? Od początku nie wierzyłem Hance.

— A to niby dlaczego? — zachnęła się. — Wyglądam na matronę?

— Jak by ci to wytłumaczyć... Chcesz mieć wszystko równocześnie... I to, co powinnaś mieć, i to, co ci się podoba.

— No i mam. Jedno i drugie. .

— Jesteś pewna?

Podałem jej ognia, przytrzymała moją rękę zapalając papierosa.

— Albo będę miała — dokończyła.

Weszła Hanka, Ada zbyt pośpiesznie puściła moją rękę.

— Proszę bardzo, Ada, nie krępuj się — powiedziała Hanka.

— Zygmunt jakoś to przeboleje.

— Masz końskie żarty — parsknęła Ada ze złością.

— Niech ci będzie, ale ten układ znacznie bardziej mi odpowiada.

— Pani szczerłość jest obezwładniająca — westchnąłem. — Gdyby jeszcze dar obserwacji miała pani równie dobrze rozwinięty...

— Dziękuję — powiedziała Ada.

Nie miała za co mi dziękować. Tym razem pewnie ja się myliłem, a Hanka miała rację.

Weszła babcia z tacą pełną parujących filiżanek. Weranda wypełniła się zapachem kawy.

— Haniu, przynieś karty — zarządziła babcia. — Pamiętaj,

Jacek, że obiecałeś ze mną grać...

— Obiecałem jako Piotr Olszewski, babciu — westchnąłem — ale oczywiście zagram. Tym bardziej że po południu pojedę jeszcze raz do Zakopanego.

— Zabierzesz mnie? — spytała Ada. — Może coś sobie kupię?

— Zabiorę cię, oczywiście.

Hanka spojrzała na mnie z wdzięcznością.

Potem graliśmy w bridża, patrząc na opływające deszczem szyby.

— Same blotki... — mruzczała babcia układając sobie karty — ale chociaż jednego koloru... o, i damuła...

— Babciu! — rzekł z wyrzutem Łebkowski.

— To ja na razie pas...

— Babciu — jęknął Idzikowski.

— Pas — powiedziałem. Ada siedziała przy mnie, wzięła ode mnie karty.

— Pas — powiedzieli chórem Idzikowski i Hanka, która mu kibicowała.

— Pas — zakończył licytację Łebkowski.

— No to ja piki — oświadczyła babcia.

— Babciu! — jęknęliśmy chórem.

Bridż

1

— Piąty samobójca w tym miesiącu — westchnął Grzywiński, kiedy jechaliśmy samochodem. — Powariowali ludzie? Co takiemu mogło strzelić do głowy? Wieszać się na własnym haku od karnisza?

— Rozumiem twoje oburzenie — powiedziałem, z trudem otwierając oczy — ale jeżeli nie będziesz bardziej oryginalny, zasnę, zanim dojedziemy na miejsce. Pomyśleć, że jeszcze wczoraj zjeżdżałem z Kasprowego! A teraz chlapa, szaro, mgła, zgnile ciepélko i twoje refleksje. Zwariować można!

— Sam sobie jesteś winien — burknął Grzywiński.

— Trzeba było odżałować jeden dzień, przyjechać wczoraj, wyspać się jak człowiek. A nie pruć w taką pogodę przez całą noc po oblodzonej szosie.

— Tak, masz rację — powiedziałem zamykając oczy. — To jest bardzo mądre.

Chyba zdrzemnąłem się na moment. Obudził mnie znowu głos Grzywińskiego:

— O, widzisz, „Elpa”. Tysiąc razy przejeżdżałem koło tego neonu i z niczym mi się to nie kojarzyło. Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale zaraz będziemy na miejscu.

Wysiedliśmy przed wąską „plombą” między starymi kamienicami, wysokim, nowoczesnym budynkiem. Szare światło marcowego dnia spływało po wielkich taflach szyb, srebrny wystrój frontonu ćmił matowym blaskiem.

— No, sam powiedz, taki dom, w takim punkcie — kręcił głową Grzywiński, kiedy jechaliśmy windą. — Stanowisko, tytuły naukowe, zamiast tuszu w łazience pewnie miał róg obfitości... Na czym w takim razie polega... nie, już nie szczęście, nie śmieć się ze mnie, ale zwyczajne zadowolenie z

życia, ze swojej sytuacji, no powiedz, na czym?

— Jeżeli ci chodzi o ten konkretny wypadek — mruknąłem — to właśnie na podobne pytanie mamy odpowiedzieć.

Potem była rutyna. Ekipa przyjechała wkrótce po nas, błyskał flesz, zabezpieczono ślady, przeszukano mieszkanie. Wreszcie zabrano ciało, a wtedy odprawiłem wszystkich, poza Grzywińskim i wywiadowcą, urzędującym w przedpokoju. Teraz dopiero można było naprawdę rozejrzeć się po mieszkaniu i pomyśleć o człowieku, który w nim żył.

Pytania Grzywińskiego wydawały się uzasadnione. Docent Jabczyński, dyrektor zakładów doświadczalnych „Elpa”, był człowiekiem samotnym, a urządzenie jego mieszkania wskazywało na to, że równie zamożnym, co obdarzonym dobrym gustem. Ach, oczywiście, nie rezydował w apartamentach; to było zwyczajne dwupokojowe mieszkanie, wypełnione książkami, starymi meblami, obrazami, panował w nim nawet lekki nieład: porozkładane na biurku i stolikach książki, stosy fachowych czasopism, przeważnie zagranicznych, na stołeczku, przewróconym teraz, a także w pawlaczu w przedpokoju; lecz nieład ten zdawał się tylko wskazywać, że gospodarz pracował wiele i o różnych porach, ale poza tym dbał o swoje mieszkanie i najwidoczniej je lubił. Teraz tylko psuła harmonię zerwana firanka w dużym pokoju i zwalone na dywan pisma — ale już w pracowni trudno było uwierzyć, że człowiek, któremu służyła, nie wejdzie tu za chwilę, nie usiądzie nad zaczętym rękopisem przy wielkim biurku... Cóż to było za biurko! Zrobiono je pewnie w końcu dziewiętnastego wieku dla prezesa wielkiej firmy, wraz z teczką wyłożoną zielonym filcem, marmurową statuetką — tylko telefon był dziełem innej, mniej dbałej o urodę przedmiotów epoki.

— Gosposia zaparzyła ci kawy, a ja nie protestowałem — rzekł Grzywiński — pewnie ci to dobrze zrobi.

— Dziękuję. Gdzie ta gosposia? To ona zawiadomiła milicję?

— Ona. Siedzi w kuchni i popłakuje.

— No to poproś tu gosposię, a sam się wybierz do sąsiadów. Jak tam kogoś znajdziesz, to go uprzejmie zaproś.

Gosposia była drobna, okrągła, w okularach, zbliżała się do

sześćdziesiątki. Przez duży pokój przebiegła drobnym truchtem oglądając się trwoźnie na okno z zerwaną firanką. Siedziałem przy biurku docenta Jabczyńskiego, przeglądałem leżące na nim papiery, notatnik z numerami telefonów.

— Proszę, niech pani podejdzie — powiedziałem — proszę usiąść.

— Wolę nie siadać — gospościa splotła ręce na podłokiu, przymknęła oczy. Zadziwiająco, opuszczała powieki, kiedy tylko zaczynała mówić, a gdy milkła, wytrzeszczała oczy. Jak lalka. Czekalem, czy nie zaskrzypi: mama. — Postoję, panie kapitanie. Ja już w tym mieszkaniu niczego nie będę dotykać, ja tego mieszkania się boję. Żeby ludzie coś takiego robili, i to kto, taki pan, dyrektor, uczony, po świetle jeździł, wszystko miał, co mu potrzeba — (muszę powiedzieć Grzywińskiemu, kto snuje podobne, co on, refleksje) — a to z tej samotności, z tego życia bez rodziny, tylko dla siebie tacy żyją, to grzech, i grzech na swoje sumienie biorą — pociągnęła nosem — myślałam, że ku lepszemu idzie, że już się ożeni, a on coś takiego zrobił! Może go zdradziła, rzuciła, a on z rozpaczony? Taka dobra kobieta, porządna, jak co było trzeba, ja tylko do niej, panu nawet nic nie mówiłam, a to koszulę kupić, albo co innego, a ona...

— Jakże się nazywała ta pani?

— ..a, ona... Jak się nazywała? Pani Irena.

— A nazwisko?

— A ja tam nie pamiętam, proszę pana. Jakies takie... No, pani Irena. Raz jej mówię...

— Jakies takie... — westchnąłem. — No dobrze. Jak często tu pani przychodzi?

— Co drugi dzień, proszę pana. Sprzątam, zmywam naczynia, zabieram, co trzeba, do prania, czasem coś upiekłam albo ugotowałam... Mam klucz...

— Zostawi go nam pani. Kiedy pani ostatni raz widziała docenta Jabczyńskiego?

— Przedwczoraj będzie, tak... Przyszłam rano, o ósmej, pan docent jeszcze nie wyszedł, rozmawiał ze mną, wesoly był taki... A potem pewnie go w domu nie było czy co, bo naczynia czyste,

nawet szklanki umył, też nie wiem, czemu umył, bo...

— Zdarzało się kiedyś, żeby umył naczynia? — przerwałem.

— Nigdy, proszę pana — zacisnęła powieki — jak tu pięć lat przychodzi. W zlewozmywaku składał. A teraz umył, a jak umył? Pestki od cytryny do szklanek poprzyklejane, co ja zresztą będę mówić...

— Ile jest kompletów kluczy do mieszkania?

— Ja mam jeden, jak powiedziałam, tylko od bramy nie mam, bo mi niepotrzebny, nocą tu nie chodzę. Pan docent, Panie, świeć nad jego duszą, miał drugi, a trzeci, zapasowy, wisi w przedpokoju.

I wytrzeszczyła oczy.

— Gdzie wisi? — wstałem od biurka. — Nie widziałem.

— Na wieszaku, proszę pana. Zaraz przyniosę.

I ruszyła truchtem. Wziąłem notes z numerami telefonów, przeglądałem go spacerując po pokoju. Irenę znalazłem pod I. Ja się tego nazwiska nigdy nie dowiem. Wykręciłem numer, usłyszałem kobiecy głos.

— Czy mogę mówić z panią Ireną? Ach, wyszła. Rozumiem, pracuje. Mówi kapitan Joachim, z milicji. Przepraszam, z kim rozmawiam? Tak... Proszę pani, nie znam nawet nazwiska pani siostrzenicy... Zaraz pani wyjaśnię... Pani siostrzenica jest znajomą docenta Jabczyńskiego. Tak, pan Jabczyński uległ wypadkowi... Nie, nie przez telefon. Proszę mi łaskawie podać nazwisko i numery telefonów, pod którymi będę mógł zastać pani siostrzenicę w ciągu dnia. Skontaktujemy się z nią. Tak, słucham... Dziękuję.

Zanotowałem, odłożyłem słuchawkę.

— Nigdzie nie ma tych kluczy! — przycwałowała gosposia i przymknęła oczy — zawsze wisiały z boku, na wieszaku, myślałam, że spadły, ale na podłodze też ich nie ma...

— Może to te? — spytałem wskazując na biurko. Leżały na nim klucze, które wyjęliśmy z kieszeni Jabczyńskiego.

— Nie — powiedziała zdecydowanie — to klucze pana docenta. W tamtych był jeden srebrny, dorobiony, a ten tutaj, widzi pan, złoty. Tylko brakuje...

— Czego brakuje?

— Klucza od bramy... — powiedziała z namysłem.

— Był taki większy, bardziej płaski.

— Pani jest pewna?

— Zupełnie pewna, proszę pana. Dwa były od bramy, jeden u pana docenta, a drugi w tych zapasowych.

— Jesteś zajęty? — w uchylonych drzwiach pojawiła się głowa Grzywińskiego — zastałem panią z naprzeciwiaka, była taka miła, że zgodziła się przyjść...

— Proszę bardzo, proszę — powiedziałem głośno.

I do gosposi: — Dziękuję, proszę zaczekać w kuchni.

Sąsiadka docenta Jabczyńskiego, wcale efektowna kobieta po trzydziestce, wyglądała nieźle, mimo że była nieumalowana i przyszła w starych dżinsach oraz obszernej, wzorzystej bluzie.

— To straszne — westchnęła omiatając niepewnym spojrzeniem pokój, znajomy pewnie, ale przemieniony przez wypadki, które wszystkiemu nadały nowe znaczenia. — Jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Dlaczego on to zrobił? Jaki miał powód?

— Różne są powody, proszę pani — powiedziałem.

— Sprawy osobiste, zawodowe, stan zdrowia, nagłe depresje... Właśnie szukamy powodu.

— Żaden z tych motywów, które pan wymienił, nie wydaje mi się prawdopodobny — pokręciła głową. — To był człowiek zrównoważony, zdrowy, ustabilizowany... Przecież zauważylibyśmy, gdyby...

— Znała go pani dobrze?

— Wydawało mi się, że dobrze... Kilka lat mieszkamy drzwi w drzwi. Bywał u nas, rozmawialiśmy często...

— A wczoraj ?

— Wczoraj też. Był u nas przed szóstą, na krótko. Mieliśmy męża imieniny, wieczorem przyszło sporo osób...

— Docent Jabczyński także?

— Niestety, bardzo przepraszał, że nie może wieczorem... Coś mu ważnego wypadło, miał mieć gości...

— Gości?— uniosłem czujnie głowę.— Pani jest pewna? Kogo?

— Tak nam powiedział... — rozłożyła bezradnie ręce. — Wie pan, nie mieliśmy w zasadzie wspólnych znajomych. Nie

pytaliśmy, kogo...

— Słyszała pani, jak ktoś przychodził albo wychodził?

— Normalnie słyszę, jeżeli nie patrzymy na telewizję. Ale wczoraj było dużo osób, wesoło, głośno, może nawet trochę za głośno, wie pan, to żywioł, trudno go opanować. Nasi goście wychodzili dopiero po trzeciej nad ranem, blisko przez godzinę, kilka razy zjeżdżaliśmy, żeby otworzyć bramę... Nie, nic nie słyszeliśmy, niestety. Zresztą bardzo byłam pod koniec zmęczona...

— To zrozumiałe — wstałem. — Dziękuję pani. Skontaktujemy się z panią jeszcze.

Uśmiechnęła się blado, wyszła.

— No i widzisz? Miał gości — rzekł Grzywiński.

— Ano właśnie. Potem umyte naczynia, śladu po przyjęciu. Gospośia rano przychodzi i nie ma nic do roboty.

— A może on się po prostu wykręcił od tych sąsiedzkich imienin? — spytał Grzywiński.

— Może — usiadłem na skraju biurka. Strasznie mi się podobało. Przeglądałem papiery — tylko te klucze: nie ma zapasowego kompletu od mieszkania i obu kluczy od bramy. Rozumiesz coś z tego?

— Mógł zgubić... — rzekł niepewnie Grzywiński.

— Zgubić, zgubić... Jeden komplet i jeden klucz z drugiego... Słuchaj, szklanki ktoś pomył, tak? Niedbale, ale pomył...

— Kieliszki także... Dlaczego ktoś? Jabczyński je pomył...

— Gospośia przysięga, że nigdy by mu to nie przyszło na myśl. Więc pili alkohol i herbatę. Powiedzmy, jeszcze jakieś krakersy... Albo męska rozmowa, narada, albo... zobacz, jakie piękne piatniki... Może bridż?

— Dlaczego bridż? Nie poszedł na imieniny, bo zaprosił gości na bridża?

— Sam powiedziałaś, że mógł nie mieć ochoty na sąsiedzkie imieniny. Czekaj, gdzieś tu widziałem blok z zapisami bridżowymi... o, jest. Prawie cały zapisany...

— Co ci z tego przyjdzie? — skrzywił się Grzywiński. — Myślisz, że przegrał w karty fortunę i dlatego...

— Mój kochany, co ty czytasz wieczorami? Romanse z życia

wyższych sfer? Jest ostatni zapis. Przyjrzyjmy się... Trzy robry, trzeci... coś podobnego, trzeci nie skończony... Obie strony po partii. A tu tabelka. T, O, H, J. Jak on miał na imię?

— Adam.

— A więc to nie są inicjały imion, tylko nazwisk. „J” to Jabczyński, pozostałe zaczynają się na T, O, H. Nie skończyli trzeciego robra: Dlaczego nie skończyli?

— Nie masz większych zmartwień? — Grzywiński patrzył na mnie z niejakim zdumieniem. — Skąd w ogóle wiesz, że to wczorajszy zapis?

— A wcale nie wiem — odłożyłem niechętnie blok.

— Równie dobrze może być sprzed tygodnia albo sprzed miesiąca. Tylko jak się gra trzeciego robra, to się go powinno skończyć. Gdybyś grał w bridża, zamiast zechcyka, nie musiałbym ci tego tłumaczyć.

— Dziękuję, postaram się zapamiętać. Co to jest zechcyk?

— Co, nie grasz nawet w zechcyka? To pogadaj z dozorcą, dowiedz się, o której zamknął bramę i komu ją otwierał. Połącz po okolicy. Naprzeciw jest lokal nocny, z portierem. Dozorcy, stróże, wartownicy, cała rutyna. Weź wywiadowcę.

— Tylko tyle? — upewnił się Grzywiński.

— Nie, nie tylko. Potem odnajdziesz Irenę... — wziąłem kartkę z biurka, podałem mu — Rybczyńską. Tu masz dane. Zaprosisz ją do Komendy. A przede wszystkim zobacz, kto przyszedł.

Bo rozległ się dzwonek i wywiadowca otworzył drzwi.

Kiedy Grzywiński wyszedł, otworzyłem raz jeszcze szufladę biurka. Albo docent Jabczyński był wyjątkowym bałaganiarzem, albo ktoś przewrócił tu wszystko do góry nogami, jakby chciał przejrzeć każdy papierek, każdą notatkę. Z tego, co widziałem w mieszkaniu, wynikało jednak, że docent Jabczyński nie był bałaganiarzem.

— Polecony — rzekł Grzywiński — ze Stanów.

Wziąłem do ręki podłużną, niebieską kopertę. Spojrzałem na adres zwrotny. Michał Lenart.

— Wiesz, kto to jest? — spytałem.

— Nazwisko znajome...

— To elektronik, bardzo wybitny. Przeważnie siedzi za granicą. Trudno, przeczytamy.

List nie był długi. Profesor Lenart wkrótce wracał do kraju, miał więc nadzieję, że wszystkie wspólne sprawy omówi z docentem Jabczyńskim osobiście.

— Tylko ostatnie zdanie... — powiedziałem. — Posłuchaj: „martwię się, że moja dobra pamięć sprawiła ci tyle kłopotów”. Po raz pierwszy słyszymy o jakichś kłopotach.

— Pewnie chodzi o ich fachowe sprawy — rzekł lekceważąco Grzywiński. — Obaj wąscy specjaliści, a takim zawsze się wydaje, że każde potknięcie w ich dziedzinie to prawie koniec świata.

— Możliwe. No to żegnamy się. Idę do „Elpy” obejrzeć współpracowników docenta Jabczyńskiego. Opieczętuć mieszkanie. Aha, i bądź na sekcji, nie wiem, czy zdążę. Na razie.

— Proszę pana, czy ja tu mam sprzątać? — zaczęła mnie w przedpokoju gospoia. — Zapłacone mam do końca miesiąca...

— Nie będzie pani sprzątać — powiedziałem. — Proszę zostawić adres panu porucznikowi. I może pani wracać do domu. Dziękuję za kawę.

2

Zerwał się wiatr, miótł śniegiem z deszczem. Kiedy szedłem z parkingu do budynku „Elpy”, postawiłem kołnierz kozuszką. Przedwczoraj zjeżdżałem z Nosala tylko we flanelowej koszuli. Przymknąłem oczy, zobaczyłem oślepiające słońce na śniegu.

— Pan do kogo? — spytał portier.

Powiedziałem, zgodnie z prawdą, że do sekretarki dyrektora Jabczyńskiego. Od niej też otrzymałem pierwsze informacje.

Naprzeciw sekretariatu docenta Jabczyńskiego wisiała tabliczka z napisem: zastępca dyrektora d/s administracyjnych. W sekretariacie nie było nikogo, na biurku dymiła szklanka kawy, telefony buczały miarowo. Za obitymi dermą drzwiami

słysząc było podniecone głosy. Otworzyłem te drzwi, zastukałem w futrynę.

W niewielkim gabinecie stało trzech mężczyzn. Byli wyraźnie wzburzeni. Niski, łysiejący blondyn opierał się o krawędź biurka, potężnie zbudowany brunet patrzył przez okno na ślepa ścianę sąsiedniej kamienicy, najbliżej mnie zatrzymał się w półkroku szcuple, wysoki szatyn o pociągłej twarzy, z papierosem w palcach. Pewnie spacerował podczas rozmowy.

— Dzień dobry — powiedziałem — w sekretariacie nie było nikogo. Pan magister Holak?

Niski blondyn przy biurku uczynił gest, jakby chciał mnie wyrzucić za drzwi, coś jednak kazało mu odłożyć ten zamiar na później, może był to mój uśmiech, specjalny na takie okazje, mieszanina uprzejmości i nonszalancji, raczej niespotykana u interesantów.

— Słucham pana — rzekł zimno.

— Kapitan Joachim, z milicji — podałem mu legitymację. — Chciałbym zamienić z panem parę słów.

Nastrój wrogości, jaki otaczał mnie w tym pokoju, prysnął, scena ożywiła się. Bokser spod okna ruszył ku mnie z wyciągniętą ręką, szatyn z papierosem podjął przerwany spacer po pokoju.

— Tak... proszę bardzo... proszę — rzekł Holak. — Przepraszam was...

Bokser był już przy mnie.

— Panowie byli także współpracownikami docenta Jabczyńskiego, prawda? — spytałem witając się.

— Tak, oczywiście — rzekł Holak. — To inżynier Oleksiewicz, szef kontroli technicznej, a to — wskazał szatyna z papierosem — inżynier Tokarski, główny technolog.

— Miło mi panów poznać — powiedziałem. — Z panami także chciałem porozmawiać, zresztą może nie tutaj, pozwolę sobie zaprosić panów do mojego biura.

— Jesteśmy wstrząśnięci tym strasznym wypadkiem, panie kapitanie — Oleksiewicz pokiwał smutno głową. — Oczywiście, służymy wszystkimi niezbędnymi informacjami.

I ociągając się ruszył w kierunku drzwi. Tokarski zgasił

papierosa w popielniczce, tylko on nie odezwał się dotąd słowem. Kiedy wchodziłem, odniosłem wrażenie, że jest bardziej spłoszony od swoich współpracowników, że nic go z nimi nie łączy, przeciwnie, że wie dzie z nimi jakiś spór przerwany moim nadejściem. Ale niechże się przecie odezwie...

— Chwileczkę — zatrzymałem ich w progu. W sekretariacie nadal buczały telefony — panowie Tokarski, Oleksiewicz i Holak. T. O. H. — dodałem ciszej.

— Panowie graj ą w bridża?

— Proszę? — Tokarski miał niski głos, ale pojawił się w nim jakiś obcy, wysoki ton, jakby moje pytanie zaskoczyło go i wzbudziło niepewność i przestach. — W bridża? Tak... oczywiście, ja gram. Czemu pan pyta?

Wydawało mi się, że Holak i Oleksiewicz patrzą na głównego technologa z ukrywaniem napięciem.

— Ach, nic, drobiazg — machnąłem ręką. — Dziękuję panom. Do widzenia.

Usiadłem na krześle po przeciwnej stronie biurka Holaka.

— Może kawy, herbaty? — poderwał się mój gospodarz. — Przepraszam, panie kapitanie, nie wiem, gdzie podziła się sekretarka, pewnie gdzieś siedzi na plotkach, od godziny, kiedy rozeszła się wiadomość, w biurze w ogóle się nie pracuje...

— To zupełnie zrozumiałe, proszę się nie fatygować, piłem kawę przed chwilą. Jak mnie poinformowano w sekretariacie dyrektora, jest pan kierownikiem działu zaopatrzenia, prawda? I na razie zastępuje pan wicedyrektora.

— Zgadza się — Holak skinął głową. — Zastępca dyrektora wyjechał na dłużej za granicę i na razie...

— W porządku. Czy pan znał dobrze docenta Jabczyńskiego?

— Znałem, oczywiście znałem. Proszę pana, ja nie mogę zrozumieć...

— Właśnie — westchnąłem. — Wszyscy staramy się zrozumieć. Proszę pana, ja wiem, że pan znał swego dyrektora, moje pytanie dotyczyło stosunków prywatnych. Ale — uprzedziłem go — zostaniemy jeszcze chwilę w zakładzie. Widzi pan, różne mogą być przyczyny podobnego kroku. Chodzi mi o to, czy nie można ich znaleźć tu, w zakładzie...

— Tutaj? W zakładzie? — prawie oburzył się. — Proszę pana, docent Jabczyński był znakomitym fachowcem, wysoko cenionym... Proszę się zresztą dowiedzieć w dyrekcji Instytutu... Docent miał poważne osiągnięcia jako konstruktor i teoretyk. Nasze urządzenia przekaźnikowe instalowane są na największych budowach przemysłowych, które prowadzimy za granicą, na przykład...

— Zanim tu przyszedłem — powiedziałem ze znużeniem — postarałem się dowiedzieć, czym się zajmujecie. Poza tym czytam prasę, więc dziękuję panu, ale nie o to mi chodziło. Czy panu coś wiadomo o trudnościach, o kłopotach zawodowych docenta Jabczyńskiego...

— Miał jakieś kłopoty? — zdziwił się Holak.

Spojrzałem na niego z wyrzutem.

— Proszę pana, ja się właśnie staram dowiedzieć.

— Oczywiście, oczywiście, przepraszam — zreflektował się. — Czy miał kłopoty? Panie kapitanie, człowiek na tak odpowiedzialnym stanowisku...

— ...zawsze ma kłopoty, tak, proszę pana, wiem— dokończyłem. — Proszę sobie wyobrazić, że dotyczy to także ludzi na mniej odpowiedzialnych stanowiskach, a pan jakoś nie może mi pomóc w moich kłopotach. Cóż robić, każdy musi sam sobie poradzić... czy pan był u docenta Jabczyńskiego?

— To znaczy w domu?

Holak był lekko zmieszany.

— Tak, w domu. Nie myślałem o jego gabinecie w zakładzie. Właściwie zacząłem od tego pytania...

— Oczywiście, oczywiście, przepraszam. Bywałem... ogromnie rzadko. Może wszystkiego... czy ja wiem, dwa razy. Zawsze w większym towarzystwie. Docent Jabczyński z nikim z naszego zakładu nie utrzymywał specjalnie bliskich stosunków, przypuszczam, że to kwestia zasady...

— Graliście w bridża?

— W bridża? — znowu ten wyraz zaskoczenia i przestachu, jaki spostrzegłem przedtem we wzroku Tokarskiego. — Tak... chyba raz...

— Kiedy?

— Nie pamiętam, dawno... Chyba w zeszłym roku...

Blok Jabczyńskiego był gruby i prawie cały zapisany, zapis gry z panami T. O. H. — ostatni. Czyżby Jabczyński przed rokiem przestał grać w bridża? Wreszcie coś mi się nie zgadza.

— A wczoraj? — spytałem.

Na czole Holaka załśniła malutka kropelka potu.

— Nie, nie graliśmy.

— A co robiliście?

— Nie byłem wczoraj u docenta Jabczyńskiego.

— Nie był pan. No dobrze — wstałem, Holak wstał również z niejaką ulgą. — Myślę, że się jeszcze zobaczymy.

Przeszedłem przez korytarz, w sekretariacie docenta Jabczyńskiego grono pań i panienek brzęczało jak pszczeli rój. Ucichły, kiedy wszedłem, i wpatrzyły się we mnie w nadziei, że powiem coś, co można będzie powtórzyć innym paniom i panienom w innych pokojach.

— Panie kapitanie — poderwała się sekretarka Jabczyńskiego, nie najgorsza blondynka o długich, szesanych na ramionach włosach — kazał mi pan sobie wszystko przypomnieć, choćby to nie miało znaczenia. Więc może...

— Słucham panią.

— Dyrektor Jabczyński kazał mi kilka dni temu skompletować protokoły kontroli technicznej za ubiegły rok. Włożyłam je do teczki i dyrektor zabrał ją do domu.

Napięcie wśród zgromadzonych pań wyraźnie osłabło. Tego rodzaju nowiny mają dla siebie co godzinę.

— Jaka to była teczka? — spytałem.

Blondynka wyjęła z szafy tekturową teczkę zapinaną na białe gumki.

— Dokładnie taka sama.

— Dziękuję pani. Mogę ją zabrać? Pani jedna stara mi się pomóc w moich kłopotach. Do widzenia.

Kiedy znalazłem się na końcu korytarza i czekałem na windę w niewielkiej grupce osób, zobaczyłem, jak w głębi pojawiły się sylwetki Oleksiewicza i Tokarskiego i znikły w drzwiach Holaka.

3

Irena Rybczyńska siedziała w moim pokoju na niskim fotelu, przy stoliku w kącie, twarz schowała w dłoniach, łokcie oparła o kolana. Stała przy niej nie- dopita szklanka wody. Panowała cisza, tykał zegar na ścianie, brzydki wiszący zegar z plastyku udającego drzewo. Już kilka razy kazałem go wyrzucić, w końcu sam będę musiał to zrobić.

Irena Rybczyńska była trzydziestokilkuletnią kobietą, świetnie ubraną, wyraźnie dbającą o urodę i figurę. Ale kiedy wreszcie uniosła twarz, niewiele przypominała pewną siebie damę, która nie tak dawno weszła do tego pokoju.

— Bardzo pani współczuję — powiedziałem cicho.

— Ale i pani chyba zależy na tym, aby wyjaśnić, co właściwie zaszło i dlaczego. Więc docent Jabczyński dzwonił do pani wieczorem?

— Tak... — szepnęła. Otworzyła torebkę, wyjęła chusteczkę, którą wytarła oczy i nos. Była silna, umiała nad sobą panować.

— To było dwadzieścia po jedenastej. Wiem, bo poszłam wcześniej spać i kiedy obudził mnie telefon, spojrzałam odruchowo na zegarek. Adam jeszcze raz przeproszał, że nie mogliśmy się spotkać. Miał u siebie jakieś ważne spotkanie.

— Może bridża?

— Ach nie — zachnęła się. — W żadnym razie nie mogło chodzić po prostu o bridża. Adam lubił grać, grał często, ale wczoraj miał doprowadzić do rozwiązania jakąś sprawę, która sprawiała mu poważne kłopoty. Obiecał, że wszystko mi wyjaśni, prosiłam go o to, jestem prawniczką, radcą prawnym, sądziłam, że będę mogła mu pomóc, bo rzecz dotyczyła j ego stosunków służbowych...

— Pani jest tego pewna? — przerwałem. — Powiedział to pani?

— No nie — zastanowiła się — właściwie nie. Ale od początku tak to rozumiałam. Jego prywatne sprawy znalazłam chyba dość dobrze... tak mi się przynajmniej wydawało — zacisnęła usta, podniosła chusteczkę ku oczom. Dołałem jej wody, wypila.

— Obiecał więc, że wszystko pani wyjaśni... — przypomniałem.

— Tak, ale nie teraz. Dopiero kiedy uporządkuje wszystko, a sądził, że mu się to uda zrobić w niedługim czasie. To spotkanie miało chyba istotne znaczenie, bo wydawało mi się, że był pogodniejszy, weselszy, jakby coś z siebie zrzucił.

— I nigdy nie wspomniał o niczym, co pozwoliłoby domyślić się choćby kierunku, co mogłoby...

— Nie, nigdy — zaprzeczyła energicznie. — Adam był skryty, nie ma pan pojęcia, jak skryty. Chyba... — zawahała się.

— Słucham.

— Powiedział kiedyś — mówiła z zastanowieniem — mniej więcej tak: „Jak myślisz, czy można zawrzeć dżentelmeńskie porozumienie z człowiekiem, który w niczym nie przypomina dżentelmena?”

— No dobrze. Więc mówi pani, że nic w waszej rozmowie wczoraj, dwadzieścia po jedenastej wieczorem, nie wskazywało na depresję, przestrah, zdenerwowanie?

— Nic, absolutnie nic. Przeciwnie... ulga, wesołość, czułość.

Znowu chwilę pomilczeliśmy.

— Jeszcze tylko moment — poprosiłem. — Jego znajomi z zakładu. Przyjaźnił się z kimś?

— Z nikim bliżej nie przestawał. Adam był lubiany, ale nie miał wielu przyjaciół. Może Lenart...

— Czy mówi pani coś nazwisko: Holak?

— Tak, to jeden ze współpracowników Adama, chyba z pionu administracyjnego. Adam go nie lubił.

— Rozmawiał z panią o nim?

— Trudno to nazwać rozmową. Kilka dni temu spotkaliśmy go na ulicy, ukłonił się, Adam ledwie skinął głową i powiedział: „Nie cierpię tego szczura...”

— Szczura... Istotnie, nie świadczy to o szczególnej sympatii... Czy Holak bywał w jego mieszkaniu? Jakież przyjęcia, bridże...

— Nigdy — powiedziała stanowczo — przynajmniej przez ostatnie trzy lata.

— Pani jest tego pewna?

— Najzupełniej. Ile razy Adam cokolwiek urządził, zawsze jato przygotowywałam. Mieliśmy się pobrać...

— Jeszcze tylko chwilę — powiedziałem pośpiesznie. — Następne nazwisko: Oleksiewicz.

— To jeden z inżynierów... Raz był u Adama, pamiętam go, bo wygląda raczej na goryla... Ale nic o nim nie wiem.

— I ostatnie: Tokarski. Chyba bliski współpracownik docenta?

— Tak, oczywiście. Jedyne, z którym Adam spotykał się częściej. Poza pracą, oczywiście. Miał wkrótce wyjechać za granicę z ramienia zakładu, na kilka lat, ale przyszedł jakieś kłopoty ze zdrowiem, komplikacje rodzinne i Adam nie był pewny, czy on się zdecyduje.

— Rozumiem. Kto z zakładu bywał jeszcze na przyjęciach, które pani organizowała?

— Wicedyrektorzy, czasem jacyś inżynierowie... czy... czy to jeszcze długo potrwa? Ja...

— Bardzo panią przepraszam — wstałem. — Jeśli zajdzie potrzeba, zadzwonię. Odwieźć panią do domu?

— Dziękuję, nie... — wstała także, pomogłem jej włożyć płaszcz, szukała rękawiczek w kieszeniach, znalazła je w torebce — ja się przejdę. Pójdę do przyjaciół. Czy mieszkanie Adama...

— Na razie jest opieczętowane. Ale zawiadomię panią, kiedy pieczęcie będą zdjęte. Czy docent Jabczyński miał rodzinę?

W drzwiach pojawiła się głowa Grzywińskiego. Dałem mu znak, aby wszedł. Pani Irena nie zwróciła na niego uwagi.

— Tylko siostrę — odpowiedziała — w Białostockiem. Trzeba ją zawiadomić. Zrobię to. Do widzenia panu. Proszę mnie nie odprowadzać.

— Nie zazdroszczę ci tej pogawędki — westchnął Grzywiński, kiedy zamknęły się za nią drzwi. — Zganiałem się jak pies. Muszę się napić kawy, bo padnę.

I rozwalił się w fotelu. Ja wyciągnąłem się w drugim. Znowu ogarnęła mnie senność jak lepka mgła, z wysiłkiem otworzyłem oczy.

— To włącz czajnik — powiedziałem. — Możesz zrobić i dla

mnie. Będziesz miał wreszcie jakieś konkretne osiągnięcie.

— Wpadasz w samouwielbienie — gderał robiąc kawę. — Beze mnie oszalałbyś z braku konkretów.

— A to zaraz zobaczymy. No więc?

Postawił filiżanki na stoliku, zasiadł znowu, wyciągnął notes.

— Dozorca — zaczął — dane nieważne... Bramę zamyka się zawsze o 23, lokatorzy mają swoje klucze. Tego wieczoru oglądał mecz hokejowy w telewizji, a propos, widziałeś, jak Czesi wygrali? Racja, wyjeżdżałeś wtedy z Zakopanego. W każdym razie bramę zamknął zięć dozorca.

— Rozmawiałeś z nim?

— Nie, zięć był w pracy. Ale dozorca twierdzi, że na pewno zamknął jak zwykle o dwudziestej trzeciej...

— Nie ma żadnego na pewno. Porozmawiaj z zięciem.

— Ty przekłeta piło — westchnął. — No więc potem nikt ich nie budził, aż do trzeciej nad ranem, kiedy goście sąsiadów Jabczyńskiego zaczęli szaleć po klatce schodowej. I tyle. Nocny dozorca o dwie posesje dalej nic nie pamięta. Nocny lokal naprzeciwko, „Alhambra”. Tu coś jest. Szatniarz i portier znają docenta. Bywał tam, jadał obiady, czasem kolacje. Otóż słuchaj. Przyszedł mniej więcej dziesięć po jedenastej. Kupił paczkę „Marlboro”. Jak go szatniarz zapytał, czy nie wstąpi na kieliszeczek, powiedział, że już wypił w domu.

— Wypił w domu... — powtórzyłem. — No dobrze. Sekcja?

— Zaraz, poczekaj, wszystko mam ponotowane. Protokół będzie za kilka dni. Najważniejsze: śmierć przez powieszenie. Typowa bruźda wisielcza z wybroczynkami krwawymi. Drobne otarcia naskórka na grzbiecie dłoni... No i silne podbiegnięcie krwawe w okolicy czołowo-skroniowej lewej, duży krwiak sięgający do powierzchni kości czaszki. Wszystko jasne. Facet się powiesił.

I zamknął notes. Gwizdnął czajnik, nalałem wody do filiżanek.

— Wszystko jasne? — spytałem. — No to zaraz zobaczymy, czy wszystko jasne.

— Ja zbieram fakty, stary. Nie przypuszczenia.

— Tam jest sznur — wskazałem wielką, szarą kopertę leżącą

na moim biurku — wyjmij go. Ostrożnie tylko, delikatnie, nie dotykaj!

— Może ty potrafisz wyjąć, nie dotykając — gderał.

— Po co to sobie przyniosłeś? Sznur wisielca! Na szczęście?

— Pomyślałem chwilę, zanim przysłała pani Rybczyńska. Nie mam pewności, czy wiesz, o czym mówię... Weź za końce i rozłóż go delikatnie na stole pod ścianą. Tutaj — wyjąłem z szuflady — masz taki sam konopny sznur, tej samej długości. Teraz uważaj.

Jeden koniec sznura przywiązałem do kaloryfera, a sznur przerzuciłem przez gwóźdź przybity na tej samej wysokości, co hak od karnisza w mieszkaniu Jabczyńskiego.

— No i co? — spytał zaczepnie Grzywiński. — Chcesz mi zademonstrować, jak to się odbyło?

— Jeszcze chwila i zademonstruję na tobie. Uważaj teraz. Przywiązałeś sznur do kaloryfera, z tej strony masz pętlę. Wieszasz się.

— Nie — rzekł Grzywiński — ja się nie wiem.

— Wieszasz się — pociągnąłem za sznur. — Sznur wypręża się ocierając o hak. W którą stronę odchył się włoski na sznurze, na odcinku, który przesuwają się przez hak?

— W przeciwną do kierunku ruchu, panie kapitanie.

— Elew jest pojętny. A teraz obejrzyj ten sznur. Tam na stole.

Grzywiński wzruszając ramionami pochylił się nad stołem, ale po chwili pochylił się jeszcze bardziej, wreszcie wyprostował się, zwrócił ku mnie twarz, na której była powaga i napięcie.

— One... — wyjąkał — one są odchylone tak... tak jakby...

— Jakby co?

— Jakby... — szukał słów — jakby on sam się wciągnął!

— No i masz — westchnąłem — wiem, czego się mogę spodziewać, a zawsze mnie zaskakujesz. No dobrze. Ile tam jest, tego otarcia?

— Dużo. Półtora metra do dwóch.

Zdjąłem sznur z gwoźdźca i kaloryfera i rzuciłem w stronę Grzywińskiego.

— Przyłóż go do prawdziwego — powiedziałem — zaznacz miejsce otarcia, dobrze, a teraz załóż z powrotem na gwóźdź w

pozycji startowej. No i co?

— Pętla leży na ziemi — rzekł osłupiały Grzywiński.

Zadzwoił telefon.

— Słucham? Tak, poproś. Tylko za moment — odłożyłem słuchawkę — porozmawiamy za chwilę z jednym ze współpracowników Jabczyńskiego, z pozostałymi pogadam jutro. Zdaje mi się, że dzisiaj pójdę spać jak dziecina, zaraz po dobranoce. No więc teraz możemy sobie zademonstrować, jak to się odbyło. Za szafą stoi manekin, daj go tu.

Położyliśmy manekin na podłodze, pod gwóździem wbitym w ścianę. Założyliśmy pętlę na jego szyję, sznur przerzuciliśmy przez gwóźdź.

— Teraz ciągnij — powiedziałem.

Grzywiński pociągnął za sznur, manekin uniósł się z wolna, wreszcie zacisnął kołysząc się ciężko. Wyglądało to dość makabrycznie. Nic na to nie mogłem poradzić. To, co zobaczyłem w mieszkaniu Jabczyńskiego, było bardziej makabryczne.

— Stop! — zawołałem. — Zgadza się wysokość? Przywiąż koniec do kaloryfera. Zobacz zaznaczone granice otarcia Zgadzą się, prawda?

Schowałem właściwy sznur do koperty, kopertę do szafy. Grzywiński patrzył na wynik naszego małego eksperymentu i kręcił głową. Zrobiło to jednak na nim pewne wrażenie.

— Daj spokój — powiedział wreszcie. — Teraz wszystko rozumiem... Ten krwiak na czaszce... Ogłuszył go, i potem...

— Logiczne, prawda? I powiesił nieprzytomnego.

— Po co?

— Wyreżyserował taką sytuację. Pewnie chciał, żebyśmy w to uwierzyli.

Stukanie do drzwi.

Proszę!

W drzwiach stanął inżynier Tokarski. Na widok manekina cofnął się o pół kroku; minęła chwila, zanim się opanował. Pewnie trochę przesadzam z efektami.

— Przepraszam za tę dekorację — powiedziałem. — Stary, zrób z tym porządek — to do Grzywińskiego. — Proszę, niech

pan siada.

— Pan wybaczy — Tokarski przysiadł w fotelu, przetarł czoło dłonią — ale ten widok... Wciąż jeszcze w zakładzie o niczym innym nie rozmawiamy...

— Rozumiem, oczywiście — usiadłem po drugiej stronie stolika. Grzywiński upychał manekin za szafą, Tokarski machinalnie wodził za nim wzrokiem. Dopilem chłodnej już kawy, znowu ogarnęło mnie dojmujące uczucie znużenia. Po tej rozmowie jadę do domu i idę spać, jak powiedziałem. Po dobranocce.

— Pan się przyjaźnił z docentem Jabczyńskim? — zapytałem.

— Tak, chyba można to tak nazwać. Wydawało mi się, że znam go dobrze, że mogę przewidzieć każde jego posunięcie...

— Wydawało się panu?

— No tak — spojrział na mnie ze zdziwieniem. — Wobec tego, co się stało...

— Nie sądził pan, że Jabczyński jest zdolny do samobójstwa?

— Nigdy! Cóż... pomyliłem się...

— Nie pomylił się pan — powiedziałem wcale tego zdania nie akcentując. — To nie było samobójstwo.

Tokarski patrzył na mnie przez chwilę niepewnie, jakby badając, czy się nie przesłyszał, potem jego oczy rozszerzyły się gwałtownie.

— To nie było... Jak to? Ależ... wszyscy mówili... Pan przecież także, w rozmowie z Holakiem... W takim razie... co się stało?

— Docent Jabczyński został zamordowany — powiedziałem.

— Zamor... Pan chyba tego nie mówi poważnie.

— Nie wiem, jak jest z pańskim poczuciem humoru, aleja takich dowcipów nie robię.

— Ale przecież właśnie milicja, kiedy zawiadomiono biuro, użyła tego słowa: samobójstwo. Dokładnie, że Adam się powiesił w swoim własnym mieszkaniu.

— Z początku rzeczywiście tak sądziliśmy. Ale zmieniliśmy zdanie.

Tokarski umilkł, myślał nad czymś intensywnie, potrzęsnał głową, jakby doszedł nagle do wniosku oszałamiająco prostego, a jednak niełatwego do sformułowania.

— Jeżeli tak... — powiedział wolno — jeżeli tak... to zmienia całkowicie postać rzeczy...

— Trudno się z tym nie zgodzić — spojrzałem na zegarek. — No cóż, robi się późno. Liczę na pańską pomoc. Obaj pewnie chcielibyśmy już pójść do domu.

Mimo wszystko ja chyba bardziej.

— Oczywiście, proszę, niech pan pyta — rzekł Tokarski, jeszcze trochę bezładnie. — Zamordowany!

Adam zamordowany! To nie do uwierzenia, że jednak ktoś... Ktoś mógł...

— Proszę pana, żeby pan wiedział, jak często ludzie zmuszają nas do uwierzenia w podobne rzeczy... No nic. Jak pana zdrowie? Lepiej?

— Proszę? — zdziwił się Tokarski. — Dziękuję... w porządku...

— A komplikacje rodzinne?

— O czym pan mówi?

Chyba mnie rzeczywiście nie rozumiał.

— Słyszałem, że miał pan kłopoty ze zdrowiem i komplikacje rodzinne, które utrudniają panu wyjazd za granicę.

— Ach nie, to nic poważnego — uśmiechnął się blado. — Zdaje pan sobie sprawę, że decyzja wyjazdu z kraju na parę lat nie jest łatwa, wymaga rozważenia. Rzeczywiście zastanawiałem się, ale...

— ...ale postanowił pan wyjechać. Tak to się przeważnie kończy. Zresztą wcale się panu nie dziwię, sam chętnie bym się wybrał gdzieś w świat. Szczególnie w taki dzień jak dziś... A daleko to?

— Dość daleko. Argentyna. Budujemy wielką elektrownię w kooperacji międzynarodowej. Nasza ekipa będzie instalować urządzenia przekaźnikowe, a i mnie tam łatwa robota nie czeka, bo poza odpowiedzialnością za pracę naszych fachowców spada jeszcze na mnie odpowiedzialność za terminowe dostawy, a los głównego koordynatora dostaw... — westchnął. — Mniejsza z tym, przecież pan o czym innym chciał rozmawiać...

— Istotnie — skinąłem głową — chociaż, gdybym mógł wybierać temat... No nic. Chciałbym sobie wspólnie z panem

odtworzyć kilka ostatnich dni docenta Jabczyńskiego. Ja wiem, że pan mu nie towarzyszył przez całą dobę, ale też chodzi mi przede wszystkim o sprawy zawodowe, którymi ostatnio się zajmował.

— Oczywiście — rzekł Tokarski — oczywiście. W miarę moich możliwości. Proszę, niech pan pyta.

Pytałem, Tokarski mówił. Grzywiński notował. Terminy, plany, badania naukowe i produkcja skomplikowanych urządzeń przekąźnikowych, kontrakty zagraniczne i krajowe kłopoty. Wszystko to było na swój sposób zwyczajne, nawet potoczne, a jednak czułem, że nasza rozmowa omija stale coś istotnego, że dotykamy tylko samej powierzchni, jakby zewnętrznej formy działalności docenta Jabczyńskiego, że wszystko, co słyszę, można by bez trudu odtworzyć z protokołów, kopii korespondencji, sprawozdań i planów. Mój rozmówca nie robił przy tym wrażenia nieszczerego, był raczej strapiiony, niepewny, a nawet zdawało mi się, przestraszony, i ten strach rósł w nim, wypełniał go, w miarę, jak obraz zawodowej aktywności nieżyjącego dyrektora „Elpy” stawał się dla nas coraz jaśniejszy i — pozornie — kompletny. Nie, inżynier Tokarski nie nas się bał; to, co budziło jego niepokój, zdawało się tkwić pośród spraw, o których opowiadał, i ludzi, którzy je prowadzili.

— Panie kapitanie — powiedział wreszcie — z kierunku, w jakim idzie nasza... rozmowa, wnioskuję, że źródeł tego, co się stało, szuka pan w naszym zakładzie... że nie bierze pan pod uwagę możliwości jakichś osobistych... konfliktów czy uwikłań Adama...

— W zasadzie ma pan rację — powiedziałem. — Tak rzeczywiście myślę.

— Ja... — rzekł z trudem Tokarski. — Ja...

— Pan się boi, prawda?

— Jeżeli mam być szczery... tak — wyznał.

I to wyznanie sprawiło mu wyraźną ulgę. Skinąłem na Grzywińskiego, aby nie protokołował. Zapaliłem lampkę na biurku. Milczeliśmy chwilę.

— Czego się pan boi? — spytałem wreszcie.

— Widzi pan... to nie jest nic określonego. To raczej sfera przypuszczeń albo, powiedzmy, przeczuć...

— To znaczy...

— Proszę pana, Adam był pracownikiem naukowym, kiedy przyszedł do zakładu nie miał żadnego doświadczenia administracyjnego. Oczywiście, przy jego wysokich kwalifikacjach zawodowych nie miało to większego znaczenia, przynajmniej teoretycznie. A jednak... podobna sytuacja może stwarzać różnym ludziom nęcące okazje. Zastrzegam — uniósł rękę — że tą są tylko moje luźne przypuszczenia. Ale Adam był zmartwiony, przybity, jakby przypuszczał... Rozmawialiśmy o tym...

I przerwał, jakby powiedział o słowo za dużo.

— Wczoraj, przy bridżu — poddałem łagodnie.

Tokarski uniósł gwałtownie głowę.

— Proszę pana, ja już powiedziałem...

— Niechże pan to z siebie w końcu zrzuci! — mówiłem tonem życzliwego doradcy. — Przecież ja jestem zupełnie pewien, że wczoraj wieczorem graliście w bridża u docenta Jabczyńskiego. Pan i panowie Oleksiewicz i Holak. Niechże pan zrozumie, że to was w niczym nie obciąża. Już po bridżu docent Jabczyński był w lokalu naprzeciwko swego mieszkania, po papierosy. Potem jeszcze dzwonił do swojej znajomej. Więc? Dlaczego to ukrywacie?

Tokarski pochylił się, oparł czoło na rękę.

— To zupełnie idiotyczne — rzekł z przekonaniem.

— Też jestem tego zdania.

Wyprostował się, jakby podjął decyzję.

— Czy może mi pan obiecać dyskrecję?

— Zależy, co pan przez to rozumie. Całkowitej dyskrecji nie mogę panu obiecać.

— Wytłumaczę panu, o co mi chodzi. Dziś rano, przed wyjściem do biura, odebrałem idiotyczny telefon. Uważałbym go za głupi żart, zresztą trudny do wyjaśnienia, gdybym nie dowiedział się wkrótce potem o śmierci Adama. To było parę zdań, męski głos. Mniej więcej tak: Proszę słuchać uważnie i o nic nie pytać. Nikomu ani słowa o wczorajszym bridżu. Sprawa

jest poważna. Proszę nie lekceważyć ostrzeżenia. Chodzi o pańskie życie.

Grzywiński gwizdnął z przejęciem. Tokarski był ożywiony, podniecony; pozbył się ciężaru i nie musiał już niczego ukrywać.

— Prawie o tym zapomniałem, kiedy przyjechałem do biura — ciągnął. — Załatwiałem korespondencję, bieżące sprawy. Aż przyszła wiadomość o śmierci Adama. Przypomniałem sobie natychmiast ten telefon. Poszedłem do Holaka. Nie od razu, miałem odprawę kierowników wydziałów. U Holaka zastałem Oleksiewicza. Proszę sobie wyobrazić, że oni też mieli telefony. Chyba z identycznym tekstem. Nie mogliśmy tego zrozumieć. Wtedy właśnie pan nadszedł.

— Nie przyszło panu od razu na myśl, że mogło to nie być samobójstwo? — spytałem.

Wstałem, zacząłem spacer po pokoju. Znikło znużenie, między pozorami, fasadami, frazesami, codzienną rutyną, w sieczce słów i gestów zjawilo się pierwsze małe, mętne światełko. Nie wolno stracić go z oczu.

— Nie wiedziałem, co o tym myśleć — rozłożył ręce — nic się z niczym nie zgadzało... Zdenerwowaliśmy się, nie wiedzieliśmy, co robić. Dlatego na pana pytanie, wtedy, nikt nic konkretnego nie odpowiedział. A teraz, kiedy się dowiaduję, że to było morderstwo... Proszę pana — uniósł nagle głowę — ten człowiek dzwonił wcześniej, koło siódmej. On... on już wtedy wiedział... To był...

— ...morderca — dokończyłem. — Ma pan rację. Sprzątaczką znalazła ciało o ósmej. Ale powiedzmy ostrożnie: to był człowiek, który wiedział, że Jabczyński został zamordowany. I dlatego.

Usiadłem znowu, skinąłem na Grzywińskiego; wrócił do maszyny.

— O czym była mowa z okazji tego bridża? — spytałem. — Bo przecież nie przyszlście na roberka?

— Oczywiście — rzekł Tokarski. — Adam zebrał nas, żeby podzielić się swoimi obawami... Mamy wielu kooperantów, a ostatnio zaczęły do nas napływać bardzo liczne interwencje,

niektóre podzespoły okazały się niesprawne. Adam zobowiązał nas do dyskretnej, ale bardzo starannej i szybkiej inspekcji wszystkich ogniwi związanych z kooperantami. A są między nimi nie tylko duże i średnie państwowe zakłady, ale także różnego rodzaju spółdzielnie... Zdaje pan sobie sprawę, ile możliwych powiązań i kombinacji występuje w podobnych wypadkach...

— Czy miał konkretne podejrzenia?

— Skądże, żadnych. Właśnie chodziło o to, abyśmy pomogli mu je ukonkretnić. On był całkowicie bezradny. Kiedy omówiliśmy plan działań, Adam wyraźnie poweselał. Wypiliśmy po kieliszeczku, zagraliśmy parę roberków.

— Z kim pan grał w parze?

— Z Oleksiewiczem — spojrzał na mnie nieco zaskoczony, a Grzywiński pokręcił głową z niezadowoleniem. Nie zapisał tego pytania.

— I kto wygrał?

— My.

— O której wyszliście?

— Zastukała maszyna.

— Ja wyszedłem pierwszy. Mój samochód jest w TOS-ie, a ostatni autobus miałem o jedenastej. Byłem leżący, karta była pewna.

— Więc wyszedł pan...

— Za dziesięć jedenasta.

— A oni zostali, rozumiem. Musieli wyjść nie później niż kwadrans po panu. Jabczyński zwiózł ich na dół i wstąpił po papierosy.

— Tak, tak było... tak dziś mówili... Nie wiem, ci ludzie ze spółdzielni... Nie wiem. W każdym razie rozumiem pan, dlaczego prosiłem o dyskrecję. Skoro to nie było samobójstwo, nie mogłem ukrywać tak ważnej rzeczy. Ale... nie chciałem, żeby spotkał mnie los Adama. Oleksiewicz i Holak niech sami decydują. Pan już wie.

— Nie sądzi pan — spytałem jeszcze — że docent Jabczyński mógł mieć o wiele bardziej konkretne podejrzenia, niż wam powiedział? Nie zabija się człowieka bez powodu...

— Nie sędzę — ściągnął ramiona — nie ukrywałby tego. A może... może wiedział coś, ale nie zdawał sobie jeszcze sprawy, jakie to ma znaczenie?

— Może — wstałem. — Dziękuję panu za pomoc. Proszę o informację, gdyby zaszło coś nowego. Będziemy z panem w kontakcie.

A kiedy poszedł, powiedziałem do Grzywińskiego:

— Dziś już pewnie nie zdążysz, ale załatw to jak najszybciej. Chcę mieć obserwację panów T, O, H. Bridżystów.

— Może wpadniesz do mnie i złożymy roberka? — spytał. — Masz wyraźną obsesję bridżową.

— Nie, koteczku — powiedziałem — idę spać.

4

Ranek był słoneczny, rześki, ciepły, na jezdniach rozszerzały się błyskawicznie jasne łachy suchego asfaltu, na chodnikach pojawiły się dziewczyny z gołymi głowami, ja byłem wyspany — a mimo to wściekły ponad wszelką miarę. Kiedy zadzwoniłem wczoraj do Hanki, okazało się, nie po raz pierwszy, że musiała wyjechać na parę dni akurat wtedy, gdy ja wróciłem. Ale byłem taki senny, że nie zrobiło to na mnie specjalnego wrażenia. Dopiero dzisiejszy ranny telefon Grzywińskiego wytrącił mnie z równowagi. Przed domem Jabczyńskiego nie mogłem zaparkować, znalazłem miejsce dopiero w przecznicy. Winda była zepsuta. Jak pech, to pech.

Wszedłem zadyszany, rzuciłem kożuszek na fotel i rozejrzałem się po mieszkaniu. Wyglądało, jakby tabun pijanych sprzątaczek postanowił się na nim zemścić za codzienne porządki.

— Kto was zawiadomił o zerwaniu plomby? — spytałem Grzywińskiego.

— Dozorca. A zauważyła sąsiadka, którą znasz.

— Chyba niezbyt dokładnie przeszukaliśmy to mieszkanie, co?

— Za to ktoś nas wyręczył.

— Też nie wiemy, czy znalazł, czego szukał. Z tego, co widać,

wynika tylko, że się spieszył. Zapamiętaj to sobie na dalsze lata owocnej służby. Postaraj się to jakoś uporządkować. I jeszcze raz obejrzyj każdy papierek.

— Nie za późno przypadkiem?

— Ja doceniam twoją gryzącą ironię, ale jeszcze wyżej cenilibym pracowitość.

— A nie wiesz przypadkiem, czego mamy szukać?

Zadzwoił telefon, Grzywiński podniósł słuchawkę.

— Tak, jest. Dobrze, przekażę — i do mnie. — Kazałeś się zawiadomić, kiedy przyjedzie profesor Lenart. Przyjedzie jutro, zatrzyma się w Grandzie.

— Pierwsza dobra wiadomość.

— Dlaczego? Już wiemy, jakiego rodzaju kłopoty miał Jabczyński.

— W liście była także mowa o dobrej pamięci. Może to nie są te same kłopoty? No, bierz się do roboty. Ważne jest nie tylko to, co jest w tym pokoju, ale także to, czego nie ma. Chociaż powinno być.

— Na przykład?

— Na przykład teczki, takiej jak ta.

Wyjąłem z aktówki teczkę, którą dostałem wczoraj od sekretarki Jabczyńskiego. Nie znoszę aktówek, ale nie mogę nosić papierów w rękach. Może to jest jedna z przyczyn mojego dzisiejszego humoru?

— Były w niej protokoły kontroli technicznej za ubiegły rok. I jeszcze jedno. Korespondencję Jabczyńskiego przejrzałem wczoraj bardzo dokładnie. I nie znalazłem żadnego wcześniejszego listu od profesora Lenarta. A powinny być.

— Już rozumiem — rzekł Grzywiński — szukamy tego, czego tu nie ma.

5

Kiedy wszedłem do pokoju, Oleksiewicz telefonował. Na mój widok zerwał się, przeprosił rozmówcę, odłożył słuchawkę. Wyciągnął ku mnie ogromną rękę.

— Dzień dobry, panie kapitanie. Czym mogę służyć?

— Ma pan może protokoły kontroli technicznej za ubiegły rok? — spytałem. — Pan jest przecież szefem kontroli technicznej w zakładzie?

— Tak, oczywiście... Za ubiegły rok? Powinny być

— podszedł do szafy w rogu, otworzył ją, bębnił palcami po grzbietach segregatorów. — Zaraz, zaraz... Pan mówi za ubiegły rok? Zdaje się, że ktoś je wypożyczył. Jest kartka. Tak, przeprowadzaliśmy dodatkową kontrolę, bo chodziło o dostawy zagraniczne, wynikała konieczność zwiększenia funduszu godzin nadliczbowych i potem było to chyba potrzebne do sprawozdań... Ale dlaczego pan tego szuka? Może mógłbym...

— Nie ma pan kopii?

— Ja? Nie, nie mam.

— Kto wypożyczył?

Spojrzał na kartkę.

— Sekretariat dyrektora Jabczyńskiego. Jeśli panu potrzebne jakieś informacje...

— Nie trzeba mi informacji, tylko protokołów. Proszę ustalić, kto ma kopie, i zadzwonić do mnie.

Odezwał się telefon na biurku Oleksiewicza. Ujął słuchawkę.

— Słucham, Oleksiewicz.

Trzymał słuchawkę przy uchu nie dłużej niż pięć sekund, potem odłożył ją bez słowa. Zbladł.

— Nie ma pan mi nic do powiedzenia? — spytałem.

— Nie — odpowiedział z wysiłkiem. — Nie, nic. Dowiem się o kopie protokołów.

Wychodząc spojrzałem na niego przez ramię. Siedział ciężko przy biurku patrząc bezmyślnie przed siebie. Zastukałem do drzwi Tokarskiego i wszedłem. Omawiał coś z sekretarką, dałem mu znak ręką, aby nie przerywał, i usiadłem w fotelu pod oknem.

— Dobrze, że pan przyszedł, panie kapitanie — powiedział, kiedy zostaliśmy sami — przed kwadransem miałem znowu ten telefon. Poszedłem do Holaka. Mówił, że i do niego dzwonił, dziś rano. Proponuje, żebyśmy spotkali się jutro wieczorem u niego, w trójkę. Żeby omówić sytuację i zastanowić się, co dalej

robić. Nie wiedzą — dodał oglądając się na drzwi — że panu powiedziałem. Też się boją...

— A więc kolejna narada — stwierdziłem — może także bridż? Tym razem z dziadkiem.

Tokarski usiadł za biurkiem.

— Niesamowite — szepnął. — Też go o to spytałem.

6

Kiedy wróciłem do siebie, zadzwoniła Irena Rybczyńska.

— Pan prosił, żebym przypomniała sobie wszystko, co słyszałam od Adama w ostatnich dniach, więc...

— Dziękuję pani, słucham.

— Więc byliśmy z Adamem w kinie, chyba przed tygodniem. Adam był w złym humorze, starałam się dowiedzieć, dlaczego, wreszcie wybuchnął, powiedział właściwie niewiele, tyle tylko, że zrobił głupstwo, kiedy zgodził się na dyrekcję zakładu, że powinien być zostać przy pracy naukowej, że nie ma pojęcia o administracji i każdy głupiec może go wyprowadzić w pole, a odpowiedzialność, i to karna odpowiedzialność, ciąży na nim. Staralam się go uspokoić, myślałam, że jest po prostu przepracowany. To tyle.

— Dziękuję pani, zanotowałem. Nie, nic na razie. Ale będę z panią w kontakcie.

Dzień był telefoniczny. Tokarski:

— Panie kapitanie, wyjeżdżam na kilka godzin służbowo do Wojszyc. Samochodem, nie, nie własnym, zakładu. Swoją odbieram pojutrze. Most, nowy most, chyba pan wie, ile z tym kłopotu... Dzwonię, bo może mnie pan potrzebować, ale nie tylko dlatego... Muszę jeszcze to wszystko dokładnie przemyśleć. Chcę się z panem zobaczyć, ale już po rozmowie u Holaka. Muszę sprawdzić, właśnie w tej rozmowie, pewne szczegóły... Jutro wieczorem? Może pojutrze rano... Zadzwonię do pana, do widzenia.

Wywiadowca:

— Obserwowany Oleksiewicz wyszedł w godzinach pracy w

stronę parku. Wypił jeden koniak w kawiarni „Magnolia”, potem na Jaworowej, kiedy myślał, że nikt go nie widzi, wrzucił coś do studzienki od kanału i wrócił do pracy.

– Pilnujcie tej studzienki – powiedziałem – zaraz przyjedzie ekipa ZOM-u, żeby ją oczyścić.

Wreszcie Grzywiński, który pojechał z ekipą:

– Jacek? Trzymaj się krzesła. Zaraz jeszcze sprawdzę, ale właściwie jestem pewien. Wiesz, co znaleźliśmy w studziencie? Zapasowy komplet kluczy od mieszkania Jabczyńskiego. Razem z kluczem od bramy.

Oleksiewicz. Łapy boksera, kwadratowe ramiona.

– Wszystko przejrzałeś u Jabczyńskiego?

– Wszystko, tylko pisma... Nic nowego. Nie ma, czego nie ma. Jak mówiłeś.

– Przejrzyj także pisma.

– Zwariowałeś? Mam to czytać? W trzech językach o technice?

– Skądże, wiem, z kim mówię. Każdy numer weź za grzbiet i potrząśnij, czy co z niego nie wypadnie. Nie uczyli cię tego? Rutyna. A jak znajdziesz „Przyjaciółkę”, to sobie przeczytasz.

– Przyjaciółkę to ja sobie znajdę bez twoich rad. Co robimy z Oleksiewiczem?

– Nic. Oglądamy go.

I wreszcie ostatni telefon, tuż przed wyjściem:

– Jacek? Hanka mówi. Następnym razem nie puszczę cię samego w góry. Harowałam jak pies wieczorami. Nie masz pojęcia, jak podciągnęłam pracę! Dzwonię z dworca, masz wóz? Możesz mnie zabrać?

Wieczór był więc inny niż reszta dnia. I mój stosunek do świata też był inny.

Następnego ranka pojawiłem się w „Grand Hotelu”. Profesor Lenart przyjechał w nocy, ale już nie spał i zgodził się przyjąć mnie natychmiast, kiedy dowiedział się, o co chodzi. Był to

wysoki, siwiejący mężczyzna o suchej twarzy i spokojnym, uważnym spojrzeniu. Siedział w szlafroku na fotelu, pykał fajkę, przetrwał w milczeniu wiadomość o śmierci przyjaciela.

— To straszne, co pan mówi — rzekł wreszcie. — Wprawdzie widywaliśmy się z Adamem dość rzadko przez ostatnie lata, ale pisaliśmy do siebie stale, rozmawialiśmy telefonicznie, kiedy to było możliwe. I tak się cieszyłem na to spotkanie...

— W korespondencji, którą znalazłem w mieszkaniu docenta Jabczyńskiego, nie było żadnego listu pana profesora...

— Może nie przechowywał listów.

— Inne przechowywał. Wpadł mi tylko w ręce ostatni list, który przyszedł już po śmierci docenta. Było w nim takie mniej więcej zdanie: „przykro mi, że moja dobra pamięć sprawiła ci tyle kłopotów”.

— Możliwe — rzekł profesor.

— Czy pamięta pan, o co chodziło?

— Dlaczego to pana interesuje? To jakiś drobiazg bez znaczenia.

— Interesuje mnie wszystko, co sprawiło kłopoty docentowi Jabczyńskiemu, panie profesorze.

— Kiedy tu chodziło chyba o kłopoty, jak zrozumiałem, natury towarzyskiej... — przymknął oczy, kłąb dymu popłynął ku sufitowi — zaraz, niech sobie przypomnę. Nie mam tu, rzecz jasna, jego listów, zostały w Stanach, ale kiedyś wspomniał mi Adam o kimś, kto był moim kolegą ze studiów. Widzi pan, kiedy studiowałem, tuż po wojnie, była na moim kierunku niewielka garstka, a tego nazwiska po prostu nie pamiętałem...

— Jakie to nazwisko?

— Ba! — rozłożył ręce — właśnie o to chodzi, że go nie znałem. Proszę mi wierzyć, że nie pamiętam. W zasadzie dość pospolite... Nie, nie przypomnę sobie... Nie wiem, czy się ten ktoś na mnie powoływał, ale w towarzystwie zdarzają się czasem takie sytuacje... Pewnie Adam to sprostował, bo w jakimś liście wspomniał, że moja dobra pamięć przyprawiła go o kłopoty. Odpowiedziałem zdawkowo, formułką, bo rzecz była bez znaczenia...

— Gdzie i kiedy pan studiował, panie profesorze?

— Na Politechnice Gliwickiej od 1946 do 1950. Przykro mi, że nie mogłem panu pomóc. Proszę jeszcze nie odchodzić, proszę opowiedzieć mi coś o Adamie.

— Obiecuję, panie profesorze, że dam panu znać, kiedy tylko będę miał coś do opowiedzenia. Na razie, jak pan widzi, gromadzę szczegóły, drobiazgi bez znaczenia. Do widzenia.

8

— Pojedziesz do „Elpy”, złożysz wizytę w kadrach — powiedziałem Grzywińskiemu. — Obejrzyś dyplomy wszystkich inżynierów pracujących w zakładzie. I wynotujesz dyplomy Politechniki Gliwickiej. Chodzi mi o rok 1950.

— A jak nie będzie z tego roku?

— To spojrzysz na sąsiednie. Ale w zasadzie interesuje mnie tylko rok 1950.

— Dość tajemnicze. Nic z tego nie rozumiem — powiedział z niezadowolaniem.

— Normalne. I niewykluczone, że jeszcze dziś pojedziesz do Gliwic. Krótka podróż dla dobra sprawy.

— Sam? — skrzywił się. — Załatwisz mi samochód?

— Sam. To boczny szczegół do sprawdzenia. Samochód spróbuję załatwić. Swego ci nie pożyczę, bo rozbijesz. Zresztą będzie mi potrzebny.

Wszystko szło dziś szybko. Grzywiński zadzwonił koło jedenastej. Znalazł trzy dyplomy, dwa z 1950, jeden z 1951. Więcej, niż myślałem. Zresztą pewnie i tak do niczego mnie to nie doprowadzi. Politechnikę Gliwicką skończyli w roku 1950 Oleksiewicz i jeden z wicedyrektorów, przebywający teraz od roku za granicą, jak wielu pracowników „Elpy”, a w rok później Tokarski. Trzeba było brnąć dalej. O wpół do dwunastej Grzywiński jechał już do Gliwic, gdzie powinny na niego oczekiwać w miejscowej komendzie wypożyczone z uczelni teczki studentów.

Do swego biura zajrzałem o piątej po południu i zastałem notatkę. Dzwonił Tokarski, aby mnie poinformować, że wrócił z

podróży służbowej, o czym wiedziałem bez niego, że ma po południu spotkanie, po którym do mnie zadzwoni, a gdybym nie miał telefonu do godziny dziewiętnastej, prosi, abym dowiedział się o niego u inżyniera Oleksiewicza. Miałem prawo rozumieć tę wskazówkę dość szeroko. Klucze wyłowione z kanału leżały na półce szafy w rogu mego pokoju. Finał był bliski.

W tej sytuacji musiałem zostać u siebie jeszcze przez dwie godziny. Trudno, z Hanką byłem umówiony na ósmą, nadrobie zaległości.

Dobrze się stało. Wkrótce zadzwonił Grzywiński z Gliwic. Donosił, że w Gliwicach pada deszcz, że drogę miał ciężką, na koniec wreszcie, że nie udało się miejscowym kolegom wykopać w dziekanatach tych teczek i da się to zrobić dopiero następnego dnia. Więc czy ma wracać, czy czekać do jutra.

— Sam nie wiem — zawahałem się. — Będziesz tu jutro potrzebny...

— Jestem zawsze niezbędny — poinformował mnie.

— Już ci mówiłem, że pogoda jest pod psem. Wolę wracać jutro. Dziekanaty czynne są od ósmej do czternastej, dlatego dzisiaj nie zdążyli. Aha, wiesz, jedna z urzędniczek mówiła koledze, że ktoś się już u niej o to dowiadywał, druga pomogła jej pamięci i powiedziała, że był to docent Jabczyński.

Więc jednak! Boczna ścieżka, drobiazg do sprawdzenia znalazł się nagle w pełnym świetle, w centralnym miejscu układanki!

— I tę informację zachowałeś sobie na koniec, tak?

— krzyknąłem. — Zostaniesz w Gliwicach, za pięć ósma zjawisz się przed dziekanatem. Dokładnie wypytasz, czym interesował się Jabczyński i czego się dowiedział. Wypożyczysz te teczki i przyjedziesz. I zadzwoń przed wyjazdem, może mnie złapiesz. Do domu, raczej do domu.

Pracowałem do siódmej. O siódmej odszukałem w książce telefonicznej numer Oleksiewicza i zadzwoniłem. Nikt nie podnosił słuchawki. Nadeszła informacja od wywiadowców. Tokarski i Oleksiewicz weszli do domu, w którym mieszkał Holak, o szóstej. Tokarski wyszedł za piętnaście siódma, sam.

W oknie Holaka paliło się światło. Samochód Oleksiewicza stał przy krawężniku.

Zadzwoiłem do Holaka.

— Przepraszam pana — powiedziałem nie przedstawiając się — jestem znajomym pana Oleksiewicza i podano mi ten numer... Czy mogę mówić z panem Oleksiewiczem?

— Wyszedł przed chwilą — rzekł Holak. — Może coś mu przekazać? Proszę zostawić swoje nazwisko i pan Oleksiewicz zadzwoni.

— Dziękuję, proszę się nie fatygować. Sam go znajdę.

Telefon Tokarskiego milczał. Oleksiewicza także.

Potem zadzwoniono z jednego z komisariatów dzielnicowych.

— Napadnięto faceta, dostał po łbie. Z Pogotowia przywieziono go do nas, prosił, żeby zawiadomić kapitana Joachima. Nazywa się Tokarski.

Pojechałem natychmiast. Tokarskiemu na szczęście nic się nie stało. Siedział na krześle z plastrem na czole, zszokowany, ale w nie najgorszej formie. Popijał wodę. Na mój widok uśmiechnął się blade.

— Jak pan widzi, te groźby przez telefon nie były rzucane na wiatr... Gdyby nie ludzie, którzy go spłoszyli... Zaskoczył mnie...

— Widział pan napastnika? — spytałem.

— Nie. Pan jeszcze nie wie, to było w klatce schodowej w moim domu. Kontakt tuż przy bramie jest zepsuty, trzeba wejść na półpiętro, żeby zapalić światło. Więc zaatakował mnie już na półpiętrze, uderzył, przewróciłem się, a wtedy kilka osób zjawilo się w bramie, wesołe towarzystwo, więc on zbiegł po schodach i uciekł wyjściem na podwórze, zanim oni potknęli się o mnie i zapalili światło...

No cóż, wywiadowca nie mógł tego przewidzieć. Odprowadził Tokarskiego do bramy i wrócił.

— Stracił pan przytomność?

— Tak, chyba tak... Mam lekki wstrząs mózgu. Ale, panie kapitanie, ja wiem, kto to był...

Tym razem nie było w nim strachu, niepewności, oporu. Widać było, że już się nie bał, że postanowił powiedzieć

wszystko. Oczekiwanie na atak okazało się gorsze niż rzeczywistość.

— Kto?

— Oleksiewicz albo Holak. Myślę, że Oleksiewicz. To był silny cios... Nie może pan do mnie mieć pretensji — zastrzegł się unosząc rękę i syknął z bólu — nie może pan się dziwić, że się wahałem. Nie chodzi tylko o strach, o te telefony. Ale ja nie miałem pewności... Zresztą sam pan mówił, że wyszli razem z Jabczyńskim... A poza tym zawarliśmy z nimi porozumienie, Adam tak chciał... Dlatego zdecydowałem się na tę rozmowę dzisiaj, żeby zobaczyć ich reakcję, żeby się upewnić, że moje podejrzenia są słuszne. I żeby im zapłacić za mój strach... żeby oni zaczęli się bać.

Umilkł, zdyszany.

— No i poznał pan ich reakcję — powiedziałem. — Jak się pan czuje? Czy może pan zeznawać?

— Czuję się nie najlepiej — wyznał — ale chcę zeznawać.

— Skąd pewność, że to Oleksiewicz albo Holak? — spytałem, gdy Tokarski pokrzepił się kawą, a przy maszynie usiadł jeden z dyżurnych.

— Tylko dwóch ludzi wszystko o nich wiedziało. Jabczyński i ja. Dziś przyszła kolej na mnie. To nie może być przypadek.

— Na czym polegały ich nadużycia? Bo o to przecież chodzi, prawda? I kiedy pan się zorientował, że ich dokonują? Pan czy Jabczyński?

— Ja, oczywiście ja. Mniej więcej przed miesiącem. Panie kapitanie, jak pan wie, mamy wielu kooperantów. Nasz zakład zajmuje się przede wszystkim montażem. Tutaj konkretnie chodziło o podzespoły CRS ze spółdzielni „Elektronit”. Potrzebne mi były do badań i wziąłem z magazynu niewielką partię. Dopuszczalne odchylenie wynosi w nich 0,1, tutaj sięgało 1,2 i więcej. Szmelc. Mniejsza o szczegóły. Oni przyjmowali duże transporty bezwartościowych w zasadzie podzespołów i otrzymywali za to, nazwijmy to: dywidendy. W grę wchodziły wielkie sumy.

— Zawiadomił pan oczywiście docenta Jabczyńskiego?

— Natychmiast. Widzi pan, dyrektor nie znał się na sprawach

administracyjnych, podpisywał w zasadzie wszystko, co mu podsuwano. Między innymi fundusze na dodatkowe kontrole, których nie wykonywano. Podpisywał i nie sprawdzał, zavalony ważniejszą robotą. Mieli go w garści. Ujawnienie sprawy oznaczało dymisję dyscyplinarną Adama, a także sprawę sądową... Jak pan wie, można być skazanym za niedopełnienie obowiązków służbowych, za niedostateczną kontrolę. Ja bardzo ceniłem Adama. Proszę mi wierzyć, że zasługiwał na lepszy los niż los ofiary malwersantów. Dlatego daliśmy im szansę...

— Więc ten bridż — podsunąłem.

— To pomysł docenta. Bardzo zresztą dla niego charakterystyczny. Dla jego stylu. Spotkaliśmy się w czwórkę. Docent miał komplet protokołów kontroli technicznej, nigdy nie dokonanej przez Oleksiewicza, a ja zebrane przez siebie informacje. Daliśmy im trzymiesięczny termin na uregulowanie sprawy. Zwrot transportów niesprawnych podzespołów i zwrot dywidend. Nie mieli wyjścia... Umowa dżentelmeńska... Od początku byłem zdania, że nie można zawierać umowy dżentelmeńskiej z ludźmi, którzy w niczym nie przypominają dżentelmenów.

— Jak pan powiedział? Już to słyszałem... No nic. Docent Jabczyński też tak sądził?

— On też nie miał wyjścia. I ja, jeśli chciałem go ratować. Więc zawarliśmy to dżentelmeńskie porozumienie. Wypiliśmy po kieliszku i zegrali parę robrów w pozornej harmonii... Dla nich to oznaczało ruinę... Nie zdawałem sobie z tego w pełni sprawy... Niełatwo wczuć się w sytuację ludzi, którzy nie potrafią żyć z zarobionych pieniędzy.

— Wyszedł pan za dziesięć jedenasta. To dokładna godzina?

— Pamiętam, bo ostatni autobus odchodzi stamtąd o jedenastej. Zresztą także o jedenastej zamykają bramę w domu docenta, była o tym mowa, więc spojrzałem na zegarek. Byłem wychodzący, mieliśmy bombową kartę, nic mnie nie zatrzymywało, mówiłem panu...

— I wrócił pan do domu autobusem?

— Autobusem. Dzisiaj powiedziałem im wprost, że ich

podejrzewam. Jak pan wie, wczoraj jeździłem służbowo do Wojczyc, miałem trochę czasu, żeby pomyśleć. Oleksiewicz i Holak byli przez cały czas w bliskim kontakcie, zabrali z biura do domu jakieś akta... panie kapitanie, ja zrozumiałem, co chcą zrobić! Zamierzali spreparować dokumenty, pokazać je panu, zepchnąć winę na docenta i w ten sposób dostarczyć brakującego powodu samobójstwa. Powiedziałem im, że odrzuciliście wersję samobójstwa. Że teraz wiem, że to oni do mnie dzwonili, aby zapewnić sobie moje milczenie. I że nie będę milczał.

— To nie było przesadnie rozsądne — powiedziałem wstając — ale pan już jest zmęczony. Lekarz na Pogotowiu na pewno zalecił panu odpoczynek. Odwieziemy pana do domu. Zobaczmy się jutro.

— Do domu? — spytał niepewnie. — Będę tam bezpieczny? A Oleksiewicz? Holak?

— Nie zapomniałem o nich.

Zadzwoiłem z biura do Hanki, aby ją przeprosić i przełożyć spotkanie. Nie potraktowała mnie przyjaźnie. Co gorzej, ze swego punktu widzenia miała rację.

Potem z dwoma współpracownikami pojechałem do Oleksiewicza. Sam mi otworzył, kompletnie ubrany. Odniosłem wrażenie, że wypił parę kieliszków. On też nie potraktował mnie przyjaźnie.

— Dobry wieczór — powiedziałem. — Na szczęście pan jeszcze nie śpi.

— O tej porze? — wzruszył ramionami. — Nie chodzę tak wcześniej spać.

Stał w drzwiach do pokoju i wcale nie zamierzał mnie zaprosić. Nie, to nie.

— I nie wraca pan wcześniej do domu — uśmiechnąłem się. — Dzwoniłem do pana między siódmą i wpół do ósmej.

— Byłem na spacerze — burknął. — Mógł pan zadzwonić teraz, zamiast przyjeżdżać. Jeżeli to takie pilne.

— Raczej pilne — skinąłem głową. — Zechce się pan ubrać i pójść z nami. Nie mam jeszcze zezwolenia na rewizję, więc wrócimy tu z panem jutro.

Teraz dopiero spojrzął na mnie jak na człowieka.

— Panie kapitanie — prawie szepnął. — To niemożliwe... To nieporozumienie... Ja nigdy nie byłem karany...

— Ma pan szansę na dobry początek.

— Ale dlaczego? O co mnie pan oskarża?

— Oskarżać pana będzie prokurator. Ja przedstawię panu tylko zarzuty. To dla ścisłości.

— Ale dlaczego?

— Grywa pan w bridża, nie kończy pan robra, potem pan to ukrywa... Koledzy z gospodarczego też będą mieli, jak podejrzewam, pewne pretensje. Gotów pan?

— Pan Holak jest świadkiem. Jesteśmy niewinni...

— Po pana Holaka zaraz pojedziemy.

— Wyszliśmy razem — rzekł bezładnie. — Proszę mi umożliwić... Holak jest świadkiem.

— Spotka się pan również z panem Holakiem.

— Kiedy?

— Jutro wieczorem — odpowiedziałem. — Na bridżu w mieszkaniu docenta Jabczyńskiego.

9

To był pracowity wieczór. Pojechałem jeszcze do domu, w którym mieszkał docent Jabczyński. Asystowałem przy kolacji dozorczy, jego zięcia i ich rodziny. W mieszkaniu docenta spędziłem ponad godzinę. Wróciłem do domu po północy. Hanka zachowała się nad wyraz przyzwoicie. Miała klucz i czekała z kolacją.

10

W mieszkaniu docenta Jabczyńskiego paliły się wszystkie światła. Na stoliku w dużym pokoju stały kieliszki, leżały dwie talie kart i otwarty blok do zapisów bridżowych. W mieszkaniu panował ład, gospościa Jabczyńskiego po raz ostatni wypełniła

swoje obowiązki. Tokarski, Holak i Oleksiewicz zasiedli przy stoliku, Grzywiński za biurkiem, ja spacerowałem po pokoju. W kącie rozstawiał aparat fotograf, w przedpokoju i kuchni siedzieli wywiadowcy i jeden umundurowany milicjant.

Oleksiewicz i Holak byli szarzy, milczący, jeden dzień w areszcie zmienił ich wyraźnie. Siedzieli ze spuszczoneymi głowami, czasem tylko rzucali okiem na Tokarskiego, chmurni i ponurzy, jakby nie darzyli go sympatią. Tokarski także nie najlepiej czuł się w ich towarzystwie; siedział odwrócony bokiem do stolika i popatrywał na mnie z niemą prośbą w oczach, aby zaczynać już i kończyć spotkanie, którego celu żaden z nich chyba nie rozumiał.

— ...obecni doprowadzeni z aresztu inżynier Oleksiewicz i magister Holak oraz inżynier Tokarski, świadek — kończyłem dyktować Grzywińskiemu — i na razie wystarczy.

— Proszę panów — zwróciłem się ku stolikowi — chcę panom wyjaśnić cel, a także wybór miejsca i formę naszego spotkania. Widzę, że jesteście, panowie, nieco zaskoczeni. Otóż nazywa się to: eksperyment kamo-procesowy. Ponieważ okoliczności spotkania panów z zamordowanym docentem Jabczyńskim mogą mieć istotne znaczenie dla sprawy, postaramy się je odtworzyć, oczywiście w schematycznym zarysie. Nasi fotograf utrwali ważniejsze zwroty sytuacji, w protokole opiszemy wasze czynności podczas tego wieczoru. Spotkaliście się zatem...

— O godzinie siódmej — rzekł Tokarski.

— ...o godzinie dziewiętnastej — dyktowałem Grzywińskiemu — w celu omówienia spraw związanych z nieformalnościami — zależało panom na takim określeniu — popełnionymi przez zatrzymanych Oleksiewicza i Holaka. W jakiej kolejności panowie nadeszliście?

— Spóźniłem się o kwadrans — rzekł Tokarski. Najwyraźniej starał się brać udział w prowadzeniu śledztwa, wreszcie w sytuacji jasnej i w poczuciu bezpieczeństwa. — Kiedy przyszedłem, oni już byli — wskazał ruchem głowy swoich bridżowych partnerów.

— Więc? Pan Oleksiewicz?

— Przeszedłem chyba pierwszy — powiedział Oleksiewicz cicho, nie podnosząc głowy. — Może było dwie, trzy po siódmej. Docent zaprosił mnie do pokoju, sam poszedł do kuchni nastawić wodę na kawę.

— Co pan robił w pokoju?

— Chyba... spacerowałem, oglądałem książki na regale, przerzucałem czasopisma leżące przy biurku. Wtedy przyszedł Holak.

— Mniej więcej dziesięć po siódmej — Holak mówił głosem podniesionym, patrząc w ścianę. Jeśli Oleksiewicz był załamany, Holak robił wrażenie obrażonego. — Docent mi otworzył, wszedł ze mną do pokoju.

— Kiedy przyszedłem — odezwał się Tokarski — siedzieli przy stoliku.

— Jak? — spytałem. — Proszę się przesiąść. Ja zajmę miejsce docenta. Co dalej?

— Adam poszedł po kawę do kuchni — zabrał głos Tokarski.

— Ja za nim, pomogłem mu przynieść. Otworzyliśmy butelkę winiaku, wszystko stało na tym niskim stoliku — wskazał — o tak. Aż do bridża siedzieliśmy w ten sposób.

— Zdjęcie numer jeden — powiedziałem. Błysnął flesz. Grzywiński pisał przy biurku. — Rozmowa przy stoliku bridżowym do godziny...

— Wpół do dziesiątej mniej więcej — podrzucił Tokarski.

— Dwudziestej pierwszej trzydzieści — przepowiedział sobie pod nosem Grzywiński.

— O czym rozmawialiście? — spytałem. — Pan Oleksiewicz...

— Początkowo nie chcieli się przyznać — podjął Tokarski. — Udawali oburzonych. Prawie jak teraz...

— Panie inżynierze — powiedziałem — jestem panu bardzo wdzięczny za pomoc, ale pan pozwoli, że będziemy rozmawiać w jakimś porządku. Więc: pan Oleksiewicz.

— Ja już dziś zeznawałem... — zaczął niepewnie Oleksiewicz. Zrobiłem zachęcający gest, ciągnął więc dalej. — To był dla mnie wstrząs, zaskoczenie... Wszystko to rozwinęło się inaczej, niż myślałem. Ja sobie z początku nie zdawałem sprawy, że zajdziemy tak daleko... Prowizje, prezenty, w końcu w

stosunkach handlowych zdarzają się prowizje. I w pewnej chwili okazało się, że już jestem za progiem. Ci ze spółdzielni przestali kokietować. Zaczęli żądać...

— Do rzeczy, proszę.

— Więc... przepraszam, trudno mi mówić... więc początkowo udawałem, że nie wiem, o czym mowa. Wtedy dyrektor wyjął z biurka teczkę moich protokołów kontroli technicznej, a Tokarski wyniki wyrywkowych badań różnych partii materiału, które robił początkowo sam, a pod koniec z docentem... Mieli dowody. Ta rozmowa była przygotowana. Ja... zacząłem prosić. Rozkleiłem się...

— Pan Holak?

— Milczałem przez pierwszą część rozmowy. Jabczyński i Tokarski byli rzeczywiście dobrze przygotowani. Ale dyrektor Jabczyński też ponosił odpowiedzialność. Jego podpisy były na wszystkich ważniejszych dokumentach. Więc od początku wiedziałem, że mamy jakąś szansę. Inaczej nie rozmawialiby z nami tutaj, przy koniaczku.

Głos Holaka pełen był spokoju, a nawet absurdalnej pewności siebie. Przez cały dzień powtarzał, że jego winą są przede wszystkim zaniedbania formalne. Jest prawnikiem, w technicznej wartości podzespołów nie orientował się, pewne dywidendy wmuszano w niego za składanie zamówień w tej, a nie innej spółdzielni. Fachowcami byli docent Jabczyński i Oleksiewicz i jeśli zakład poniósł straty, to z ich winy. Jak go określił Jabczyński po spotkaniu na ulicy? Rozumiałem Jabczyńskiego.

— Jak z tego wynika — powiedziałem — tylko inżynier Tokarski nie był niczym zagrożony.

— Popierał Jabczyńskiego, a Jabczyński jego — mruknął zawistnie Holak. — Kto by go wysyłał na korzystne umowy zagraniczne, kto by...

— Nie pytałem pana o nic — przerwałem mu z trochę zbyt widoczną niechęcią. — Pan Oleksiewicz zatem był zdenerwowany, pan Holak spokojny.

— Oleksiewicz to histeryk — rzekł Holak z pogardą. Mógłby jej odrobinę zachować dla siebie. — Z trudem się uspokoił.

— Warunki waszej umowy znam — podjąłem. — Trzy miesiące na uregulowanie sprawy. Jak zamierzaliście to zrobić?

— Trzeba było zwrócić prowizje — odpowiedział Oleksiewicz nie podnosząc głowy — i bezwartościowy materiał. Może nawet więcej niż prowizje, tamci ze spółdzielni mieli nas w ręku... Ale w jakimś stopniu my ich też. Skąd pieniądze? Samochody, mój dom, w surowym stanie, Holak też się buduje, w Karpaczu...

— Potem graliście w bridża — powiedziałem biorąc do ręki blok. — To ten zapis?

— Ten — skinął głową Tokarski.

— Dwa pierwsze robry pominiemy. Docent Jabczyński wygrywał. Zamarkujemy sobie ostatni. Kto z kim grał?

— Ja z dyrektorem — rzekł Holak. — Siedziałem jak siedzę.

— W takim razie się przesiadam — i przesiadłem się z Tokarskim. — Tak było? Zdjęcie numer dwa. Która to mogła być godzina?

Błysnął flesz.

— Dwudziesta druga czterdzieści — Tokarski zrozumiał właściwie wcześniejsze pomruki Grzywińskiego.

— W porządku — oświadczyłem. — Odtwarzamy ostatnią rozgrywkę. Przeciwnicy po partii. Jaka była licytacja?

— Pamiętam — rzekł Oleksiewicz — ja rozdawałem. Piki.

— Dwa trefle — powiedział Holak.

Tokarski:

— Cztery piki. Czy to potrzebne?

— Potrzebne — skinąłem głową — no i wygląda na to, że zrobicie tego robra.

— Coś takiego powiedział właśnie docent Jabczyński — mruknął Holak.

— Pan Holak wistuje, pan Tokarski wykląda karty. Co się dzieje dalej?

— Mam bombową kartę, biorę karty Oleksiewicza

— Tokarski zamarkował gest; wciągnął się jednak w przedstawienie — nawet przez chwilę żałuję, że tak gwałtownie skończyłem licytację, można się było dogadać do szlemika. Ale szkoda mi czasu, zresztą to nie była gra dla przyjemności. Makieta, dekoracja do dżentelmeńskiego porozumienia — i

uśmiechnął się ironicznie, a Oleksiewicz znowu zwiesił głowę.

— Co pan teraz robi? — spytałem.

— Wstaję i mówię coś w tym sensie: przepraszam, to już formalność, a ja nie mogę czekać. Mam nadzieję, że brama jest otwarta.

— Docent powiedział, że zamykają o jedenastej — odezwał się Holak — chyba wszyscy odruchowo spojrzeliśmy na zegarki. Była za dziesiątą jedenasta.

— Gospodarz odprowadził pana? — spytałem.

— Przecież grali. Powiedziałem, że zatrzasnę drzwi, żeby się nie fatygował.

— Ja jeszcze dodałem, że można wziąć taksówkę — wtrącił Holak.

— A ja odpowiedziałem, że przedtem trzeba ją złapać — skinął głową Tokarski. — Więc wychodzę.

I usiadł na krześle w rogu.

— Zdjęcie numer trzy — powiedziałem. Błysnął flesz. — Co robi pan dalej? — zwróciłem się do Tokarskiego.

— Ja? — zdziwił się. — No cóż, zdejmuję płaszcz z wieszaka, zatrzasnąłem drzwi.

— A dalej?

— Dalej? — w głosie Tokarskiego pojawiło się lekkie zniecierpliwienie. — Schodzę po schodach, bo winda była zajęta, na ulicy łapię autobus.

— Brama otwarta?

— Oczywiście.

— W porządku. Proszę teraz wyjść do kuchni, pana już nie ma w pokoju.,

A kiedy za Tokarskim zamknęły się drzwi, zwróciłem się do Holaka:

— Więc pan wistuje. I co dalej?

— Wyszedłem asem trefl, wziąłem, potem blotką. Na stole był mariaż, ale docent przybił małym pikiem, miał singla. A ja renons w kara. Swoją drogą, układ był niesamowity. Docent wyszedł małym karem, Oleksiewicz huknął asem, ja przybiłem jedynym pikiem, jakiego miałem, i odwróciłem trefla. Docent przybił, bez jednej. I po grze. Mieliśmy trzy blotki pikowe i

wszystkie wzięły.

— Niesamowity układ... — powtórzył Oleksiewicz i nie bardzo było wiadomo, czy właśnie tamtą rozgrywkę miał na myśli.

— Potem panowie z docentem Jabczyńskim wychodzą do przedpokoju — wstałem. — O czym rozmawiacie?

— No chyba o tej grze — Oleksiewicz spojrzął niepewnie na Holaka — że chciałem pójść na szlemika, że kto mógł się spodziewać takiego układu...

— A potem, następnego dnia, rozmawialiście o tej rozgrywce?

— Nie, skądże — Holak wzruszył ramionami. — Jakie to mogło mieć znaczenie wobec tego, co się stało.

— W porządku. Więc teraz nie rozmawiamy, wychodzimy do przedpokoju. Zdejmujemy płaszcze. Zdjęcie numer cztery! — flesz. — Nic tu nie zaszło? Po prostu ubraliście się i wyszli?

Tłoczyliśmy się w ciasnym przedpokoju, Oleksiewicz i Holak z płaszcami na rękę. Dałem im znak, aby je z powrotem powiesili na wieszaku.

— Owszem, coś się stało — rzekł sarkastycznie Holak — spadł klucz z wieszaka.

— Jaki klucz? — spytałem.

— Zapasowy, od mieszkania — wyjaśnił Holak — były tam chyba trzy klucze na kółku. Docent podniósł je i powiesił z powrotem. Więcej szczegółów nie pamiętam.

— Ten mi wystarczy — stwierdziłem. — W przedpokoju było jak teraz, prawda? Półmrok, ciasno... Tak? Panie Oleksiewicz?

— Tak — rzekł z trudem.

— Pan zabrał klucze? — spytałem wprost.

Holak cofnął się o pół kroku, przyłgął plecami do drzwi szafy, przybladł lekko.

— Klucze.. — wykrztusił. — Oleksiewicz... Ty?

— Ja tego nie zrobiłem — wyrzucił z siebie Oleksiewicz pośpieszonym, zdyszonym szeptem. — Ja nie miałem zamiaru...

— ...zabijając, tak? — dokończyłem. — No dobrze. Coś tu się nie zgadza. Wracamy do pokoju. Poproście inżyniera Tokarskiego — rzuciłem wywiadowcy.

— Znowu będziemy pisać? — spytał od biurka Grzywiński.

Tokarski wrócił, omiół ciekawym wzrokiem obecnych i usiadł w kącie.

— Już? — spytał.

— A jeszcze nie. Tak, znowu będziemy pisać. Po co pan zabrał klucze, panie Oleksiewicz?

— A więc to ty... — Tokarski uniósł się z krzesła, jakby chciał skoczyć w kierunku stolika. — Wiedziałem, że to ty...

— Chwileczkę! — wyciągnąłem rękę i Tokarski opadł powoli na krzesło. — A więc po co pan zabrał klucze, panie Oleksiewicz?

— Ja... nie zabrałem kluczy — wykrztusił.

— Teraz sobie przypominam, że chowałeś coś do kieszeni — wykrzyknął Holak. — Dyrektor otwierał już drzwi, stał obrócony plecami.

— Więc? — spytałem.

— Panie Oleksiewicz — poprosił Grzywiński wyciągając ku niemu komplet kluczy— niech się pan z nami nie bawi w chowanego. Nie po to wyciągaliśmy je z kanału, pół godziny po tym, jak pan je tam wrzucił. Szanujmy swój czas.

— Chciałem — zaczął chaotycznie Oleksiewicz. — Chciałem... byłem wytrącony z równowagi! Te protokoły obciążały tylko mnie! Nie Holaka, nikogo, tylko mnie.-. Myślałem, że wrócę, zabiorę, zniszczę... I zrobię nowe, wymienię kopie w archiwum...

— Wrócił pan tej nocy? — spytałem.

W pokoju była cisza, wszystkie oczy utkwione w Oleksiewiczu.

— Nie byłem w mieszkaniu.... Nie mogłem wejść...

— Bzdura! — syknął Tokarski. — Co chcesz w nas wmówić, ty...

— Panie inżynierze, pan mi naprawdę nie pomaga

— powiedziałem łagodnie.

— Przepraszam.

— Więc pan wrócił? — podjąłem. — O której?

— Koło trzeciej. Ktoś ciągle kręcił się po schodach.... różni ludzie wychodzili z bramy. Bałem się. Nie mogłem się za długo kręcić koło domu. Naprawdę nie wszedłem.

— Zgadza się — mruknął Grzywiński. — Imieniny u sąsiadki.

— A następnej nocy?

— Następnej tak... Ja nikogo nie zabiłem. Myślałem, że po śmierci docenta te protokoły w mieszkaniu i notatki mogą skierować uwagę milicji na mnie. Jeszcze wierzyłem, że docent popełnił samobójstwo. Dopiero następnego dnia Tokarski nam powiedział... Wtedy się przeraziłem i wyrzuciłem klucze. Aleja nikogo...

— Znalazł pan protokoły?

— Nie było ich! Ani w biurku, ani na regale! Ja ich nie wziąłem!

— To kto je wziął — wrzasnął Holak. — Rozpłynęły się?

— Kończmy to zawracanie głowy — poparł go Tokarski. — Miał klucze, miał powód, protokoły zginęły.

O czym tu mówić!

Znowu rozpocząłem swój spacer po pokoju.

— Kiedy, widzi pan, to wszystko nie jest takie proste. W tym mieszkaniu jest bardzo wiele czasopism. Porządkował je porucznik Grzywiński, porządkowałem ja. Jeszcze dzisiaj. Proszę zobaczyć, co znalazłem.

Zdjąłem ze stosu przy biurku gruby zeszyt czasopisma technicznego, otworzyłem go. Położyłem na biurku kilka kartek formularzy wypełnionych maszynowym pismem i arkusz papieru pokryty odręcznymi notatkami. Oleksiewicz zerwał się i usiadł znowu.

— To są...

— Protokoły i notatki docenta Jabczyńskiego. Nie myli się pan. Kiedy wrócił do domu, telefonował jeszcze siedząc przy biurku. Musiał to przypadkowo włożyć do numeru pisma i odłożyć na stos. Potem, kiedy stolik z gazetami został przewrócony, trzeba było wiele czasu, żeby się przez to przebić. Za to teczka zginęła! Panie Oleksiewicz, nie widział pan teczki?

— Nie widziałem. Ja szukałem właśnie teczki.

— I jeszcze coś się tu nie zgadza. Nie mogłem znaleźć nie tylko protokołów. Nie mogłem także w korespondencji znaleźć listów od profesora Lenarta.

— Lenarta? — Holak uniósł głowę. — Miał przyjechać,

zobaczyć się z docentem. Znali się dobrze.

— Właśnie. A listów nie ma. Dziwne, prawda?

— Może docent po prostu ich nie przechowywał? — spytał ostrożnie Holak. — Co to ma za związek...

— Wreszcie ostatni niejasny punkt — przerwałem mu. — Z kompletu docenta zginął klucz od bramy. Brakowało więc obu kluczy.

— Mógł zgubić — podsunął Holak.

— Nie. Przecież wrócił do domu, otworzył sobie bramę. Nie mógł zgubić.

— Nie rozumiem, po co pan o tym mówi — rzekł nieco nerwowo Holak. — Wszystko jest jasne.

— Jeszcze chwileczkę, panie Holak — podniosłem rękę. — Znał pan profesora Lenarta?

Holak spojrział na mnie uważnie, milczał chwilę.

— Znałem — powiedział wreszcie. — przez jakiś czas byłem kierownikiem administracyjnym Instytutu profesora Lenarta.

Przeniosłem wzrok na Oleksiewicza.

— Znałem — powiedział — studiowaliśmy w tych samych latach, w Gliwicach, tylko na innych kierunkach. Ale pracowaliśmy razem w Bratniaku...

— A pan? — spytałem Tokarskiego.

— Właściwie nie. Byłem o rok niżej, i oczywiście go pamiętam, ale nie zetknęliśmy się ani razu bliżej, zresztą dla tych z wyższych lat byliśmy pewnie takim bezimiennym tłumkiem... Po studiach też nie zdarzyło mi się z nim zetknąć. Ale dużo o nim wiem, także jako o człowieku. Adam mi opowiadał.

Zapanowała chwila ciszy. Stałem w progu mniejszego pokoju, przyjrzałem się obecnym.

— Będą jeszcze zdjęcia? — spytał fotograf.

— Nie, dziękuję. Pan jest wolny.

I tak zapamiętam ten obraz. Przy stylowym stoliku zwalisty Oleksiewicz i szary, niepewny Holak, w żółtym kręgu światła stojącej lampy, które pogłębia cienie na ich twarzach i zapala iskry w pustych koniakowych kieliszkach. Oleksiewicz jest nieruchomy, ale kształty jego postaci są nieregularne, jakby we

wnętrzu tego człowieka coś się zawaliło burząc w nim poczucie stabilności i równowagi. Holak, w przeciwieństwie do Oleksiewicza, w nieustającym ruchu, splatał i rozplatał palce, postukiwał obcasami, rzucał ukradkowe spojrzenia na mnie i na Grzywińskiego, który przerwał pisanie i zasiadł pod ścianą na niskim fotelu. I wreszcie na granicy światła lampy Tokarski, odgradzony od nich nie tylko stonowaną płaszczyzną dywanu, ale także ledwie powstrzymaną niechęcią, widoczną w pozycji, w jakiej siedział, niemal odwrócony bokiem od swych niedawnych współpracowników, w gestach i wyrazie twarzy. W przedpokoju trzasnęły drzwi za wychodzącym fotografem. Za ścianą słyhać było sygnał kończący dziennik telewizyjny.

— Nie zrobiłem tego — rzekł głucho Oleksiewicz.

— Trzeba było od razu powiedzieć o tym bridżu. A nawet... nawet o wszystkim.

— Te przekłete telefony! — rzekł Holak. — Od samego rana po śmierci docenta! Myślałem, że to mogą być ci ze spółdzielni. Że boją się, aby przy naszej sprawie nie wyszły jakieś inne, znacznie poważniejsze. W końcu oni też byli zagrożeni. Nie wiem, może bardziej niż my? Trzeba było powiedzieć od razu...

— Trzeba było — podjął Oleksiewicz. — Też myślałem o spółdzielni. Zabili docenta, terroryzują nas...

I w każdej chwili...

Stałem oparty o futrynę drzwi, prawie w cieniu.

— Niech pan nie szuka winnych tak daleko — powiedziałem. — Tylko w jednym się pan nie myli. Wasze milczenie było komuś na rękę. Jeżeli przyjęlibyśmy wersję samobójstwa, wszystko byłoby w porządku. Ale jeżeli nie — wtedy milczenie obciążałoby was dodatkowo. Mielicie motyw. Poważny motyw. Wasze zagrożenie to nawet, w najgorszym wypadku, piętnaście lat.

Holak poruszył się niespokojnie, otworzył usta, ale nic nie powiedział.

— Człowiek, który do was dzwonił — ciągnąłem — działał zresztą także w waszym interesie. Nikt nie uwierzyłby łatwo w samobójstwo popełnione natychmiast po partii bridża. Nikt nie uwierzyłby w towarzyskiego bridża z ludźmi, z którymi nie

utrzymuje się stosunków towarzyskich. Milczenie było na rękę panu Oleksiewiczowi i panu Holakowi. To wy mogliście dzwonić do inżyniera Tokarskiego.

— Nie dzwoniłiśmy — rzekł głucho Oleksiewicz.

— Wy tak mówicie — warknął Tokarski.

— A jednak od początku miałem wrażenie — powiedziałem — że ktoś tu się bawi w reżysera. Proszę: podsuwa nam samobójstwo. Nie chcecie samobójstwa? Proszę: są winni.

Każdy sąd ich skaże, śledztwo błyskawiczne i bez kłopotów.

— Więc pan mi wierzy? — poderwał się Oleksiewicz. — Ja nie mógłbym nikogo zabić! W zdenerwowaniu mogę coś powiedzieć, nawet uderzyć, ale...

— Tak jak uderzył pan inżyniera Tokarskiego? — spytałem.

Statyczna scena ożyła.

— Co? — ryknął Tokarski. — Ty?

Zerwał się, ale Grzywiński był szybszy. Stał między nim a Oleksiewiczem, z opuszczonymi rękami.

— Spokojnie — prawie szepnął. — Kapitan nie lubi boksu.

Tokarski stał chwilę, wreszcie wrócił w milczeniu na swoje miejsce. Milczał także Oleksiewicz, pochylony nisko nad stolikiem. Holak przyglądał mu się z niedowierzaniem.

— Po co to zrobiłeś? — spytał wreszcie.

— Chciałem go tylko przestraszyć... Przecież pamiętasz, jak się zachowywał. Zarzucił nam, że to my docenta... że my do niego telefonujemy... Powiedział, że złoży obszerne zeznanie, przecież ty też byłeś bliski załamania, to koniec... Nie wiem, kto do nas telefonował, ale pomyślałem, że on to sobie skojarzy i będzie milczał...

— Dureń! — parsknął Holak.

— Byliście pod obserwacją — powiedziałem. — Którędy pan wyszedł?

— Wiem, że byliśmy pod obserwacją — mówił szybko Oleksiewicz. — Zorientowałem się właśnie tego wieczora. Wyszedłem przez podwórze na sąsiednią ulicę, złapałem taksówkę, żeby być przed Tokarskim. Tam sam wróciłem, wsiadłem do swego samochodu i pojechałem do domu. Ja go tylko raz... żeby przestraszyć...

— Jakiego panu trzeba jeszcze dowodu, panie kapitanie? — spytał spokojnie Tokarski.

— Nie spodziewał się pan tego napadu, prawda? — uśmiechnąłem się. — Inżynier Oleksiewicz bardzo panu pomógł.

Wszystkie głowy zwróciły się wolno ku Tokarskiemu. Nie widzieliśmy jego twarzy, tonęła w półmroku.

— Nie rozumiem — rzekł wolno.

— Zaraz pan zrozumie. Docent Jabczyński widział pana dyplom. Na studiach był pan o rok niżej niż profesor Lenart, ale to był kierunek skąpo obsadzony, znali się niemal wszyscy. A profesor Lenart pana nie znał. Jak to było? Czy Jabczyński już wcześniej podejrzewał, że pańskie kwalifikacje są raczej wątpliwe? Czy wynikło to dopiero przy pana zamierzonym wyjeździe za granicę? Prosił o opinię profesora Lenarta. Potem sprawdził pańskie akta na Politechnice Gliwickiej. Myśmy też sprawdzili. Pan nigdy nie studiował na Politechnice. Pański dyplom jest fałszywy.

— To bezczelność — syknął Tokarski. — pan za to odpowie...

— Chętnie. Taki wyjazd dla człowieka o pańskich zdolnościach to wielka szansa finansowa. Można się urządzać za granicą na stałe, prawda? Od początku dziwiła mnie pańska szlachetna bezinteresowność w całej tej aferze. Nadużycia Holaka i Oleksiewicza pan wykrył. Po co? Ich ujawnienie zagrażało także docentowi Jabczyńskiemu. Pan nimi szantażował Jabczyńskiego. Nie o tych dwu tu chodziło.

— Pan jest nienormalny, panie kapitanie — rzekł Tokarski z trudem zachowując spokój. — Nie wiem, w jakim stanie są akta Politechniki Gliwickiej, ale...

— Zawarł pan z Jabczyńskim układ dżentelmeński — przerwałem mu. — Pan obiecał zlikwidować sprawę nadużyć, zachować dyskrecję, za to Jabczyński miał dać panu szansę wycofania się z honorem. To był uczciwy człowiek i tylko na tyle się zgodził. Zobowiązał się pan dobrowolnie zrezygnować z wyjazdu, z uwagi na zły stan zdrowia i komplikacje rodzinne, a potem odejść z zakładu. Ale pan nie miał zamiaru wypuszczać z ręki takiej szansy jak wyjazd! To o panu powiedział Jabczyński,

że trudno zawrzeć dżentelmeńską umowę z człowiekiem który niczym nie przypomina dżentelmena. Miał rację. Pan postanowił zrealizować swój wielki życiowy plan. Każdy element sytuacji wyzyskał pan dla swoich celów. To pan do nich dzwonił! To pan im groził, żeby potem skierować na nich podejrzenia! To pan stąd zabrał teczkę po protokołach!

Oleksiewicz i Holak siedzieli na swoich miejscach w martwym bezruchu, jak wycięte z kartonu sylwetki.

— Pan majaczy. Ja stąd wyszedłem pierwszy.

— O której pan wyszedł?

— Mówiłem sto razy! Za dziesięć jedenasta!

— Wprowadzić dozorcę! — rzuciłem.

Grzywiński wstał, wyszedł, otworzył drzwi od kuchni. Milczenie.

Dozorca był niski, ruchliwy, przestraszony.

— O której zamknęliście bramę dwunastego marca? — spytałem.

— Tak jak mówiłem, panie kapitanie — rzekł jękliwie. — Zięć zamknął. Zawsze się zamyka o jedenastej, ale mecz był w telewizji, zaczynał się za kwadrans jedenasta i zięć zamknął przed meczem.

— To znaczy?

— To znaczy za kwadrans jedenasta. Mówili godzinę w telewizji.

— Nikomu nie otwieraliście?

— Nikomu przez cały mecz.

— Jak pan wyszedł, panie Tokarski?

Przekreśliłem kontakt, jasne światło zalało pokój.

Tokarski wstał, był blady, zacisnął pięści, aż zbieleły mu kostki u rąk.

— Ten człowiek się myli! Brama była otwarta!

— Nie myli się — powiedziałem wolno. — Pan w ogóle nie wyszedł. Zatrzasnął pan drzwi i ukrył się... gdzie? Myślę, że w szafie ściennej między ubraniami. Nawet ten drobiazg mnie dziwił: dlaczego pan wyszedł przed końcem rozgrywki? Rasowy bridżysta tak nie postępuje. A pan jest rasowym bridżystą. I gra pan wysoko.

— Karta była pewna — powiedział nieprzytomnie.

— Skąd mogłem wiedzieć, że nie zrobi...

— A skąd pan wie, że nie zrobił? — spytałem.

Cisza.

— Mówiliście mu o tym? — zwróciłem się ku stolikowi.

Holak i Oleksiewicz zaprzeczyli ruchem głowy.

— Słyszał pan wszystko ukryty w szafie — powiedziałem.

Tokarski usiadł, ukrył twarz w dłoniach. Podszedłem do biurka, wziąłem do ręki marmurową statuetkę.

— Tym? — spytałem.

Milczenie.

— Widzi pan — powiedziałem. — Nie należy być pewnym wygranej przed końcem rozgrywki.

zł 30,-

lesiojot